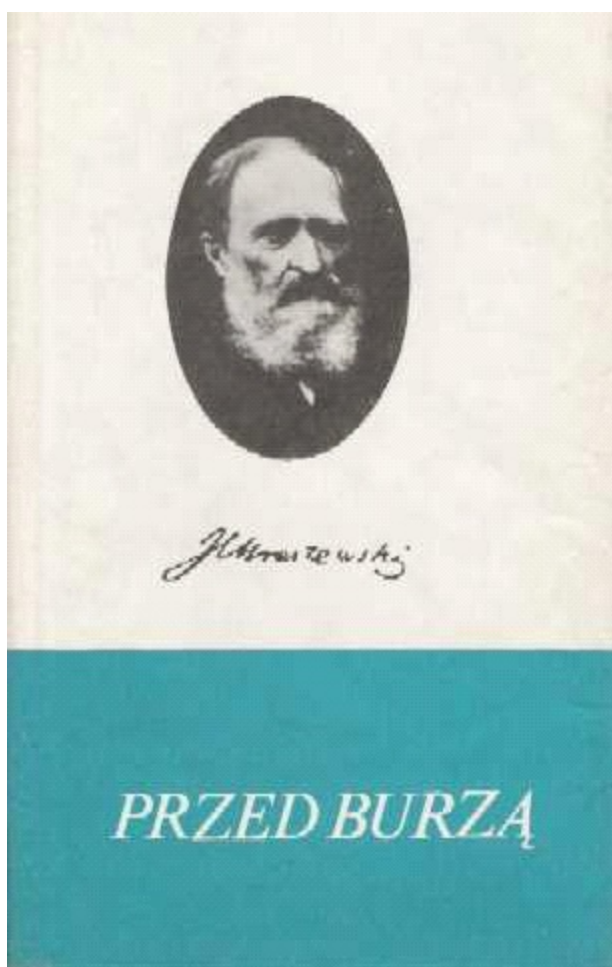


# Józef Ignacy Kraszewski

## Przed burzą



calibre 0.9.27



**Józef Ignacy Kraszewski**

## **Przed burzą**

### **Sceny z roku 1830**

Przy ulicy Świętokrzyskiej, w domku murowanym niepozornym, o jednym pięterku z poddaszem, ze staroświecką wyglądającym, na dole mieszkał szewc Noiński, zwany kulawką z powodu, że mocno na lewą upadał nogę, z drugiej strony stolarz Aramowicz, na górze całe niewielkie piętro zajmował pan Brenner. Na tyłach mieściła się Matusowa, która handlowała ogrodowiną i siadywała z nią na Starym Mieście w straganie, a naprzeciwko Aramowicz miał skład drzewa i część warsztatu. Na poddaszu, które stanowiło małe kawalerskie mieszkanie o dwóch pokojach niewykwintnych, ale czystych i zacisznych, od św. Jana roku zeszłego wkwaterował się był młodzieniec służący w biurze Komisji Skarbu, którego nazywano Kalikstem. Cała ludność małej kamieniczki tej znała się i była z sobą, nie wyjmując stróża, zajmującego *in ultima Thule*<sup>\*</sup>, na samym tyle ciupek parę — w niemal przyjacielskich stosunkach.

Stróża mianowano Dygasem i musiał się jakoś podobnie zwać w istocie, chociaż go poufale wabiono też na pana Lasantego — co zapewne od Kalasantego pochodziło.

Jest jakimś prawem tej poczciwej natury, która wie, dlaczego to robi — że ubogim rodzinom nigdy na dzieciach nie zbywa. Bogatym często się ich dochować trudno, biednym przychodzą niespodziewanie i choć się biedactwo na nie często skrzywi, później Bóg to obraca na dobre. Tak też w kamieniczce, o której mowa, dzieci i wyrostków było jak bobu. Ani panu Dygasowi, ani pierwszemu piętru dogodnie z tym nie było, bo dzieci mają swe prawa i wiele też bezprawiów wybaczać im trzeba. Dobywały się po wschodach bez żadnej dobrej racji aż na strych, zalatywały na tył, gospodarzyły w małym dziedzińcyku, a krzyk i wrzawa na dole były nie do zniesienia. Szewc Noiński oprócz tego miał dwóch urwipołciów na nauce, u stolarza był jeden szalawiła\* okrutny: Matusowej Józiek nie lepszy był od innych. Starzy żyli z sobą dobrze i przykładowo, ale młoda ta ludność darła często koty i guzy sobie nabijała okrutne.

Jedyną władzę i policję dzierżył w swych rękach Dygas, człek stary, powolny, głuchawy i nie mający dosyć energii, aby zuchwalstwa tej gawiedzi poskromić.

Właściciel kamieniczki, który ją po żonie otrzymał i w niej nie mieszkał, rzadko tu zaglądał i dowiadywał się tylko, gdy uchowaj Boże, trzeba było zweryfikować jakąś nieodzowną reparacją, zameldowaną przez Dygasa — poprawę rynny, okucie okiennicy, odnowienie bruku i tym podobne.

Dla mieszkańców pierwszego piętra ludność zajmująca niższe sfery byłaby nieznośną, bo i szewc cały dzień stukał, i stolarz kołatał, i w bramie było zawsze jak na zarwanicy\*, gdyby to nie byli ludzie cierpliwi na podziw i spokojni. Pierwsze pięterko, niskie, nieładne, od dawna nie odświeżane, w którym i drzwi się nie domykały, i okna odstawały, i podłogi a piece wiele pozostawiały do życzenia — zajmował p. Brenner z rodziną. Rodzina jego składała się z bardzo pięknej córki, panny Julii, już rozkwitłej i dorosłej, i ciotki jej, wdowy, pani Małuskiej. Kucharka i małe dziewczę do pomocy były całym dworem.

Brenner, którego, nie wiadomo dlaczego, nazywano panem radcą, był człowiekiem już około lat pięćdziesięciu mającym, małym, krępy, podobnym do mnóstwa ludzi średniego wzrostu chodzących po ulicach. Poznać go w tłumie było niełatwo, a opisać, jak wyglądał, nie mniej trudno. Zdawało się, że czy natura czy sztuka dały mu, jak niektórym zwierzętom, barwę jakąś startą, formę nie rażącą — aby się przesunąć mógł po świecie niepostrzeżony. Brenner nosił się też jak wszyscy, nie odróżniał się niczym i widujący go codziennie współmieszkańcy kamienicy często wracającego do domu nie od razu poznawali. Twarz miał bladą, ogoloną — oczy ciemne, biegające, niespokojne i najczęściej spuszczone, mowę cichą, ruchy jakieś miękkie i wymykające się. Zdawał się całe życie nie słuchać nic, na nic nie patrzeć, mało kogo znać i nie wiedzieć o niczym.

O nim też tak mało kto wiedział, że ci, co z nim żyli w jednej kamienicy, najrozmaitsze mieli przekonania o jego zatrudnieniach. Szewc Noiński nazywał go lichwiarzem, stolarz Aramowicz był pewny, że on zbożem handluje. Matusowa zbywała, pytana, tym, że — „albo ja tam wiem — a mnie co do tego!!”

Brenner nigdy nikogo u siebie nie przyjmował, całe dni prawie spędzał za domem i na oko nie zdawał się wcale niczym zajęty. Pani Małuska, ciocia, odzywała się z tym, że ma pensją . i z niej

żyje, bo dawniej był w służbie rządowej, ale w województwie lubelskim. Chodziły słuchy niewiadomego źródła, że Brenner służył w komisariacie i na jakichś dostawach grosza uciulał.

Bądź co bądź przeszłość jego i teraźniejszość okrywały nieprzejrzone ciemności. Z rana — czasem już o siódmej — widywano go wychodzącego na Nowy Świat i ginącego tam wśród tłumów. Wśród dnia rzadko komu trafiało się go spotykać, ale parę razy jednak widywano go wychodzącego to z cukierni, to z jakiego traktieru\*, to z kawiarni. Nigdy jednak mimo to nie spotkał go nikt ani pod dobrą datą, ani nawet rozweselonego. — Twarz miał zawsze jedną, bladą, smutną i jakby wiecznie strwożoną.

Trafiało się, iż go dni kilka nie było w domu, bywało że wracał nocami — zawsze jednak w jednym humorze i usposobieniu.

W domu całego dnia nigdy nie przesiedział. Słota, wicher, zimno, skwar, nic go od zwykłej przechadzki nie wstrzymało. Nie skarżył się nawet na to. Zdrowie mimo lat pięćdziesięciu miał czerstwe i doskonałe, gusta niewybredne. Obchodził się lada czym, przyjmował, co mu dano.

Ludność całej kamieniczki spoglądała nań i z pewnym uszanowaniem, i z wielką ciekawością. Była to dla niej chodząca zagadka.

Życie na pierwszym piętrze było skromne, ale dostatnie; nie dawała się tam nigdy czuć ani potrzeba kredytu, ani ochota do występywania.

Brennera prawie nigdy, chyba wieczorem, w domu znaleźć było można: rządziła więc ciocia Małuska i panna Julia.

Ciocia, bezdietna, dobra, cicha, niemłoda niewiasta, milcząca, posłuszna, albo się modliła na książce i robiła pończochę, lub z założonymi rękami na piersiach opowiadała pannie Julii o domu książąt Sanguszków, u których za młodu nieboszczyk jej mąż był oficjalistą\*. Ciocia kochała siostrzenicę jak własne dziecko, pomagała jej, służyła, i gdyby panna Julia nie była bardzo łagodną i dobrą, mogłaby ją była zawojować zupełnie. — Ojciec też był przywiązany do tego jedyne go dziecięcia — bałwochwalczo. Wracając do domu, pierwszy jego krok był do Julci, pierwsze zapytanie o nią. Najmniejsze jej niezdrowie odrywało go od zajęć, tak że po kilka razy przybiegał do domu dowiadywać się o nią. Dla Julci nie było rzeczy ani za drogiej ani za trudnej do nabycia — szczęściem, że skromnych bardzo żądań córka rzadko czegoś zapragnęła.

Straciła ona matkę za wcześnie, sam więc ojciec z pomocą ciotki zajmował się jej wychowaniem. Nie żałował na nie nic: najlepsza pensja, najdrożsi metrowie\*, wszystko, czego nauka wymagać mogła, miała Julcia na zawołanie. Stało się też, iż na pensji, przy lekcjach, w czasie dosyć długiej nauki, córka pana Brennera znalazła się obok pańienek daleko od niej wyższej sfery towarzyskiej, nabrała ogłady, a z nauk tak korzystała wiele, iż wróciwszy do domu, musiała się uczuć bardzo osamotnioną.

Pani Małuska, poczciwości kobiecina, złote serce, była mimo zetknięcia się z dworem ks. Sanguszków tak praktyką życia tylko nieco okrzesałą, tak naiwną i prostoduszną, iż z nią, prócz o upiorach, o odpustach, o kuchni i o pogodzie, mało o czym więcej rozmawiać było można. Znała się

też nieco na medycynie popularnej; leczyła od bólu zębów, od róży (bardzo skutecznie), febry i reumatyzmów.

Sam Brenner w tych krótkich chwilach, które spędzał z córką w domu, nie okazywał też wykształcenia zbyt wysokiego. Nie czytywał nigdy nic — wiadomości nie miał żadnych, oprócz „Kurierka” Dmuszewskiego\* w domu nic innego nigdy nie było; ale żywego życia stosunki i sprężyny znał za to doskonale.

Z nim więc i z ciotką — niewiele mogła panna Julia mieć przyjemności w rozmowie. — Natomiast zajmowała się bardzo wiele muzyką, której uczyła się od Elsnera\*, grała godzinami na fortepianie i niezmiernie wiele czytała.

W wyborze książek miała sobie zostawioną swobodę najzupełniejszą, tak jak w ogóle w całym życiu, bo ojciec i ciotka mieli nieograniczoną ufność w rozumie jej i charakterze. Z pensji rozmaite w mieście miała znajomości, do których wolno jej było chodzić, przebywać, powracać, gdy się jej podobało. Brała z sobą małą Agatkę, kazała jej czasem przychodzić po siebie, a ciotka nawet nigdy jej nie towarzyszyła.

Bardzo rzadko chyba któraś z towarzyszek odwiedzała ją i zabawiła godzin parę.

Panna Julia była dość słusznego wzrostu, postawy kształtnej, rysów szlachetnych, miłą, ale może na swój wiek za poważną. Piękność jej i świeżość w tej Warszawie, której na ślicznych twarzyczkach nigdy nie zbywało, mogła ujść oka, bo nie była narzucającą się i świetną — lecz zachwycała każdego, kto się do niej zbliżył, kto ją poznał, posłyszał, komu się uśmiechnęła. Mimo powagi swej i pewnego smutku, rozlanego na twarzy, miała niezmierny ów wdzięk, który pociąga nawet w niepięknych osobach, cóż dopiero gdy się połączy ze szlachetnymi rysy, niemal klasycznych kształtów. Julia ubierała się z wielką prostotą i skromnością, ale ze smakiem nieporównanym, z dystynkcją uderzającą, — Wyglądała w najprostszej sukience na wielką panią.

Gawiedź domowa, dla której była uprzejmą i grzeczną, znajdowała ją mimo to — arystokratką i nie śmiała się z nią spoufalać, gdy z ciotką Małuską szewcowa Noińska, żona stolarza Aramowicza były w takiej komitywie, że do niej chodząc po lekarstwa, i na gawędki siadywały godzinami.

Wszystkie te jejmoście zwały ją — wysoko „adukowaną” panną — i przepowiadały jej bardzo świetne losy. Szczególnie Noińska, unosząca się nad grą na fortepianie panny Julii, była pewną, że „puńdzie” za obywatela, za urzędnika lub nawet może za jakiego generała. — Wszystko to było możliwym.

Chociaż jenerańska ranga naówczas, stawiając na pozór wysoko tych, co nią zaszczytzeni byli, otwierając wrota do dalszej krescytywy\*, wcale nie dawała niezależności.

Było to bowiem za tego pamiętnego panowania, za tej osobliwej dyktatury wielkiego księcia Konstantego\*, która w dziwny sposób godziła się jakoś z konstytucją błogosławionej pamięci cesarza Aleksandra.\*

Książę Konstanty, Nowosilcow\* i cały Belweder były to korektywa\* nie dopuszczające, aby Królestwo wzięło ową konstytucją na serio. Na papierze stało prawo, w którym jakby na pośmiewisko zapisano: *neminem captivabimus nisi iure victum\**, a co dzień niemal napełniały się kozy najrozmaitszego nazwiska: Dominikanie, Karmelici, Marcinkanki, pałac Bruhlowski, piwnice w Belwederze, mieszkanie Aksamitowskiego\*, ratusz, gdzie rządził Lubowidzki\*, stary zuchthaus\*, koszary artylerii, ludźmi chwytanymi pod najmniejszym pozorem jakiejś winy, a raczej cienia myśli lub usposobienia występnego.

Turkot kocza\* książęcego, przelatującego pędem ulice, wyludniał je i przerażał jak burza niosąca pioruny. Na widok jego drżało wszystko. Najwyżej położone osoby, gdy je zawezwano do Belwederu, doznawały przerażenia, choćby się winnymi nie czuły.

Rzadko w dziejach daje się spotykać taki terroryzm posługujący się tak rozgałęzionym, a tak — powiedzmy prawdę — niedołężnym szpiegostwem. Rok 1826 i potem 1830 dały tego najlepsze dowody. Despotyzm Konstantego był tak dzielnym bodźcem do utrzymania i podsycenia patriotyzmu, iż mu niemal głównie rozbudzenie i utrzymanie ducha przyznać należy. Najsystematyczniej w świecie zwracano oczy narodu na wszystko, co będąc zakazanym, stawało się przez to samo chciwie żądanym i upragnionym. Najmniejszy objaw samoistności nielitościwie karcony, surowa karność posunięta do śmieszności, zwróciły ducha wewnątrz, spotęgowały go, podniosły, rozdrażniły niemal do szaleństwa. W. książę, uwiadomiony w porę o drobnostkach i dzieciństwach, nie miał pomimo to najmniejszego pojęcia o rzeczywistym stanie umysłów. Łapano objawy zewnętrzne, ducha ująć nikt nie mógł. Przeczowano go, domyślano się, goniono za nim — na próżno.

U drzwi Belwederu rozkwitał patriotyzm najgorętszy, nie dostrzeżony dla tej całej falangi szpiegowskiej\*, która nigdy głębiej w społeczność wejrzenia zapuścić nie mogła. Despotyzm w. księcia tak dobrze nauczył kłamać i salony, i ulicę, że się oboje nigdy pochwycić na niczym nie dawało.

Raporta, które składał Lubowidzki, które przynosiły Makroty\*, Jurgaszki\*, Birnbaumy\* i ci, którymi się posługiwali, pełne były szczegółów a puste. Denuncjowano wykroczenia śmieszne; straszego tego kipiątka, który wrzał na spodzie — ledwie miano jakieś ciemne przecucie.

Księżciu, pałacemu na kominku dziełem Staszica\*, prześladowającemu tych, co śmieli wziąć w rękę numer gazety francuskiej, co poklasnęli w teatrze dwuznacznemu wyrazowi, zdawało się, że stłumił ducha, odebrał odwagę, zabił wszelkie zachcianki swobody — gdy tymczasem on i jego pomocnicy krzewili idee liberalne i rewolucyjne... Przesada nawet w despotyzmie jest niebezpieczną...

Drażliwość księcia czyniła go po prostu śmiesznym. Opowiadano sobie cicho po całej Warszawie ów wypadek w Belwederze, gdy jednej nocy książę, zbudzony hałasem w sąsiednim pokoju, ledwie szlafrok na siebie narzuciwszy, zbiegł na strych, a posłany na zwiady kamerdyner Kochanowski\* odkrył winowajców, buntowników w faworytalnych małpach księcia, które wykradłszy się z klatki, bawić się zaczęły kulami działowymi, bombami i przyrządem wojskowym, którego pełno było zawsze po kątach.

Podobnych popłochów kilka było w Belwederze. Raz przekradający przez wały za pałacem wódkę

todreśnicy\* , na których straż napadła — wszystko, co żyło, powołali do broni.

Lękano się nie wiedząc czego, chociaż ogromna armia płatnych stróżów bezpieczeństwa powinna była ręczyć za nie, a górą stojący generałowie Żandr, Kruta\* i inni mieli oko na wyższe sfery. Wojsko trzymane było w surowości niesłychanej — najmniejszy krok, słowo, wejrzenie kontrolowane, każda godzina czymś zajęta, nieustanne mustry nie dawały mu ani tchnąć, ani myśleć, ani zrobić kroku. Na młodzież, mianą zawsze w podejrzeniu, szczególne zwracano oko, objaw liberalizmu czytano czasem w nie zapiętym guziku, w trochę dłuższych włosach — ale serce było tajemnicą. Uczono tylko kłamstwa i ostrożności. Cudownie też prawie tam, gdzie szept każdy był podsłuchiwanym, książka najniewinniejsza zakazaną, rozmowa karaną, duch się rozwijał potężnie, olbrzymio.

Spółczeństwo przedstawiało obraz ciekawy, jedyny prawie w dziejach współczesnych. W wyższych sferach mocno sfrancuziałych, gdzie niemal polskiego języka usłyszeć nie było można, cichutko śmiano się i narzekano na w. księcia, ale jego ucisk nie wydawał się jednak do niezniesienia. Tam obawiano się może rewolucji tak samo jak w Belwederze i wstręt do niej miano równy. Pewien rodzaj apatii o władnął wszystkimi. Życie tam, gdzie się nie stykało z polityką, było im prawie wygodnym. Zresztą mówiono sobie, że księżę nie był nieśmiertelnym. Przez adiutantów księcia, do których liczby liczyły się najświetniejsze polskie imiona, przez stosunki wyrabiano sobie jakiś *modus vivendi\**, z którym można się było pogodzić. Tu patriotyzm ograniczał się na westchnieniach, milczeniach, marzeniach tylko i gasnął co chwila. Znaczniejsza część wielbiła błogosławioną pamięć wskrzesiciela Polski. Tu nie przypuszczano nawet możliwości jakiegoś zuchwałego porywu. Nadto znano potęgę Rosji.

Tacy ludzie nawet jak generał Chłopicki\* , grając wieczorami wista\* , wiodąc życie sybarytyskie\* , strzegli się najmniejszego cienia patriotyzmu i chmurno przyjmowali jego objawy.

W średniej klasie wspomnienia 1794 r.\* były jeszcze żywe, tu patriotyzm, nie zdając sobie sprawy ze środków, z sił, pełen był zawsze nadziei i pragnień. Po wsiach czytano z zajęciem największym gazety, z polityki europejskiej wyciągając wnioski na przyszłość i wierząc, że odbudowanie Polski było Europie niezbędnym, że pierwsza wojna musiała je wywołać nawet bez przyłożenia się Polski — sądzono, że odbudowanie jej cudownie się jakoś dokonać miało.

We własne siły wierzyła ta tylko młodzież, którą księżę Konstanty paraliżował, oniemiał, krępował i wyciskał z niej rozpaczliwą odwagę. Tu żadna groza, żadne powieści o Łukasińskich\* , o innych więzionych i znikłych lub na Sybir wywiezionych nie zdołały zachwiać postanowieniem męznego porywu. Ale tu też rachowano dziwnie na żywioły, których nie znano, na liczby fantastyczne, na sympatie nie dowiedzione, na tysiącne kombinacje, które się nigdy sprawdzić nie miały. Heroizm zaślepiał. Wierzył w to, że siłą swą upoi, pociągnie, uchwyci, rozzarzy — i w istocie udało mu się prądem potężnym unieść za sobą nawet tych, co najmniejszej ufności nie mieli w przyszłość.

Nie miał jej ani ks. Czartoryski\* , ani Chłopicki, zmuszony do przyjęcia dyktatury, ani całe wyższe grono wojskowych, ani wielu z tych, co potem rolę czynną grali w wypadkach. W chwili, gdy się powieść nasza zaczyna, nie było może nawet przeczucia, że się coś gotuje i wiąże; nikt nie przypuszczał: takiego zuchwalstwa.

Domyślano się spisków, ubolewano nad nimi i nad ofiarami, jakie one ściągały — nikt nie wierzył, aby pod czujnym okiem policji w. księcia mogło się coś uknuć i dojrzeć do wybuchu.

Ze wszystkim w świecie oswoić się można, wyższe społeczeństwo na koniec obyło się nawet z despotyzmem w. księcia: cichutko się śmiało z niego, a w potrzebie miało drogi do księżnej łowickiej\*, do Kruty, do Stasia Potockiego\*, do adiutantów, do faworytów, nawet do służby belwederskiej, aby sobie wyrobić pozwolenie lub przebaczenie. Mieszczanie po kątach opowiadali sobie anegdotki zabawne — siadywano Pod Białym Orłem\* na odwachu\* i — jakoś się żyło. Przybywający do Warszawy obywatel strzegł się nawet kapelusza księciu niemiłego włożyć na głowę — cichutko przemykał się przez ulicę, nie mówił nic, nasłuchiwał się półśłówek i szczęśliwy wracał pod spokojną strzechę do domu. Bawić się było czym, bo można było bezkarnie szydzić z olbrzymich projektów Lubeckiego\*, z Newachowicza\* i Spółki, z Doeplera, po trosze z Dmuszewskiego, wywieść dowcip jaki starego Żółkowskiego\*, na ucho opowiadać o teatralnych intryżkach i peruce blond Rautenstraucha\*, itp.

Na wsi czasem nieśmiało, w polu, zabrzmiało — *Jeszcze nie zginęła, Trzeci maj* lub inna jaka piosenka, ale, uchwaj Boże, na imieninach lub balu byle z czym głośniej się odezwać, zaraz by się to odbiło w Warszawie.

Bywały praktyki, że zajeżdżali żandarmi do spokojnych obywateli i — wieźli ich do Modlina lub Zamościa.\*

\* \* \*

W tych to czasach grozy i trwogi — w spokojnej kamieniczce przy ulicy Świętokrzyskiej panna Julia godzinami, zadumana, grywała na fortepianie, pani Małuska odmawiała pacierze, Noiński buty szył dla podchorążych i oficerów, a Aramowicz stołki i stoliki ciosał równie dla gwardii rosyjskiej i dworu w. księcia, jak dla ludności stolicy. Tu w warsztatach rzemieślniczych nie wiedziano o Bożym świecie, prócz że kto czapki w ulicy nie zdjął przed w. księciem, ten szedł Pod Orła Białego. Nie śmiał się chłopiec idący z butami zatrzymać naprzeciw Saskiego placu, gdy się odbywała parada, bo kto wie, co go tu spotkać mogło. Były godziny, w których znajdowania się na ulicy unikał każdy. Wiadomą była anegdota o owym szlachcicu–staruszką, który się rewii, niedaleko stojąc od Konstantego, przypatrywał i sam zażywając tabakę, księcia nią poczęstował, za co poszedł do kozy...

Z zimną krwią szlachcic, po tej łaźni wróciwszy do domu, powtarzał, iż się nauczył, że zbytek grzeczności może mieć złe skutki.

W uliczce było spokojnie, dzieci mogły się u wrót zabawiać bez obawy katastrofy. Rzadko tędy przeleciała urzędowa figura, jedna z tych, które szepcząc pokazywano sobie palcami. Mieszkańcy dolnego piętra, chociaż ich żywot i sprawy Brennera dosyć zajmowały, w końcu się z nimi oswoili, wytłumaczyli też sobie samotne dosyć i ciche znajdowanie się na strychu pana Kaliksta. Patrzeli już



nań przez rok cały. On także wchodził i wychodził o godzinach oznaczonych dosyć regularnie, kłaniał się wszystkim grzecznie, nigdy z nikim o nic nie miał sporu, choć dzieci zapuszczały mu się pode drzwi, hałasując, jakby go wyzywały — i miał tu sławę bardzo porządnego młodzieńca. W pierwszych miesiącach nawet mieszkańcy pierwszego piętra wcale go nie widzieli, a pani Małuska miała sobie opisanym tylko przez kucharkę i Agatkę.

Pan Kalikst nie wyglądał na biuralistę, choć służył w Komisji Skarbu i gorliwie w niej pracował. Nudne to zajęcie u stolika nad papierami urzędowymi jeszcze go nie zgubiło, nie złamało, nie starło z jego twarzy świeżości młodzieńczej, nie odjęło mu ani wesela, ani energii. Miło było spojrzeć na niego, tak się w nim śmiała rzeźwa młodość, którą kołysze marzenie, a żywią nadzieje.

Pan Bóg go stworzył raczej na żołnierza niż na gryziopórka, bo postawę miał rycerską, ruchy śmiałe, wzrok jasny, wyrósł bujno i widać w nim było potomka rodziny szlacheckiej. Pan Kalikst Rucki w istocie pochodził ze starej szlachty z Sandomirskiego, niemajątej teraz, ale nie tak zubożałej, aby o swej przeszłości zapomniała. Było ich dwóch braci, starszy o rok Ludwik znajdował się w Szkole Podchorążych\*, Kalikst rozpoczynał od bardzo skromnej posady nadliczbowego zawód urzędniczy. Miał u góry protekcje, po których poparcia się spodziewał. Wolałby był nieskończenie zamiast tej służby wstąpienie do uniwersytetu, co się i jego bratu uśmiechało, ale ojciec, stary żołnierz napoleoński, tak rozporządził — musiano słuchać. Zrazu obu chciał oddać pod w. księcia, aby się tam karności nauczyli, potem Lubeckim zachwycony, Kaliksta na urzędnika przeznaczył.

Obaj chodzili wprzód do Liceum w Warszawie\* — mieli tu liczne znajomości — i — godzili się jakoś ze swym losem. Przynajmniej po panu Kalikście nie było widać, aby się nań uskarżał. Twarz miał wypogodzoną zawsze i uśmiechniętą. Trochę poeta, choć to się źle godziło z narzuconym mu powołaniem rachmistrzowskim, wielki wielbiciel Mickiewicza i romantyków, czytywał wiele i w sporach ówczesnych literackich udział brał bardzo żywy, choć niewidoczny. W swoim mieszkanku na górcie, jeżeli miał wolną chwilę, poświęcał ją tak samo jak panna Julia czytaniu książek, które najrozmaitszymi zdobywał sobie sposobami, często na kilka godzin tylko, bo kupować ich nie miał za co.

Naówczas połykał je chciwie i rozgorączkowywał się nimi do szału prawie.

Tam, gdzie na pierwszym piętrze mieszka piękna i muzykalna panienska, a na górcie tego rodzaju młodzian — cudem by było, ażeby się nie spotkali, nie poznali i nie ocenili wzajemnie.

Pierwsza pani Małuska obudziła w spokojnej panie Julii ciekawość poznania sąsiada — bez żadnej złej myśli opowiadając jej, co się dowiadywała o nim od kucharki i Agatki. Obie one nadzwyczaj się pięknym młodzieńcem zajmowały. Wiedziały, że książki nosił, że po nocach czytywał, że czasem, gdy panna Julia grywała, okno otwierał, choć było zimno, aby się lepiej móc przysłuchiwać, że był bardzo grzeczny i uczynny. Ciocia go raz spotkała na wschodach, które dosyć były ciasne, ustąpił jej z drogi i uklonił się bardzo ładnie.

Brenner, który nigdy prawie w domu nie bywał, nigdy się z sąsiadem nie spotykał, nigdy nie wspominał o nim, gdy raz przypadkiem ciocia coś napomknęła o panu Kalikście, okazując ciekawość dowiedzenia się, co to był za jeden — zadziwił ją i córkę bardzo dokładnymi wiadomościami o sąsiedzie. Domyślać się godziło, że jako troskliwy i przewidujący ojciec musiał się postarać o to,

aby na wszelki wypadek wiedzieć, z kim ma do czynienia.

Brenner, jak zawsze, sucho, protokolarnie opowiedział, kto był ojciec pana Ruckiego, gdzie mieszkał, ile wieś jego była warta, w jakiej randze wyszedł z wojska, że był osobiście znany generałowi Krasińskiemu\*, że dwóch miał synów i czym się oni zajmowali.

Panna Julia wysłuchiwała też tego sprawozdania, ale zupełnie obojętnie.

— Pomimo że to dosyć goła — dokończył Brenner — ale też i dumna szlachta. Ojciec choć dał jednego syna do wojska w. księciu, ale księżę go nie lubi. Ma, słyszę, muchy w nosie.

Brenner wyrażał się w ten sposób o wszystkich ludziach mniej spokojnego charakteru, do których nie miał sympatii. Sam był człowiek okrutnie spokojny i regularny. W kółku rodzinnym nawet unikał wszystkiego, co by na chwilę ten spokój prawidłowy naruszyć mogło.

Między nim a córką na przykład już nawet niedaleko widząca ciocia Małuska dostrzegła pewnej różnicy przekonań, których starcia ojciec jak najtroskliwiej się wystrzegał. Panna Julia, wychowana wśród swych rówieśnic z rodzin dawnych szlacheckich, które zachowały gorącą miłość kraju, była też zapaloną patriotką. Brenner nigdy się wyraźnie z uczuciami dla przybranej ojczyzny nie objawiając (pochodzenia bowiem był jakiegoś nieoznaczonego), zbywał milczeniem ten przedmiot, a czasem nawet odzywał się z cicha: — „Głupstwo...”

Córka musiała to i spostrzec, i przeczuć, a jednakże, choć ojca kochała i była mu powolną, jakby na umyślnie często bardzo mówiła gorąco o Polsce i swym przywiązaniu do niej. Zdawało się to ojca niecierpliwić, milczał, chodził, mruczał, zagadywał — odezwał się niekiedy: — „Dać by temu pokój” — lecz córki nie nawracał. Później już oboje wystrzegali się drażliwego przedmiotu. Ile razy przypadkiem albo książkę patriotyczną, lub śpiewkę zakazaną znalazł u Julci, ojciec z widoczną niechęcią je rzucał, a nie śmiał nic jej powiedzieć. W rzadkich tych chwilach, gdy się rodzina zbierała razem, a przyszła mowa o czymś, jak uwięzienie, kara jakaś, postępek gwałtowny księcia — Małuska i panna Julia wyrzekały na surowość i ucisk, Brenner chodził milczący i ramionami ruszał. Widocznie go to niecierpliwiło. Najczęściej zamykał rozmowę: — „Dać by temu pokój — głupstwo”.

Raz czy dwa formalnie młodzież obwinił o niepotrzebne narażanie siebie i rodzin — dodając: — „Wszystko głupstwo i na nic się nie zdało”,

W tym roku Brenner czynniejszym się być zdawał i chmurniejszym niż kiedykolwiek. Wychodził czasami do dnia, a powracał nocami i posępny a kwaśny ledwie do córki przemówił. Po kilka dni niespodzianie wcale zniknął, a pytany, odpowiadał, że ma interesa. Jakiego one były rodzaju, o tym ani córka, ani siostra żony nie miała najmniejszego wyobrażenia. Że one jednak nie musiały być złe i opłacały trud, widać to było z zapasu, jaki Brenner gromadził. Pieniądzy nie tylko w domu zawsze było pod dostatkiem, ale się kupowały skórki i składały kapitaliki.

O zamożności ojca jednak córka nawet nie miała jasnego pojęcia, gdyż się z tego nigdy nie spowiadał, tryb życia się nie zmieniał, córce tylko, czego zażądała, dostarczał chętnie i bez trudności. Żądania jej były bardzo skromne. Dla siebie Brenner potrzebował też bardzo mało. Małuska miała

jakaś pensyjkę od rodziny mężowskiej, która jej starczyła na niewielkie potrzeby.

Pan Kalikst byłby się może nie poznał tak łatwo z panną Julią, gdyby nie prawdziwie romansowy wypadek. Wieczorem dnia jednego, gdy i kucharka była w mieście i Agatkę posłano po sucharki, pani Małuska chodząc nieostrożnie ze świecą, zapaliła w saloniku firanki. A że się nadzwyczajnie ognia lękała, zaczęła przeraźliwie wołać: — „Gore! gore!” — Otworzyła drzwi, wypadła na wschody. Od szewca się ludzie byli rozeszli, nikt jakoś nie usłyszał krzyku albo go nie rozumiał; gdy pan. Kalikst zbiegł z górki, do saloniku się rzucił, firanki oberwał, ogień pozalewał i — bardzo być może, iż nie tylko od strachu, ale z niebezpieczeństwa te panie wybawił. Tu naturalnie spotkał się oko w oko z panną Julią, która z równą jak on przytomnością i męstwem pomagała do stłumienia ognia. Wkrótce oboje śmiać się nawet mogli z wypadku, małą szkodą, choć wielką trwogą zakończonę. Ciocia płakała ze strachu i wdzięczności.

Wybawcy nie podobna było na chwileczkę nie zatrzymać, zwłaszcza że się podobał bardzo i od razu, że się dał poznać lepiej niż zwykle przy pierwszym spotkaniu, i że zarówno on, jak panna Julia sympatią ku sobie, coś pokrewnego w duszach swych uczuli. Pan Kalikst spostrzegł jakąś książkę, coś napomknął, zrozumiano się w jednych upodobaniach i wstrętach. Panna Julia była też wielką Mickiewicza wielbicieleką.

Zawiązała się niespodziana, dziwna znajomość. — Po wyjściu sąsiada panna Julia długo jakoś o nim myślała. Ciocia ciągle mówiła o nim. Pan Kalikst był jak piorunem rażony widokiem pięknej Julii — czuł się od razu zakochanym i to go do rozpacz przyprowadzało — bo się czuł związanym i niewolnikiem.

Na pierwszym piętrze i na górze jedne prawie uczucia, jednakie postanowienia się zrodziły — panna Julia czuła, że młodzieniec na niej uczynił wrażenie, jakiego nie doznała w życiu; miała zamiar się bronić, gniewała się na siebie za zbytnią wrażliwość i sentymentalność. Kalikst próbował szydzić sam z siebie, ruszał ramionami, potem rzucił się do książki — nie mógł czytać, chciał się zmusić, prześladowany wspomnieniem, wziął się do roboty, ta nie szła, sklecił wierszyk, podarł go, i poparzone trochę ręce opatrzywszy, bardzo późno spać poszedł.

Gdy nocą już powrócił do domu Brenner i w progu zastał ciotkę spieszącą z opowiadaniem o nieszczęściu i ratunku, patrząc nań bacznie, rzekłby kto, iż daleko się więcej zmartwił przybyłym na pomoc sąsiadem niż samym wypadkiem.

Nie powiedział nic wprawdzie, ale zamiast wypytywać o szkody i niebezpieczeństwo, dowiadywał się, jakim sposobem mógł się tu młodzik dostać. Panna Julia, która słuchała i patrzyła na ojca, rozumiała to i zarumieniła się mocno. Wypadało ze wszech miar, aby gospodarz poszedł podziękować uczynnemu młodzieńcowi; ciotka, dając mu to do zrozumienia niewyraźnie, sądziła, że sam się tego domyśli. Brenner jednak wcale snadź sobie nie życzył tej znajomości i głównie zdawał się niepokoić tym, że ona niejako zawiązała się sama.

Troska ta tak była widoczną, a dla Julii znać obrażającą, że po wyjściu ciotki czuła się zmuszoną powiedzieć ojcu:

— Widzę, że się papa obawiasz tego stosunku i znajomości, ale proszę być spokojnym. Płochą nie

byłam i nie jestem, i dla mnie nie ma najmniejszego niebezpieczeństwa...

Ojciec, który obawiał się ukochanemu dziecięciu przykrość uczynić, zaczął się tłumaczyć, niemal przeproszać, uniewinniać się; nie uszło jednak jego oka, iż Julcia poruszona była mocno, obrażona prawie, a bądź co bądź, w niezwykle sposób tym dotkniętą. Pocieszał się, chwilowej doznawszy nieprzyjemności, tym, że ona jednak będzie przestrogą i zapobieży dalszemu zbliżaniu się młodych ludzi.

Cale przeciwnego zdania pono była ciocia, która widziała w tym jakby palec i zrządzenie Boże, a w panu Kalikście najpożądańszego męża dla kochanej siostrzeniczki. Z tym jednak się nie wygadała przed nikim. Obiecywała się tylko modlić na tę intencję.

Brenner, człowiek niezmiernie zręczny i przebiegły, jak się okazało, nazajutrz wybrał tak godzinę wyjścia z domu, aby właśnie na wschodach się spotkać z panem Kalikstem. Pozdrowił go bardzo chłodno.

— Słyszałem — rzekł — że pan byłeś łaskaw wczoraj przyjść w pomoc moim kobietom w tym ich popłochu. Pozwól, bym mu za to podziękował. Zajęty jestem tak i w takich godzinach do domu powracam, żeby mi inaczej trudno było mu się z tego długu uiścić.

Pan Kalikst odparł tylko, że to była bardzo mała przysługa, nie zasługująca na żadne podziękowanie — a Brenner, unikając dalszej rozmowy — natychmiast kroku przyspieszył i — odszedł.

Chociaż pan Kalikst sam się pono do tego nie przyznawał przed sobą, jednakże po raz pierwszy począł następnego dnia szukać środków spotkania się, zobaczenia z piękną Julią. Nie było to łatwym. Stósunki z ciocią utrzymywały się jak najlepsze, ale panna się nie pokazywała.

Trafem to czy instynktem, czy nie wiem już czym nazwać należy — ale — w parę dni potem, gdy panna Julia przez Saski Ogród powracała z Agatką do domu, na drodze się jej trafił Kalikst. Nie rozmyślając nad tym, co czyni, nie troszcząc się o to, czy pannie natrętnym nie będzie — skłonił się, zbliżył i rozpoczął rozmowę, powiadając sobie w duchu, że jeśli go się zbywać będzie panna Julia i okaże mu oziębłość widoczną, natychmiast ją pożegna.

Panna się wprawdzie zarumieniła straszliwie, zmieszana mocno, ale w tejże chwili odzyskała przytomność, wesołość i nie tylko że nie odstręczyła pana Kaliksta, ale nie okazując najmniejszej zalotności, z powagą i prostotą wielką zawiązała z nim rozmowę, wcale nie zdając się jej odpychać.

Było gorąco, zaczęło się to więc od ogólników, przeszło na muzykę, której pan Kalikst był wielkim a wielkim miłośnikiem, potem na poezję i książki.

Zacząto mówić o *Marii Malczewskiego*\*, o Mickiewicza balladach\* i kilku jego nie drukowanych poezjach. Kalikst się zdziwił, że panna Julia znała je, niektóre nawet na pamięć umiała. O poezji mówiąc — potraça się o uczucie. Rozmowa jednak młodych ludzi wcale wesołą i płołą nie była. Od pierwszych wyrazów postrzegł Kalikst, że ma przed sobą nie dziecinną i zalotną dziewczeczkę, ale kobietę nad wiek swój dojrzałą, prawie na oko chłodną i zdrowo sądzącą o wszystkim. Żartobliwy

ton nie przystawał wcale do jej usposobienia — łatwo mu przyszło go zmienić.

Od poezji przeszli do romansów historycznych Walter Skota\*, które naówczas nowością swą i pięknnością zajmowały. — Wychodził właśnie *Klasztor\**, tłumaczony zbiorowymi siły, do których i Goszczyński\* w znacznej mierze należał. Oboje nie postrzegli się, jak z Ogrodu Saskiego przeszli znaczną przestrzeń ku Świętokrzyskiej ulicy, wymieniając myśli, uśmiechając się sobie i coraz mocniej czując, że się z sobą we wszystkim dziwnie godzili.

— Nie miej mi pani za złe mojego natręctwa — rzekł w końcu Kalikst, widząc, że już do kamienicy było niedaleko, i chcąc wprzód pożegnać pannę, aby powrotem z nią razem nie dawać powodu do plotek kulawemu Noińskiemu, który ciągle patrzył w okno, i chłopakom Aramowicza — nie postrzegłem się, jak mi czas ubiegł i żem panią mógł znudzić. Ale — nie bierz pani tego za komplement, prawdziwy urok rzuciłaś na mnie, nie mogłem się oprzeć...

Julia spojrzała nań poważnie, ale bez gniewu i łagodnie.

— Gdybym się miała gniewać — odpowiedziała — i gdyby mi, bez pochlebstwa, rozmowa jego miłą nie była, byłabym pana zaraz w Ogrodzie pożegnała. Ja mam zwyczaj może do zbytku być szczerą i otwartą. Dla pana rozmowa ta nie była niczym rzadkim, bo mu daleko łatwiej pewnie znaleźć towarzystwo, Ja nie mam tak jak żadnego... Jednakże muszę pana uprzedzić — dodała z uśmiechem — że ojciec mój jest bardzo surowy i że, choć tak blisko z sobą sąsiadujemy, nawet go do nas nigdy zaprosić nie będę mogła!

Mówiła to tak naturalnie, że pan Kalikst nie mógł ani sobie wyrazów tych inaczej tłumaczyć, jak brzmiały, ani z nich nic wyciągać. Widać było z tonu, z głosu — że była szczerą, ale oczy mówiły — że była życzliwą,

— A! pani — zawołał Kalikst — za wiele by to było szczęścia dla mnie, doprawdy, nigdy się tego nie śmiałem spodziewać, Niech mi jednak będzie wolno, jeśli kiedy traf szczęśliwy spotkać nam się dozwoli...

Panna Julia się zarumieniła, milcząca, Kalikst, widząc, że się zbliżają do kamienicy, szybko ją pożegnał. Noiński ani pacholęta Aramowicza, ani niepoczciwy wisus Józiek przekupki nie postrzegli Kaliksta przeprowadzającego pannę, ale — tajemnica dla cioci zachować się nie mogła, bo z okna na pierwszym piętrze widać było daleko, a pani Małuska, na książce czytająca z pomocą okularów, odległe przedmioty doskonale rozróżniała, W dodatku Agatka szła za panną, a była papla, że by się ze śmiertelnego grzechu wygadała.

Ze spuszczoną głową panna Julia sama, zamyślona, do domu powróciła. Ciotce tak było pilno rozmówić się z siostrzenicą, że wyszła naprzeciw niej na wschody. Nie śmiała zagadnąć, a pałała ciekawością,

Julia, zdejmując kapelusz, odezwała się zaraz:

— Wie ciocia, z kim się spotkałam?

— Domyślam się... a raczej przyznam ci się, kochanie, z dalekam widziała.

Zarumieniła się Julia mocno,

— No, to już nie mam się z czego spowiadać — rzekła wesoło.

— Ale, owszem, mów, bo goreję z niecierpliwości, jakże to było? jak?

— Przypadkiem zeszedłam się z nim, wracając, w Saskim Ogrodzie.

— A! przypadkiem! doskonała jesteś — przerwała ciotka — chcesz, bym wierzyła w przypadek! Filut chłopak szpiegował cię, szukał, czekał i postawił na swoim...

— Ale nie może to być! — oburzyła się Julia.

— Dlaczego? i cóż w tym złego? proszę — mówiła ciotka. — Miałabym go za ślepego, żeby się w tobie nie zakochał — a przyznam ci się...

Nie dokończyła i spytała:

— Przyczepił się i przeprowadzał?

— Ano, tak, jeśli ciocia chce, to się przyczepił... Rozmawiając szliśmy prawie do kamienicy, ale miał tyle delikatności, że mnie pożegnał wprzód...

— Bo rozumny, bo przyzwoity co się zowie — dodała ciotka klaszcząc w ręce. — Po cóż miał Noiński z tego zaraz robić historie jakieś.

Pomilczały trochę, a pani Małuska westchnęła.

— Nie mówię ja nic nigdy przeciwko ojcu twojemu, rozumny człowiek, ojciec dobry — ale żeby też nie zaprosić go do domu... Z każdym innym rozumiem ostrożność, ale to człowiek edukowany, przyzwoity, ty nad wiek stateczna — a zresztą od czegoż ja tu „szumeruję”\*?

Rozśmiała się, ramionami ruszając.

— O tym ani mowy być nie może — zamknęła Julia.

W istocie skończyła się rozmowa nawet, zwracając na przedmiot inny.

Nazajutrz spotkano się — przypadkiem — na wschodach. Pan Kalikst niósł książkę, pokazał ją, panna Julia była jej ciekawą, prosił, aby ją do czytania wzięła i odesłała mu potem. Nie odmówiono. Owszem, spojrzała nań panna Julia bardzo życzliwie, podała mu rękę. Byli tak z sobą jakoś poufale, dobrze, bez zalotności i bez trwogi, jak brat z siostrą.

Rozstali się z tym uczuciem, że się znowu spotkać muszą i widywać będą, choć tego sobie nie powiedzieli. Tylko Agatka i kucharka szeptały po cichu, że już się kawaler z górki do ich panny

zalecał. Ciocia, podsłuchawszy rozmowy, mocno je zgromiła, wytłumaczyła niewinną znajomość pożarem i nakazała milczenie.

Kucharka jednak poufnie coś napomknęła o tym Noińskiej, a ta, niewiasta wielkiego doświadczenia, rzekła jej na ucho:

— Ja to z dawien dawna wiedziałam, że się na tym skończyć musi. Moja jejmość, krew nie woda... oboje jakby stworzeni dla siebie, ale co stary na to powie? He! tu sęk!

— Stary — rzekła kucharka, zadumaną głowę wspierając na łokciu — stary... a kto naszego pana odgadnie? Niech pani majstrowa powie, kto z nas go zna? Ja u nich służę, co dzień go widuję, myśli pani majstrowa, ja go w najmniejszej rzeczy znam! Ani ździebdiątka... kto go wie nawet, co on na świecie robi...

— Już to prawda — potakiwała Noińska, głos zniżając i szeptem wyjawiając zwierzenie. — Bo, czy on służy, czy handluje, czy lichwuje, czy czym tam na świecie na chleb zarabia, nikt — jak Pana Boga kocham — nikt nie umie zgadnąć.

— Myśli pani majstrowa — dodała kucharka — co jego najbliżsi, jakby się rzekło, Małuska albo dziecko rodzone, znają jego chody i zachody — jak Pana Boga mojego kocham — tyle, co i my, pani majstrowa albo ja...

— Ale czyż to może być, moja jejmość — szeptała Noińska, ucierając nos od natury danym na to narzędziem — czy to słychana i widziana rzecz, aby też się to tak taiło? Panie Boże, odpuść grzechy, mogłoby się wydawać, że to tam coś krzywo stoi, kiedy się tak ludzkich oczów lęka. Moja jejmość, jak na przykład, nie przymierzając, kiedy mój stary buty szyje, nie tai się z tym, albo ten Aramowicz, co stołki kleci, wiadomo o tym całemu światu. A ten — służy nie służy?... handluje, szachruje — kto go wie! To prawda.

— Święta prawda, moja pani majstrowa. Albo to też, że do niego nikt nigdy, przenigdy nie przyńdzie? Wyńdzie rano, cały dzień go nie ma, na obiad, jak nie ma na swoją godzinę, przykazanie jest: nie czekać. Często powróci, kiedy my już do snu się bierzemy, tylko panna zawsze, nie rozbierając się, czeka na niego... a czyta. Przyleci, jakby się z ukropu, z przyzwoleniem, wyrwał, zaraz do swojego biurka. Z kieszeni jakieś papiery powybiera i na klucz zamknie.

— Co jejmość mówi? papiery? nosi papiery? — przerwała szewcowa.

— A jużci! pełny kieszenie! a tak o nich pamięta — jak oka w głowie pilnuje. Hnet do biurka i traf — zamknie. Raz, jedyny raz się tak przydarzyło, że w surducie czegoś był zapomniał, powiadam majstrowej, z pozwoleniem, w jednej koszuli wyleciał do sieni zaraz, aby tego papieru dostać. A blady był — trzął się, aż strach.

— Proszę ja kogo, moja jejmość—odezwała się Noińska— to jużci nie bez kozery... pewnie, co papiery ważne być muszą.

Schyliła się do ucha kucharki.

— Ja powiem jejmości — bywałam w Bywalicach\*... to nic innego, tylko wedle szachrajki z pieniędzmi, że na lichwę pożyczca. Ale jak to wilk koło domu owiec nie chwyta, to kiedy Matuszowej raz pięćdziesiąt złotych było potrzeba — rozstąpi się ziemia — a poszła go prosić — nie dał.

— Nie dał?!

— Nie dał! powiedział: czy to ja jaki procentnik, kapitulista? a u mnie skąd pieniądze mają być? Chciała Matuszowa zastaw dać, to się jeszcze ofuknęła\* i drzwiami trząsał. Dopiero nazajutrz Małuska niby to ze swoich pieniędzy dała jej na dwa tygodnie przez procentu... Albo to filuteria? ho! ho! myśli sobie: co mają wiedzieć, czym się ja zabawiam? Noiński przyjdzie — przyjdzie Aramowicz, rozgłoszą się wielkie procenty... zaraz człek spadnie z waloru. A tak, co się na Pradze lub na Solcu stanie, kto go wie? i człek sobie pan radzca, a konsyderować\* trzeba...

Kucharka głową kiwała. :

— Już jak to pani majstrowa wyklada, jakby człek patrzył... Pewnie, że nie inaczej być musi.

— Ja powiem jejmości — szepnęła tajemniczo Noińska — on ma swój kantor pewnie kędyś w mieście... Gdzie by on siedział po całych dniach? gdzie?

— Oczewiście — rzekła kucharka — pani majstrowej też nie tajno, czy słota, czy błoto, czy mróz, czy piorony biją — on musi wyńść, żeby tam nie wiem co... musi.

Zamilkły obie kumoszki.

— Założyłabym się — dodała Noińska — że pieniędzy ma na krocie.

— Kto jego wie? Dlatego sam sobie na buty prawie żałuje...

— Zresztą dobry człek — poprawiła majstrowa — nie można powiedzieć!

Kucharka dziwnie głowę chyliła na prawo i na lewo.

— Żeby był zły, tego ja też nie powiem. Pasjonat nie jest — człeka nie pokrzywdzi, ale żeby znowu do niego można przystać — trzeba być córką chyba... E! panienkę to już kocha, że nie można lepiej — ale tyle świecy i wosku. Już Małuskę ma za ba i bardzo, a reszty świata...

Machnęła ręką.

— Córce to by rad niebios przychylić — co prawda... ano i tyle. Pierwsze oko w głowie. Dla niej by najdroższej rzeczy nie poskąpi, a sobie bielizny nie sprawi i w łataniej chodzi...

— No i co z tego romansu będzie, jak się jejmości zdaje? — spytała Noińska.

— Kto ich wie! nasza panna jak ojciec zamknięta, nawet się nie wyda, co myśli. Małuska by gotowa rajfurzyć\*! o!... babinie . aż gęba się nie zamyka — ale — z naszą panną... Mnie się widzi, że ani ciotka, ani ojciec, ani nikt nie pokieruje na świecie... Jak czego chce albo nie chce, to tam



próżno gębę studzić!...

Noińska kiwnęła głową.

— Kawaler stateczny, ojciec, słyszę, kole Sandomirza wioskę ma, brat pod wielkim księciem we wojsku. Karaj Boże do wieku, nigdy wy jego tu w kamienicy nie widzieli, żeby najmniejsze bałamuctwo na nim było. Młody, przystojny.

— Na, moja pani majstrowa — odrzekła kucharka — jużci, Bogiem a prawdą, i pannie też nic zadać nie można. Śliczności, adukacja pańska i ojciec grosz robi.

— To co? — odparła szewcowa — albo to jejmość nie wiesz, coś po szlachcie sługowała, że taki Brenner może i z Żydów albo z Szwabów, co jeszcze gorzej... to zawsze ino śmierdzi... Hę! hę!

— A jużcić — ale, moja majstrowa, kiedy pieniądze są...

— O! to prawda, moja jejmość, ty pieniądze! ty pieniądze! bodaj ich świat nie znal. Wszystko złe z nich. Człek haruje, pracuje — nie uciuła, a taki ot, co rękami nic, tyle głową męduje, ludzi okpiwa, same mu idą do kieszeni. Jak Pana Boga Kocham...

Kucharka, która stała z koszykiem, namyśliła się wreszcie wyjść na miasto i zajmująca rozmowa na tym się przerwała.

\* \* \*

Nigdy może, chyba w przededniu Sejmu Czteroletniego, nie było tyle życia w Warszawie, co w tym roku, który miał się listopadem stać pamiętnym. Lecz Sejm Czteroletni, wyjąwszy chwilę przed ogłoszeniem ustawy dnia 3 maja — jawnie działał i wpływał na kraj — ruch 1830 roku musiał się cały taić z sobą. Najmniejszy objaw jego był podejrzanym i nie przechodził bezkarnie. Cała niezliczona falanga szpiegów najrozmaitszego rodzaju i rangi czuwała szczególnie nad młodzieżą, w której rewolucyjnego ducha podejrzewano. Winą niemal było dla pogadanki się zbierać i głośniejsze nieco śmielszą objawić opinią.

Co rano książę odbierał raporta, w których czytał, co wczoraj się stało w stolicy. Mówiliśmy już, że cała ta kosztowna machina na niewiele była przydatną, rzadko jej się udało coś istotnie ważnego pochwycić — ale zmuszona za pieniądze, które kosztowała, wypłacać się czymś, znosiła drobnostki i służyła do dręczenia ludzi, do nękania ich strachem. Za mniejsze przewinienia, za niebaczone słowa wyżej położone osoby powoływano do Belwederu — co już było karą — za podejrzenia, gdy padły na tych, z którymi nie było potrzeby robić wiele ceremonii, pakowano do kozy. Tu częstokroć samo śledztwo starczyło na nabawienie chorobą człowieka, na przyprawienie go o śmierć, jeżeli się do czego poczuwał.

Pomimo tej surowości i oka argusowego\* nigdy może do spiskowania nie było większej ochoty. Spiski i sprzysiężenia były w powietrzu, patriotyczne wiersze obiegały Warszawę i prowincje. Łapano je — nie mogąc dojść sprawców, pokutowali ci, na których je policja schwyciła. Co dzień prawie przynoszono księciu jakieś strofy, które go do wściekłości pobudzały.

Lubowidzki z całą swą armią nie zdołał nigdy nic pochwycić więcej nad to, co po powierzchni pływało. Tu i ówdzie zjawiał się wierszyk węglem na ścianie nakreślony, kawałek papieru przyklejony do muru; pisano raporta. Stan ducha objawiał się aż nadto wyraźnie, lecz mieszkania jego żadne oko wysledzić nie mogło. Któżby był mógł przypuszczać, że jednym z ognisk była pod bokiem i okiem księcia zostająca Szkoła Podchorążych?? Młodzież nikogo ze starszych nie przypuszczała do tajemnicy, lękając się, aby ich chłodny rozum jej zapału nie studził. Rachowano na wielu, nie wzywano do rady nikogo.

Równolegle z ruchem patriotycznym i związkowym literacki tłumiony i wstrzymywany przez cenzurę wylewał za jej brzegi.

Czego wydrukować nie było można, to krążyło przepisywane.

Tak samo jak spiskowi czuli niezbędną potrzebę swobody dla narodowego ducha — literaci widzieli konieczność wyłamywania się z więzów, które na nich bezmyślne szkolnictwo wkładało i pedanteria. Z Wilna i Litwy wyszedł ruch ten reformatorski, który był tylko odbiciem prądu przebiegającego Europę. Polska młodzież zerwaną na czas jakiś tradycją równomiernego chodu z Zachodem i cywilizacją na nowo szczepiła i wiązała. Klasycyzm warszawski\* był wyrazem bezmyślnego, gnuśnego konserwatyzmu nieuków, ukrywających swą nagość za posągami mistrzów starożytnych — Mickiewicz podnosił chorągiew postępu — pochodni, życia. Z jednej strony była śmierć, z drugiej — może niekiedy szalone, wybujale, ale żywe życie. Pomiędzy falgą tych, co trzymali z trupami, i zastępem gorących rycerzy przyszłości wojna wrzała, do której rękawicę rzucił Mickiewicz pismem\* do krytyków warszawskich wystosowanym. U jenerała Krasińskiego i po innych domach spierano się gorąco o romantyzm i klasycyzm\*, pod którymi kryło się po prostu życie i ruch — a śmierć i odrętwienie. Pomiędzy bojującymi zastępami stali smutni, nie wiedząc, gdzie iść, aby nie opuścić braci, słodki śpiewak *Wiesława*\* i dowcipny *Morawski*\*. *Koźmian*\* tymczasem piorunował na nowatorów i sławę obozu podtrzymywał poematami umarłymi w powiciu.

Myśl przewodnia tej walki nie dla wszystkich była jasną, ale epizody jej roznamiętniały. Wadzono się o rymy, o miary, o przedmioty, o wyrażenia, o drobnostki — z zagorzałym niesłychanym.

W tym boju na pozór niewinnym, do którego trudno było się wmieszać policji, książę i jego klika widzieli wszakże jedno — ruch, który umysł z uśpiania budził i zbytnio ludzi ożywiał, śmiałość pewną i niezależność. Było nieco rewolucji w romantyzmie — a wyznawcy jego składali się z żywiołu nienawistnego księciu, który tylko pod karabinem i pod pałąk chętnie młodzież oglądał.

Policja więc czuwała tak samo nad *Kawą Literacką*\*, nad wieczorkami literackimi po domach, nad redakcjami pism najniewinniejszych — jak nad najpodejrzańszymi ogniskami.

W kilka dni po widzeniu się z panną Julią na wschodach Kalikst, który lubił się przysłuchiwać

rozmowom o literaturze i uczyć ze sporów, jakie się niemal zawsze wywiązywały, wieczorem poszedł na kawę. Znał parę osób należących do literackiego grona i przypuszczanym był do niego, choć się wśród tego grona bardzo skromnie znajdował. Tu się było można dowiedzieć zawsze o nowo ukazujących się i obiecujących książkach, o losie pism i dzienników, które zakładać myślano.

Co do politycznej prasy, tej rozwinięcie się było zupełnie niemożliwym w owej chwili—myśleć o nim nawet nie śmiano, z tym większym więc zapałem rzucano się ku literackim projektom, do których na chęciach i pragnieniach nie zbywało, ale na środkach. Gorąca młodzież cała niemal była zależną i ubogą, a mecenas<sup>\*</sup> starsi liczyli się do obozu przeciwnego.

Pomimo kilku pisemek potrzeba literackiego zbiorku uznana była powszechnie. W nim i utwory nowe, i polemika o nie mieścić się miały. Niestety — na to pismo tak pożądane brakło nakładców i funduszów. Stósunkowo rozpowszechnienie naówczas było niewielkie, po wsiach czytano po francusku albo nie czytano wcale, prenumeraty wozili apostołowie<sup>\*</sup> narzucając ją stękającym na podatek, pismo więc musiało mieć mecenasów i utrzymywać się ofiarami, o swej sile stać nie mogło.

Szło też o określenie programu, a tu jedni stawali na krańcach do walki, drudzy z Brodzińskim<sup>\*</sup> żądali eklektyki<sup>\*</sup> i przejednania, nie potępiając nikogo.

Na wieczorach na kawie pokazywały się często i znakomitości ówczesne, młodsze przynajmniej. Nie był bezprzykładnym Lelewel<sup>\*</sup>, na którego nie tylko uczonych i reformatorów, ale i gorętszej młodzieży, do czynu usposobionej, oczy i serca się zwracały. Przychodzili tu Ukraińcy<sup>\*</sup>, zastęp młody, energiczny, i Litwini, wychowańcy Wilna<sup>\*</sup>, jak tamci byli dziećmi Krzemieńca. Lecz z Lelewelem o literaturze ówczesnej mówić było trudno. Niósł on pochodnię w pomroki dziejowe, zbrojny w surową krytykę, ale w sprawie romantyzmu czuciem się tylko powodując, temu przyznawał słusność, w kim czuł gorętsze życie, energią i siłą. Wieczory w tym kółku schodziły przyjemnie. Nie było dnia prawie, żeby tu któryś z dawnych gości nie wprowadził nowego przybyльца, „zza Buga”.

Stała jeszcze naówczas ta granica na Bugu, która kraj rozrywała na dwoje, nienawidzona przez cesarza Mikołaja<sup>\*</sup>, pragnącego się jej pozbyć, ale równie nienawistna tym, co do wspólności z braćmi wzdychali. — W Warszawie urzędownie była Polska, za Bugiem goręcej biły serca polskie, choć się im takimi ledwie nazywać było wolno. Braci zza Buga witano zawsze serdecznie, z jakąś ciekawością niespokojną. Tu i tam jedne były myśli i uczucia pociągające się wzajemnie.

Gdy Kalikst wszedł tego wieczora, zastał już w kawiarni pełno dymu, fajki w robocie od dawna i gromadkę znajomych swych zebranych około młodego mężczyzny, bladej twarzy, wejrzenia śmiałego, ruchów żywych, który półgłosem coś opowiadał, czegoś dowodził. Gdy nowy przybysz stanął, aby mu się przysłuchać, zrazu mówca zatrzymał się nieco, spojrzawszy na niego, jakby nie był pewien, czy może dalej mówić swobodnie, lecz widząc, iż się z nim wszyscy witali, natychmiast przerwane dowodzenie nawiązał na nowo.

— Tak jest, wierzcie mi — mówił — jednego pisma porządnego, stojącego na wysokości naszych potrzeb, nie mamy. Potrzeba je stworzyć, ale trzeba się zgodzić na to, czym ono być ma.

Wysokiego wzrostu, pięknej postawy, ujmującej twarzy brunet z usty różowymi zagadnął.

— Więc o programat prosimy...

— Mów, panie Michale, wtrącił drugi — Stefanowi będzie szło o to głównie, aby swe poezje biblijne miał gdzie drukować.

Brunet zarumienił się mocno.

— Poradźmy się profesora Brodzińskiego — rzekł ktoś z boku — jest to człowiek i wielkiej nauki, i wielkiego umiarkowania, pojmujący...

— Wszystko, co chcecie — zawołał ten, którego nazwano Michałem — jestem jego wielbicielem, ale — choć to żołnierz i wódz — ja go dziś na naczelnego komendanta nie wezmę. Za łagodny jest, za dobry, za pobłażający. Życie odebrało mu energią — duch mieszka w nim spokojny, a my, nie łudźmy się — idziemy na wojnę.

— Ciszej — rzekł ktoś — z wojną...

— Ale, na Boga, wszak tylko przeciw pedanterii i odrętwiałości — dodał pan Michał.

Parę śmiechów słyszeć się dało.

— Młodych sił nam potrzeba — mówił dalej ten, którego otaczano — na tych nam nie zbędzie, zabrane gubernie ich dostarczą.

Znowu ktoś bojaźliwszy syknął, ale się rozśmiano z tchórza.

W tej chwili jakoś jeden ze stojących rzucił okiem po pokoju, tak zadymionym, że nie łatwo było dostrzec na uboczu siedzących — za jego wzrokiem poszedł machinalnie pan Kalikst i w kątku przy małym stoliku spostrzegł Brennera, który z głową odwróconą pił kawę, nie zważając wcale na gromadkę rozprawiającą w drugim końcu.

W tejże chwili zaczęto się jakoś potrącać łokciami, oczyma sobie dawać znaki i rozmowa, zupełnie swobodna, nie ustając, zmieniła tok, przedmiot nawet, zwracając się ku rzeczom powszedniejszym. Starano się widocznie, aby to nie bardzo było wyraźnym. Jednakże całe życie, jakie niedawno się wylewało, jakby sparaliżowane, zatrzymało się i ustało, parę osób obejrzało się za kapeluszykami, zaczęto wstawać, wymknęło się kilku, reszta rozproszyła.

Kalikst, który od razu poznał sąsiada swego, tak tym był uderzony, zdziwiony, dotknięty niemal, iż nie mogąc się powstrzymać, wziął do drugiego pokoju przyjaciela swojego, Edwarda.

Edward, kolega z ławki jednej w Liceum, był nieco starszym od Kaliksta i niezależnym. Bawił w Warszawie, będąc znanym i chętnie przyjmowanym w najpierwszych domach — Kalikst nie wiedział właściwie, czym się zajmował. Na pozór bawił się tylko i trzpiotał. Właśnie Edwarda wejrzenie spowodowało ten popłoch i rozproszenie.

Weszli do drugiego pokoju, w którym nie było nikogo. — Kalikst mu się zbliżył do ucha.

— Mój drogi — rzekł — dlaczegożeście się tak zmieszali i rozmowę ucięli w chwili, gdy prawdziwie była zajmująca.

— Jakże? nie widziałeś! — odparł Edward.

— Kogo? co?

— A tego jegomości przy stoliku na boku!

— Któż to ma być?

— To znany szpieg Lubowidzkiego i donosiciel w. księcia... Mówią, że ma wstęp wolny do Belwederu. Zowie się Brenner. Kalikst zbladł.

— Możeż to być! — zawołał mimowolnie, łamiąc rękę.

— Nie może — ale jest, najpewniej — kończył Edward. — Człowiek niezmiernie zręczny, przebiegły i najniebezpieczniejszy w świecie.

Wtem Edward spojrział na zasępionego i zmieszanego przyjaciela i chwycił go za rękę.

— Co ci jest? dlaczego cię to tak poruszyło? Przecież obawiać się nie mamy czego! Choćby sam Jurgaszko nas słuchał z Makrotem, nie znalazłby nic grzesznego w rozmowie. Zawsze jednak wypadało się mieć na ostrożności — dla tegośmy woleli przerwać rozmowę, która się gdzie indziej przeniesie.

Kalikst stał ciągle jak skamieniały. Edward go potrącił.

— No — powieszże ty mi, co się stało?

— Tyle tylko, że mieszkam w jednym domu z tym Brennerem... ja na górze, on na pierwszym piętrze. Nigdy się nie domyślał jego nieszczęsnego powołania.

Ruszył ramionami.

— Spodziewam się — szepnął Edward — że byłeś ostrożnym, bo że nim będziesz teraz, o tym nie wątpię. Nie masz tam co na sumieniu?

— Zdaje mi się, że nic — odparł Kalikst — lecz, proszę cię, jestże to pewnym?!

Edward głośno się śmiać począł.

— Ale proszę cię, cały świat wie o tym, znają go nie mniej od Birnbauma i innych, choć pośledniejsze na pozór zajmuje stanowisko. W służbie tej jest od dawna i ma mieć wielkie zasługi... Dosyć powiedzieć, że nawet szpiegi się go obawiają i że gdzie potrzeba czego nadzwyczajnego dokazać, jego ślą...

Kalikst nie odpowiedział już nic, na czoło mu pot wystąpił, uczucie bólu niewysłowionego ścisnęło mu serce. — Pożegnał przyjaciela i wyszedł. W pierwszym pokoju Brennera już nie było.

Nie bardzo wiedząc, dokąd idzie, co z sobą pocnie, Kalikst się znalazł na ulicy, świeże powietrze nieco go orzeźwiło. Strapiony, powlókł się machinalnie ku Ogradowi Saskiemu.

Był zakochanym... kilka razy spotkawszy się z Julią, puścił już wodze sercu i rozgorzał tą młodzieńczą miłością niezmierną, która w szczęściu staje się szalem, w niedoli rozpaczą. — Julia córką tego człowieka? Kwiat ten tak czysty, tak wonny, wykwitły na tej łodydze ohydnej? Być że to mogło? Natura mogłaż się dopuścić takiej monstrualnej igraszki?

Przyszło mu na myśl, że Julii powaga, prostota, dobroć, urok, spokój, wszystko być mogło udanym, odegranym, fałszywym.

Wstrząsł się cały. — Tego niepodobna było przypuścić! Takie udanie stałoby się zbrodnią. — Jak obłąkany począł iść nie patrząc, ciągle się dając potrącać. .

Był wieczór. Nie chciał powracać do domu, aż by ochłonał z tego straszego wrażenia. Szedł tak z głową spuszczoną, gdy — „Dobry wieczór panu!” — cichym wyrzeczony głosem — obudził go, a raczej przestraszył, tak że odskoczył na krok.

Julia go właśnie, śmiejąc się i witając ręką, mijała. Za nią szła jak zwykle Agatka, niosąc nuty, bo wracano z jakiejś próby dua\* na dwa fortepiany.

Kalikst odkłonił się grzecznie, na twarzy jego widać było takie pomieszanie i cierpienie, taki ból wewnętrzny że Julia, postrzegłszy to, niespokojnie się doń zbliżyła.

— Co panu jest? Chory pan jesteś?

— Tak, w istocie — trochę mi — niedobrze — słabym głosem rzekł Kalikst. — W istocie... doznałem tak przykrego wrażenia...

Julia westchnęła.

— Nie śmiem spytać, nie potrafię go pocieszyć — odparła i ciszej dodała:

— Nie idziesz pan do domu?

— Sam doprawdy nie wiem — rzekł wahając się Kalikst — ale wtem spojrzał na Julią, czysty jej wzrok spotkał się z jego oczyma, i postanowił jej towarzyszyć.

— Ma pani słuszność, bólów lepiej jest na świat nie wyprowadzać — i z nimi skryć się w domu — ale pozwoli—ż mi pani towarzyszyć sobie?

Julia dała niemy znak przyzwolenia. Jakiś czas nie odzywając się do siebie szli dalej.

— Wstyd mi doprawdy — przerwał w końcu milczenie Kalikst — że tak niemęsko jestem

wrażliwym. Nieprawdaż, żem się pani musiał wydać dziecinnie słabym?... Mężczyźnie nad słabość i brak energii trudno, cięższego uczynić wyrzutu. Naszym obowiązkiem mieć siłę. — Lecz muszę się pani wytłumaczyć choć trochę. Wiadomość o plamie ciążyącej na rodzinie, która mi jest drogą... dla której...

Jeszcze nie dokończył, gdy oczy Julii z wyrazem niezmiernego niepokoju i obawy się nań zwróciły. Chociaż widocznie walczyła z sobą i chciała udać obojętną, Kalikst widział, iż była wzruszoną, jakby się domyśliła czegoś. Lecz trwało to chwilę przelotną tylko, Julia wnet odzyskała całą przytomność i odezwała się obojętnie:

— Plama ciążyąca na rodzinie? — zapytała. — Proszę pana, czyż rodzina tak jest cała za siebie odpowiedzialną lub czy wszyscy są winni??

— Źle się wyraziłem — odezwał się Kalikst — plama ciąży na jednym jedynym członku rodziny.

— Czy w przekonaniu pana spada ona na rodzinę? — spokojnie mówiła Julia.

— Sprawiedliwość Boża i ludzka — nie czyni nas odpowiedzialnymi za winy cudze — ale sądy ogółu, ale... ale...

Potrząsnął głową i zamilkł.

— Nie mówmy o tym lepiej — dodał po chwili.

Szli z sobą razem. Kalikst patrzył na tę czystą, piękną postać i płakać mu się chciało nad nią. Czuł, że powinien się być oddalić, wyrzec, ale już nie miał siły.

— Bardzo mi pana żal — po chwili poczęła Julia — a zarówno żal mi tej rodziny nieszczęśliwej, niewinnej, a karanej, cierpiącej i potępionej. Co za los...

Westchnęła.

— Są straszliwe tragedie na świecie — szepnął Kalikst. Spojrzeli na siebie. Szli tym razem tak jakoś powoli, że daleko było jeszcze do kamieniczki — ale rozmowa się nie kleiła. Julia nie śmiała badać. Kalikst nie wiedział, czym ją zabawić.

Więcej oczyma rozmawiali niż ustami. — Już z dala widać było kamienicę, gdy ją pożegnał, jak zwykle — sam się przypóźniając do domu. Patrzył za nią długo i dręczył się. Nie, ona przynajmniej Winną być nie może... ona nie jest skalaną niczym... Na niej nie ciąży plama żadna. Biedna — nieszczęśliwa!

Z załamanyimi rękami poszedł nazad, nie miał ochoty wracać do domu. Dom ten stał mu się strasznym.

Panna Julia, wzruszona, także wracała, jakby ją samą co dotknęło.

A jednak wcale nie wiedziała o tym, jaką sławę nieszczęsną miał jej ojciec. Przenikliwa

domyślała się może czegoś, przeczuwała coś podobnego; tknęło ją to, co powiedział Kalikst, chociaż sama nie wiedziała, dlaczego tak silnie została dotknięta.

Bywają przeczucia... Zasmucona, znękana, weszła do domu i ciotka, która ją czule uścisnęła w progu, spostrzegła zaraz w niej jakąś zmianę.

— Co ci to? — zapytała, troskliwa.

— Nic mi nie jest — ot, tak — doprawdy, sama nie wiem, dlaczego zrobiło mi się smutno, dziwnie.

— Ale możeż to być bez przyczyny?

— Właściwie nie ma żadnej, niech ciocia wierzy.

Rozeszły się tak, ale pani Małuska śledziła siostrzenicę z daleka i coraz mocniej się przekonywała, że jej coś na sercu ciążyło. Julia chodziła po pokojach, brała i rzucała nuty, zamyślała się, stawała, siadała — słowem, była widocznie nieswoją.

Brenner zazwyczaj wracał późno, trafiało się jednak, że się zjawiał wieczorem na herbatę. Tego dnia wszyscy się ucieszyli, posłyszawszy głos w przedpokoju, córka wybiegła go powitać. Wracał chmurny i milczący, uściskał córkę, poszedł zaraz do swojego biurka, zapowiadając, że ma wiele do czynienia, i zamknął się w pokoju, kazawszy podać lampkę. Tymczasem przygotowywano herbatę. Gdy ta była gotową, poproszono radcy, który papierów nie pochowawszy, wyszedł. Zakłopotany był, zadumany, czoło miał zmarszczone i usta zacięte. Na próżno Julia starała się go rozweselić — i on był jakby czymś zgryziony a nieswój.

Wśród herbaty pani Małuska wyszła, Brenner popatrzył na córkę i zbliżył się do niej.

— Mam ci coś powiedzieć — odezwał się. Julia zwróciła się ku niemu.

— Wiesz, jak cię kocham, i że zmartwić cię byłoby dla mnie bardzo bolesnym, a jednak wiem, że ci uczynię przykrość — i muszę... Pan Kalikst cię odprowadzał dziś?

Julia zarumieniła się, ale oczy podniosła śmiało.

— Tak jest — rzekła. — Spotkaliśmy się na drodze, byłoby śmiesznością, gdybym go, jak przestraszona, odpędzała od siebie. Cóż w tym złego?

— Dobre to nie jest — odezwał się Brenner — ja z tym jegomością żadnych stosunków sobie nie życzę.

— Ojciec masz co przeciw niemu? — spytała Julia.

— Mam, ale tego, co przeciw niemu mam, powiedzieć ci nie mogę. Dostyc, że, powtarzam, znajomości i stósunkom z nim jestem stanowczo przeciwnym.



Julia zamilkła ale widać było, że jej to istotnie uczyniło przykrość, Brennerowi też żal jej było, chwycił ją za rękę czule.

— Moje dziecko, moje dziecko — odezwał się — wierzaj mi, mam powody.

— Czy popełnił co nieuczciwego?! czy się czym splamił? proszę ojca, powiedziec mi! — odezwała się córka.

— Ale cóż on cię tak bardzo obchodzi? — przerwał Brenner.

Chwilę pomilczała panna Julia, zamyśliła się, a potem odpowiedziała z wolna.

— Byłoby mi boleśnie dowiedzieć się o nim co złego. Wiesz, ojcze, dlaczego. Nie o niego może mi idzie, ale o to, gdyby taka nieuczciwość mogła się okrywać i osłaniać szlachetnością jak w nim, przysłoby mi zwałpicić o ludziach.

Brenner, zagadnięty tak — walczył chwilę z sobą, nim się na odpowiedź zebrał.

— Nie powiadam, ażeby co nieuczciwego na nim ciążyło, ale — moje dziecko, jest wielu uczciwych ludzi, z którymi przecież stósunki są niemiłe i — niebezpieczne. Otóż i tu jest tak — niech ci na tym będzie dosyć. Ja z mej strony proszę, a jeśli trzeba, rozkazuję go unikać, nie dawać mu się zbliżać. Znać go nie powinnaś. Jeśli się spotkacie znowu, proszę go zbyć grzecznie i nie dać mu się przeprowadzać.

Julia zamilkła zupełnie, rzuciła się w głąb krzeselka, smutna widocznie. Brenner niespokojnie patrzył na nią, ale już nie wrócił do tego przedmiotu. Siedzieli milczący, gdy dzwonek, poruszony gwałtownie u pierwszych drzwi, nastraszył pannę Julią, tak że krzyknęła:

Wkrótce potem usłyszano żywe gadanie i spór z kucharką — jakiś nieznamy mężczyzna wszedł bez ceremonii do salonu. Słusznego wzrostu, niemiłej twarzy, nawet sobie nie zadał pracy zrzucenia płaszczka wojskowego, jak się zdawało, w przedpokoju, a czapkę, dopiero zobaczywszy kobietę, zdjął z wolna.

Panna Julia, spostrzegłszy go, natychmiast wyszła szybkim krokiem, Brenner zerwał się z kanapy i niespokojny, wybiegł przeciw przybyłemu. Oba razem, szepcząc coś, weszli natychmiast do gabinetu, słyhać było rozmowę żywą, gorącą, i nie upłynął kwadrans, gdy nieznamy razem z gospodarzem, który się do wyjścia przygotował, naprędcie wyszedł z mieszkania.

W progu zaledwie miał czas szepnąć kucharce.

— Niech panna w gabinecie sama lampkę zgasi i zamknie.

Nie dokończona herbata została na stoliku. Brennera już nie było. Panna Julia, chociaż się nadzwyczaj spieszenie oddaliła, nie spojrzawszy prawie na przybyłego, doznała bardzo przykrego wrażenia, dostrzegłszy, jak ciekawie on w nią wlepił oczy. Było to wejrzenie starego rozpustnika, cyniczne, obrażające niemal. Jeden błysk tych oczów starczył za obelgę. Śmiałość, z jaką wszedł do salonu, postawa, spojrzenie, wszystko w nim wskazywało jakąś osobę wysoko położoną i mającą

władzę nad Brennerem. Było to prawie bezprzykładnym, by ktoś podobny zajrzał do kamieniczki na Świętokrzyskiej; można więc wyobrazić sobie, jakie to wrażenie zrobiło na dole, gdzie stała Noińska i cała gawiedź.

Majstrowa przeprowadziła oczyma słusznego mężczyznę i przysięgała potem, że musiał być — „jednerał”.

Któż wie? mogła się nie mylić. Niedaleko na placyku stał powóz i konie jakby jenerałskie.

\* \* \*

Gdy się za Brennerem drzwi zamknęły, a kucharka pobiegła dać znać panie Julii o dyspozycji ojca, poszła natychmiast do pokoju, w którym zostawiona lampka paliła się na biurku.

Brenner nie miał czasu ani papierów sprzątnąć (o czym pewnie zapomniał w pośpiechu), ani ich uporządkować. Z dala spostrzegła panna Julia porozrzucane notatki, jakby z pugilaesu wyjęte, i arkusz papieru, którego połowa była zapisana. Zrazu nie chciała ani okiem rzucić nawet na papiery, lecz biorąc lampę, oko jej prawie mimowolnie padło na nagłówek już zapisanego arkusza i stanęła jak wryta.

Lice jej okryła bladość śmiertelna, oczy stanęły kołem, oddech się w piersi zatrzymał, wejrzenie nie mogło się oderwać od papieru. Na nim — stał rozpoczęty raport tajnego policyjnego ajenta do jenerała Żandra... Z przerażeniem nie do opisania Julia, niedobrze nawet rozumiejąc, co to było, domyśliła się wszystkiego, czytając imiona osób przytomnych na schadzce w Literackiej Kawie. Między innymi stało tam imię pana Kaliksta Ruckiego.

Julia czytała, stała długo, zaczęła drzeć cała, lampkę upuściła z rąk i padła zemdlona na podłogę.

Szczęściem brzęk spadającej lampy usłyszała Agatka, zbierająca herbatę, i wbiegła, a zobaczywszy panią jakby nieżywą na ziemi, lampę rozbitą i płonąca na podłodze, krzykiem swym cały dom poruszyła.

Małuska i kucharka wbiegły. Nie mogły one pojąć, co się stało. Płacząc chwyciły omdlałą, która powoli przyszła do zmysłów, i zaniesiono ją na łóżko. — Zgaszono lampę, oczyszczono i zamknięto pokój radzcy.

Ale stan Julii, która płakała i okazywała niemal obłąkanie jakieś, tak strwożył ciotkę, że natychmiast po najbliższego doktora posłano na Nowy Świat. Był nim znajomy pani Małuskiej, młody jeszcze człowiek, który nawet okazywał wielkie panną Julią zajęcie.

Nim doktor Borzęcki nadszedł, ratowano, uspokajano, jak umiały kobiety, ale o samym wypadku panna Julia nic powiedzieć nie umiała. Płakała i była jakby w rozpacz, czego ciotka sobie na żaden

sposób wytłumaczyć nie mogła. Po oczekiwaniu, które się długim wydawało, nadszedł pospiesznie Borzęcki. Ciotka wybiegła do niego do przedpokoju i w krótkich słowach opowiedziała mu niezrozumiały wypadek. Milcząc młody doktor wszedł do pokoju. Przybrawszy wesołą na pozór twarz, zbliżył się do chorej, ale ta zdawała się go nie poznawać.

Na zapytanie pierwsze nie odpowiadała nic i po długich dopiero, naglących prośbach Borzęckiego wyjąknęła, że sama nie wie, co się z nią stało — osłabła, zemdląła — upadła.

Doktor naturalnie o symptomy poprzedzające tę kryzys rozpytywał długo, ważył, patrzył, myślał i nie mogąc odkryć nic oprócz tego, że to była jakaś niewieścia przypadłość nerwowa, nakazał spoczynek, środki uśmierzające, sen itp. W razie zaś, gdyby alarmujące symptomata wróciły, prosił, aby mu znać dano.

W czasie całej narady prawie nie mówiąc nic — z osłupiałymi oczyma siedziała biedna Julia — słowa z niej dobyć było trudno. Najmniejszy szelest tylko przerażał ją tak, iż największą cichość musiano nakazać w domu.

W jednej chwili cała kamienica już wiedziała o wypadku. Kucharka i Agatka musiały o nim opowiadać, ludność wszelka zebrała się około nich słuchać. Obie opowiadały, każda inaczej.

W kamienicy uczyniło to wrażenie przerażające.

Wersje kucharki i Agatki, chociaż godzące się z sobą, w głównych faktach różniły się wielce szczegółami.

Agatka, która weszła pierwsza, utrzymywała, że panna trzymała w ręku papier i że taki coś musiała przeczytać. Kucharka dowodziła, że ojciec pannie Julii czynił wymówki (słuchała oczywiście pode drzwiami), za co się zadaje z paniczem z górki, który ją przeprowadzał. O tym opowiadała i Agatka. Majstrowa Noińska i poważniejsze osoby domyślały się, iż ani chybi szło — zględem kawalera z górki, że ojciec mu był przeciwny, a panna go kochała. Przypuszczenia majstrowej, która miała bujną wyobraźnię, szły nawet tak daleko, że kucharka się oburzyła.

— E! co bo znowu pani majstrowa se myśli. To panna nie taka, żeby, z pozwoleniem, mogła się w romansy wdawać na wschodach.

Ją trzeba znać!

Rozprawy, były długie i żywe, a gdy doktor schodził zamyślony, śledzono go pilno oczyma — jakby mu coś z twarzy wyczytać chciano. Kucharka go zagadnęła.

— Proszę pana konsyliarza\* — cóż nasza panna... bo my ją tak kochamy.

— Możecie być spokojni — nic nie jest. Co ma być? Osłabła, upadła, stukła sobie głowę, poleży jaki dzień i wstanie zdrowa jak ryba.

Noińska usłyszała to, ale przyjęła z niedowierzaniem.

— Daj on tak sam zdrów był! — szepnęła.

Ciotka na krok nie odstępowała od łóżka, dawano wodę z kroplami kwiatu pomarańczowego, laurocerasus, różne rzeczy, nacierano, okładano. Stan jednak chorej wcale się nie zmienił. Jedna chwila na jej młodej i świeżej twarzy uczyniła taką zmianę straszną, piorunującą, oczy tak patrzyły dziwnie, obłąkanie, iż ciotka ręce łamała z rozpacz, a tu Brennera, który tak niespodzianie został z domu porwany, nie wiedzieć kiedy się nawet było spodziewać.

Noc nadeszła i w kamienicy na dole wygadały się kumoszki, na górze już tylko u pana Kaliksta i na pierwszym piętrze w pokoiku panny Julii się świeciło. Tu nikt oprócz Agatki, która siedząc usnęła, nie myślał się spać położyć. Czekano, aliści Brenner wróci. Panna Julia dostała gorączki. Ile razy, znużona ciągłym płaczem, zamknęła powieki, zrywała się z krzykiem, łamała ręce i powtarzała ciągle — „A! ja nieszczęśliwa!” — Małuskiej już najrozmaitsze myśli przychodziły, chciała dopytać u siostrzenicy coś, wywołać zwierzenie, Julia trzęsła głową — nie odpowiedziała nic — prócz, że była najnieszczęśliwszą.

Godziny upływały powoli. — Północ, druga, trzecia, czwarta na ostatek i na dzień się zabierało, a Brenner nie powracał.

Około piątej zaturkotała dorożka i zatrzymała się u bramy. Małuska wybiegła na dół wschodów. Obaczywszy ją, Brenner się uląkł.

Nieszczęście! mój radzco! nieszczęście! a my tu w domu same baby... nie wiedzieć co radzić... Julka nagle zasłabła... po wyjściu waszym weszła do gabinetu po lampę... i nie wiem, co się stało. Znaleźliśmy ją omdlałą, leżącą na ziemi.

Brenner, który jedyne dziecko nad życie kochał, nie odpowiadając ani słowa, rzucił się na górę wprost do łóżka chorej. Tu widok jego zamiast uspokojenie przynieść, wywołał kryzys gwałtowną. — Ujrzawszy go, Julia zakryła sobie oczy i zemdląła znowu.

Brenner stał nad nią jak trup. On także zdawał się tracić przytomność. Małuska go targała za ręce, nie rozumiał, co do niego mówiła. Pobiegł do gabinetu, a dzień już dozwalał tam rozeznąć wszystko — zatrzasnął drzwi za sobą. Kucharka słyszała, jak z pasją biurko zamykał i biegał po izdebce. Wkrótce potem wrócił do córki. Posłano po Borzęckiego. Stan Julii się pogorszył.

Bieganie po domu, ruch, niepokój, wołanie ujść nie mogły uwagi mieszkającego na górze. Nad ranem po bieliznę na strych biegła kucharka, gdy Kalikst drzwi otworzył, pytając się, czy się co u nich nie stało?

A! to pan nic nie wie! — poczęła żywo jejmość — ta to historie, proszę pana... trajedie, proszę pana... sądny dzień. Panna nam jak omdlała padłszy, tak do przytomności nie można jej przyprowadzić. Co nie robili, doktor był... A płacze i rzuca się, aż patrzeć okropno. Wszyscy stoją jak pozabijani. Pan płacze, ciotka, my wszyscy. Czy konwulsje, czy jakie chorobsko nagłe, ale płacze i krzyczy ciągle i to bez daj racji\*, bo nic się nie stało... ojca nie było. Tak chwyciło coś i...

Kalikst nie śmiał już pytać więcej, tylko o imię doktora.

— A to nasz ordynariusz\* — odpowiedziała kucharka — z Nowego Świata, Borzęcki, co chodzi do Dzieciątka Jezus.\*

Kalikst znalazł Borzęckiego i podziękowawszy kucharce, zamknął drzwi, zaraz chcąc się ubrać, aby iść się go spytać o Julię.

Doktor tymczasem, wezwany, przyszedł, ale oprócz tych samych symptomów, co poprzednio, spotęgowanych tylko — nic nie znalazł nowego. Nakazał te same środki, a nade wszystko spoczynek. Radzca wyprowadził go, niespokojny, do gabinetu.

— Niech mi pan będzie łaskaw powiedzieć otwarcie — naprzód, czy grozi niebezpieczeństwo, potem, co mogło być przyczyną?

Borzęcki ruszył ramionami.

— Niebezpieczeństwa dotąd nie widzę, ale tak silna jakaś kryzys — niedobra dla przyszłości. Co do przyczyn, ja bym się od pana chciał o nich dowiedzieć. Coraz mocniej przekonany jestem, że przesilenie to, atak, wywołało wrażenie moralne, uczucie jakiegoś, wypadek — to nie jest choroba ze krwi, humorów\*, z nienormalnych funkcji organizmu, ale cios z zewnątrz, cios na nerwy.

Spojrzał na Brennera, którego twarz posiwiiała\* i pożółkła, przybrała barwę niemal trupią. Stary radzca drżał.

— Nic nie wiem — wybąknął sucho.

Uprosiwszy o nowe odwiedziny po kilku godzinach — Brenner odprowadził doktora do sieni. Tu czekał nań Kalikst u góry na wschodach.

— Tst!

Borzęcki podniósł głowę.

— Na minutkę proszę cię do mnie, bądź łaskaw... Doktor, poznawszy starego przyjaciela od młodości (nie wiedział, że tu mieszkał), przyjemnie zdziwiony, poszedł chętnie do niego.

— Dawno tu mieszkasz? — spytał.

— Rok przeszło.

— Pewnieś ciekawy, co się dzieje na pierwszym piętrze i co ja tu robię. A może cię śliczna panna obchodzi? Ja sam, przyznam się, obojętnie na nią patrzeć nie mogę...

Śmiejąc się z obojętnością medyka, Borzęcki rzucił się na kanapkę wyduszoną i wąską.

— Bardzo ładna panna! śliczna, miła i — niegłupia! — dodał doktor — ale tatunio!

— Cóż się stało? — spytał Kalikst.

— Albo ja wiem! padła zemdlona w gabinecie ojca, stłukła sobie głowę, ale stłuczenie jest niczym, symptomów i wstrząśnięcia mózgu nie ma. Coś w tym wszystkim jest tajemniczego, wrażenie jakiegoś, zmartwienie, rozpacz, nie wiem. Płacze i jest jak obłąkana. Nic nie rozumiem. Kto wie... Histeria może, ale na to nie wygląda. Zdrowa, świeża a taka rozumna i zimna!!

— Znasz ojca? co to za człowiek? — dodał Borzęcki. — Jakiś radzca...cóż i komu radzi?? w komisariacie...

Kalikst miał na ustach już wyraz, ale go powstrzymał.

— Nie wiem o nim nic, nie znam go — odparł po namyśle. — Sumienie mi każe ci powiedzieć, że — słusznie czy nie, ludzie się go wystrzegają.

Skrzywił się Borzęcki i usta zakąsił.

— Ja się o tym dopiero wczoraj dowiedziałem — kończył Kalikst — bo w domu uchodzi za kupca, za spekulanta.

— Jedno nie przeszkadza drugiemu — odezwał się Borzęcki. — Daj mi fajkę, jeśli masz i — idę, bo mam innych chorych.

— Czy panny stan niebezpieczny? — zapytał Kalikst.

— Albo ja wiem! — westchnął doktor. — Z nerwami, jak z wariatami, nigdy wiedzieć nie można, co nas spotka, może być — nie — i może się stać co najokropniejszego. Jeszcześmy do tego nie doszli, aby ich drogi móc naprzód wyznaczać. Wedle wszelkiego podobieństwa, jeśli przyczyna ustąpi, młodość zwycięży, zdrowie wróci. Ale młodość też ma to do siebie, że silniej przyjmuje wrażenia. Wszak się w pannie nie kochasz przecie? — śmiejąc się spytał Borzęcki.

— Nie — odparł Kalikst — chociaż przyznam ci się, że jest — niebezpieczną.

Borzęcki wstał ziewając. Z kościoła Św. Krzyża dolatywały głosy dzwonów, miasto się ruszało, wozy turkotały, ulice na nowo żyć poczynęły. Nowym Światem już gdzieś komenderowana szła w milczeniu konnica, z innej strony maszerowała piechota, bęben się gdzieś odzywał z daleka.

Brenner siedział u łóżka córki, Małuska poszła się modlić — służki były na dole.

Nagle Julia poruszyła się, podniosła, obejrzała dokoła i ojca widząc przed sobą, oczy w niego wlepiała. Lecz nie był to ów wyraz jej dawny, z jakim patrzyła na rodzica — zdawała się nań spoglądać z trwogą, z podziwieniem, z wyrzutem. Brenner, mimowolnie zmięszany, spuścił oczy. Wzrok ten przeszył go boleśnie. Pochylił się ku córce, która się cofnęła nieco od niego. Jeszcze raz potoczyła wzrokiem po pokoju i cicho odezwała się głosem drżącym.

— Ojczy mój, nieszczęśliwy... ja wiem — ja wszystko wiem.

Tu zamilkła, bo płacz przerwał jej mowę i głos przytłumił.

— Dziecku się nie godzi sądzić rodzica ani mu czynić wymówek, lecz, ojcze mój! ojcze! dlaczegoś mnie tak wychował, że się wzdrygać muszę na to, co czynisz? A! trzeba było dać mnie tam, gdzie by mi wszelkie uczucie odjęto... i wstyd i...

Nie dokończyła, głowa jej padła na kolana, zatuliła oczy rękami, płakała zanosząc się.

Twarz Brennera, w czasie gdy słuchał jej, mieniła się tak chyba jak człowieka, którego wiodą na ścięcie, który chce okazać męstwo, a pada z trwogi i bólu, dźwiga się i sobą nie władnie, miota bezsilny i litość obudza tylko. Na przemiany blady, siny, żółty, czerwony, drżał cały, pot mu na czoło występował. Kilka razy ku córce się chylił i odstępował. Głosu mu brakło, w ustach spiekłych zaschło.

— Julio — rzekł — Julio — uspokój się, proszę cię. Nie godzi ci się mnie sądzić — samaś rzekła, nie sądz mnie, nie zabijaj... miej litość na sobą i nade mną.

Nie mógł mówić więcej.

Julia podniosła twarz zapłakaną, ale jakby siłą woli uspokojoną.

— Mój ojcze — odezwała się — ja — ja tu pozostać nie mogę... ten każdy chleba kawałek by mnie zadławił — ja muszę iść stąd... Do klasztoru, na służbę, w świat, nie wiem — choćby na zgubę, ale ja tu pozostać nie mogę...

Brenner ręce załamał.

— Dziecko moje — krzyknął — chcesz mnie zabić chyba... Ja dla ciebie pracowałem, ja się zaprzedałem dla ciebie... ja sobie w łeb strzelę... nie przeżyję tego.

To mówiąc, na łóżko jej głowę położył i sam płakać począł. Usłyszawszy go szlochającego, Julia chwyciła za głowę i zaczęła całować, jakby się już z nim żegnała. Milczeli oboje. Brenner się podniósł z dziką energią.

— Słuchaj — zawołał — daję ci słowo, jak kocham ciebie, na wszystko, co u człowieka święte, jeśli jakie złe uczyniłem — stokroć je naprawię i odsłużę. Zginę — ale się oczyszczę. Nie opuszczaj mnie, nie gub, nie zabijaj.

Cichym szeptem, zbliżywszy się do Julii, zakończył z nią rozmowę Brenner. Córka się uspokoiła, płakała jeszcze, lecz leżała na poduszkach, nie okazując znaków zburzenia. Brenner powtarzał nad nią: — „Zginę, ale się oczyszczę”.

Coś sobie przypomniawszy w tej chwili, pobiegł do gabinetu — przyniósł papiery, zaczął je pokazywać Julii, szeptać znowu. Zdawało się, jakby chciał dowieść, iż spełnił swe obowiązki w taki sposób, iż raczej ocalał, niż szkodził.

Czy panna Julia uwierzyła mu, czy się w istocie przekonała, iż nie tak był winnym, jak sądziła — to pewna, że znowu cichym szeptem długim zakończyli rozmowę i Brenner, pożegnawszy ją, sam spieszenie wyszedł z domu.

Julia dopiero teraz po wyjaśnieniu jego usnęła, a ciocia Małuska na palcach wszedłszy, znalazła ją już głębokim snem ujętą.

Nakazano w całym domu milczenie. Brenner tymczasem biegł uliczkami bocznymi z papierami za surdudem do pałacu Kossowskich, w którym mieszkał generał Lewicki\*. Pomimo uspokojenia córki i przebytej ciężkiej z nią chwili stary zaledwie iść mógł, tak jeszcze czuł się poruszonym, osłabłym. Nie mógł się znać uwolnić od obowiązku. Tyłem dostał się, zataczając jakby pijany, do prywatnej kancelarii generała.

Tu w tej chwili nikogo nie było oprócz owego sławnego pijaka Charłampowicza, który zwykle raporta do w. księcia przepisywał. Ponieważ już od dni kilku Charłampowicz ciągle był pijany, tak że przepisywać nie mógł, tego dnia grubym sznurem przywiązany był za obie nogi do stolika. Sznur zaś tak misternie na jakieś węzły był splątany, że choćby go mógł rozwiązać, nie potrafiłby potem spętlić podobnie. Charłampowicz, blady, przepity, cuchnący wódką, ze czkawką, siedział nad papierem i ze złością, ale z wprawą raczej doskonałego rysownika niż kaligrafa z leżącego przed sobą brulionu raport kopiował.

Podniósł głowę zobaczywszy Brennera i nic nie mówiąc, pokazał mu język tylko, spuścił oczy — pisał dalej.

Obok był pokój generała, który się właśnie do Belwederu wybierał. Nawet dla dowódców i faworytów w. księcia wyprawa do Belwederu była sprawą wielkiej wagi. Nawet generałowi nie przebaczył w. książę nie zapiętego guzika, przyszytego na odwrót, najmniejszej nieregularności w ubiorze, najnieznaczniejszej emancypacji przeciw formie. Każdy, jadąc do Belwederu, choćby był Lewickim, Żandrem\*, Krutą, Aksamitowskim, a nawet Blumerem\*, dobrze się musiał na oko opatrzyć sam, nim się odważył stawić w przedpokoju księcia.

Gdy Brenner zapukał, generał się kończył ubierać; na kanapce, mający mu towarzyszyć, siedział właśnie Blumer, ów najposłuszniejszy z posługaczy, którego dla jego sprawności i trafności zwano „Kuchenrejterem w. ks.”. — Jak pistolety Kuchenrejtera, słynące z celności, tak Blumer z niemiłosiernego spełniania rozkazów był znanym.

— A! to ty! — odezwał się po rusku Lewicki — a cóż?

Brenner jąkać się zaczął. Stał u progu.

— Jaśnie wielmożny generałe — począł głosem drżącym — ja mam w domu nieszczęście, córka mi zachorowała śmiertelnie — proszę choć o dzień uwolnienia.

— Co? co? — krzyknął Lewicki. — Co ty, zbiesił się czy co? To nie może być! Łzesz. Wczoraj widziałem twoją córkę, krasawicę, zdrową, co jej może być?

— Dostała w nocy konwulsji — zawołał Brenner.

Lewicki, zburzony, ramionami ruszył.



— To jej doktora pošlij! — zawołał — dziewczka zdrowa, piękna... Jej by młodego kirysjera\* tam wykomenderować, zaraz by wyzdrowiała!...

Słyszając te cyniczne drwiny, z których Blumer się śmiać zaczął, Brennerowi twarz pożółkła.

— Jej Bohu\*! — dodał Lewicki — wczoraj pierwszy raz ją widziałem, ale panienska — cud! Skądże się jej wzięło chorować?

Milczał Brenner, Blumer mu się przypatrywał ciekawie.

— Co mnie tam choroba — dorzucił Lewicki — służba idzie przede wszystkim. Ciebie nikt nie zastąpi. — Ja ci będę szukał innych? Gdzie? Kiedy? czasu nie ma, a do takich rzeczy trzeba sprytu jak twój — rozumiesz. A zatem — poszedł precz i do roboty!

Brenner chciał coś mówić.

— E! jaka bestia uparta! — krzyknął Lewicki nogą tupiąc — poszedł won, mówię, a nie... to...

I wskazał na drzwi.

W tej chwili, gdy Brenner już się wysuwał, do drugich drzwi zapukano i Lewicki głos zmieniawszy, doskonałym akcentem, ze słodyczą i salonowym wdziękiem odezwał się do wchodzącego.

— *Charme de vous voir, Monsieur le Comte, a quoi suis — je redevable de l'honneur de votre presence?*\*

Ta nagła przemiana tonu z grubiańskiego na słodki należała zawsze do charakterystyki wysoko położonych osób, które bywały zmuszone dziesięć razy na dzień łajać najokrutniej i przybierać salonowe formy i ogładę.

Przybyłym był pono generał Staś hr. Potocki, później nieszczęśliwa i niewinna ofiara pierwszej chwili rozgorączkowania.

Brenner wyszedł blady i pomięszany, stanął jeszcze u progu ze spuszczoną głową, a Charłampowicz miał sposobność powtórnie mu język pokazać. Nie widział go wcale Brenner, wlokąc się z wolna nazad z kancelarii i wysuwając z pałacu.

Odszedłszy od niego kroków kilka, stanął powtórnie, jakby się namyślał. Nie było sposobu uwolnienia się od obowiązku. Niepokój wołał go do łóżka chorej córki, niewola ciągnęła tam, gdzie musiał służyć w najohydniejszy sposób tym, co mu jego spodlenie płacili. Surowość i grubiaństwo generała Lewickiego, które może dawniej i kiedy indziej byłyby po nim, nie dotknąwszy go, spłynęły, na chorą padając duszę, dobyły z niej gniew i pragnienie zemsty.

Zaczerwieniła mu się twarz.

Uczuł wściekłość niemal ku tym, co go tak sponiewierali, co nim pomiatali i nie taili się nawet ze wzgardą. W rękę ścisnął z całej siły kij, który trzymał, i krokiem szybkim posunął się, spojrzawszy na

zegarek, ku Bernardynom.

Obejrzał się jednak dokoła wprzód i ze zręcznością wprawego od dawna do wywijania koziołków zająca — począł przemykać się, kołując, przyczajając przy ścianach, dopóki, jak mu się zdawało, nie postrzeżony nie dostał się do klasztoru. Znowu popatrzał na zegarek, a że cela, do której zmierzał, była mu zapewne znana, nie pytając, wprost poszedł do niej i do drzwi zapukał.

Gdy po odpowiedzi ze środka Brenner wszedł, zastał ogromnego, opasłego ojca, który kaptur zrzucając, właśnie po umyciu twarzy ocierał się ręcznikiem, stojąc w środku izdebki. Zobaczywszy Brennera, jakby oczom nie wierzył.

— Jak mi Bóg miły! czy Brenner, czy upiór! a ty tu co robisz?!

Przybyły stał smutnie, nie patrząc w oczy.

— Bracie, a raczej ojczu — odezwał się — bo choć mi jesteś stryjecznym, ale suknia cię ojcem nazywać każe. Ja tu od lat wielu mieszkam.

— Tu? a dopiero dziś raczyłeś się do biednego bernardyna dowiedzieć? hm? Cóż? czyś nie wiedział, że ja tu?

— Wiedziałem — odparł Brenner — ale dajcie mi siąść, bo padnę.

Ojciec Porfiry wskazał stołek. Przypatrywał mu się tak ciekawie, niespokojnie, chmurno, iż w przeszłości stósunków przyjacielskich między stryjecznymi domyślać się było trudno.

— No, kiedyś już do mnie przyszedł, gadajże — odezwał się tłusty gospodarz kończąc ocieranie i zabierając miejsce na twardym swym łóżeczku. — Co cię tu sprowadziło?

— Bieda! — odezwał się Brenner.

— Aha! aha! — rozśmiał się ksiądz — przyszła koza do wozu! Proszę! bieda... Ale to, panie Boże mi pomóż, coś osobliwego, żeby się taki człowiek jak wy... z biedą spotkał. No — ja to co innego — ale ty, panie Pietrze, musiałeś zawsze chodzić takimi drogami, że rychlej się mógłeś natknąć na to, co u was się szczęściem nazywa niż na biedę. To już coś osobliwego — ano — gadaj.

— Prawie ze spowiedzią do was przychodzę — rzekł Brenner ponuro.

— Słuchajże, jeżeli ze spowiedzią, to chodźmy do konfesjonału — ja cię tu tak, urwij, połaj, spowiadać nie będę. — A jeżeli ci się, kochanku, zda, że po starej znajomości i dla pokrewieństwa cię rozgrzeszę łatwo — to się okrutnie mylisz.

— Mój kochany ojczu — odezwał się Brenner niecierpliwie — na spowiedź będzie czas, chcę twej rady.

— Mojej rady? — rubasznie przerwał o. Porfiry — zdaje mi się, że i z tym kulą w płuca trafiłeś. A co ja ci mogę innego poradzić, oprócz, żebyś był uczciwym człowiekiem i dobrym chrześcianinem?

A czy to ty potrafisz...

— No — nie żartuj — zawołał Brenner — dziś nie pora. Słuchaj, nie przeczę, że szelmą byłem i jestem nawet, ale mam jedno dziecko, które kocham — moje szelmstwo dziecko zabija. Chcę zostać poczciwym...

W mowie człowieka tego było coś tak przekonywającego, tak prawdą tchnącego, że bernardyn, który słuchał z szyderską miną w początku, spoważniał i zamilkł. Trwało milczenie chwilę — Brenner czekał, bernardyn się namyślał.

— Cóż to ty? ożeniłeś się? kiedy? córkę masz czy syna? — spytał.

— Byłem żonaty, żona mi rychło zmarła, mam córkę, anioła — kocham ją nad życie. Od wczoraj mi zachorowała z rozpacz, dowiedziawszy się, komu ja i jak służę — niech licho ich porwie... dziecko mi droższe nad wszystko. Rzucę, wyjadę, ucieknę...

— Albo to cię twoje kochane kacapy puszczą tak łatwo — odparł ksiądz. — Mój kochany — grzech ciągnie pokutę za sobą; nie myśl, aby ze złem tak się było łatwo rozstać, jak się zdaje. Smoła przylega do człowieka. Ta to, mosanie, i Twardowski, o którym jest legenda, że diabłu duszę zapisał, pożałował potem tego, ano z pazurów grzechu, z łap szatańskich i et cetera\* niełatwo się wydobyć.

Brenner się za głowę pochwycił.

— O, nieszczęśliwa dola moja! — zawołał — jeśli dziecię stracę, sam sobie życie odbiorę! Na co mi ono? do czego? Dla niej żyłem...

Jęczał tak, bernardyn słuchał.

— Co pomoże lamentować — odezwał się — albo co ja i mogę radzić? ja? mnich siedzący w celi. Tobie bo się w głowie przewróciło!

— Nie — rzekł Brenner — ty — to nie może być, ty się z patriotami musisz znać, tyś zawsze był zagorzałym, niepodobna, abyś z młodzieżą stósunków nie miał.

Bernardyn począł, chodząc po celi, śpiewać:

„Zawitaj, ranna jutrzeńko!”

I głową kiwał. Stał potem przed Brennerem i otworzywszy tabakierkę, poczęstował go tabaką.

— Masz mnie za okrutnego symplicjusza\*, bracie — odezwał się — karmiąc takimi anegdotkami o skrusze, o poprawie, o córce, aby mnie muchy z nosa ciągnąć!\* Ale u mnie i w klasztorze much nie ma, tu nic nie wyciągniesz. Albo to bernardyni do tego przeznaczeni, aby się w patriotyzmy bawili!

Nasza rzecz zmyć głowę grzesznikowi, mszyczkę świętą odprawić, ochrzcić, dziecko katechizmu nauczyć — no — i ja ci się przyznam, jak wojenka, na koniu z krucyfiksem przed pułkiem... hejże — choćby na Moskala!

Tu się po ustach uderzył.

— O! bodajże — przepraszam! wyrwało się samo... Ale moja duszo — ciemnymi drogami, gdzie tylko człek guza sobie nabić może, my nie chodzimy... Na to są inni...

— Nie wierzysz mi — zawołał Brenner.

— Już tam sobie sądz, jak ci się podoba — ale tu u nas nic nie wskórasz. Klasztor i sumienie możecie zrewidować — nie ma nic zakazanego. Daj mi święty spokój.

— Bóg z tobą, panie bracie — wstając ze stołka odezwał się Brenner — chciałem ci tylko powiedzieć jedno. — Tu głos zniżył. — Dziś za Pragą w kolonii uczta dla Kamińskiego\* ze Lwowa... dozór nad nią mnie powierzony — niech będą spokojni, powiedz im, niech będą spokojni — uszy pozatykam.

O. Porfiry popatrzył długo, ręce założył w tył, od stóp do głowy stryjecznego mierzył, prychnął, ramionami ruszył i nic nie mówiąc, dał mu tabaki drugi raz.

Zmieszany tym przyjęciem, Brenner rzucił się ręką jego całować, ścisnął ją, a gdy podniósł głowę, o. Porfiry ujrzał, że oczy miał łez pełne. W tej chwili zmieniła się fizjonomia bernardyna i rzekł cicho: — Daj no pokój beczeniu, boś nie baba... chodź no ze mną. I razem wyszli z celi.

\* \* \*

Nie bez przyczyny grono literatów i posłów, pragnące uczcić przybyłego do Warszawy Kamińskiego, autora *Krakowskiego wesela*, człowieka, który umiał myśleć i pisać, gdy inni myśleć nie śmieli, a pisać nie umieli — wybrało ustronny domek za Pragą, w kolonii Winena. Zdało się gospodarzom tej uczty, która miała Kongresowiaków, Litwinów, Galicjan i Ukraińców połączyć, że swobodniejsi będą tu niż w mieście i publicznym lokalu, gdzie się nawet posługujących w restauracji strzec było potrzeba, bo i ci szli zawerbowani do falangi Jurgaszki i Makrota. Dobrano zaufane sługi, do domku nie miał i nie mógł mieć przystępu nikt nieznamy, więc się ze słowy tak bardzo strzec nie było potrzeba. Zresztą zebranie wcale barwy politycznej ani celu nie miało, było to proste pobratanie się duchem i — chwila niewinnej rozmowy, w której śledcze oko nic by nie odkryło podejrzanego — a jednak... jednak sam fakt tej sympatii dla oddzielonych granicami braci, samo przyznawanie się do jedności, sama miłość wzajemna w oczach w. księcia była występna.

Wszystko naówczas występny było i podejrzanym, wesołość, dowcip, myśl śmieiej lecąca, serce trochę otwartzsze — tęsknota, smutek, zamyślenie, pragnienie nauki... wszystko. Wszystko kryło

wedle teorii przyjętej coś, jakiś zarodek groźny dla przyszłości w sobie. Wesołość zdradzała nadzieje, a nadzieja każda była rzeczą zakazaną; dowcip mógł ukąsić, myśl mogła sięgnąć za daleko, serce mogło za daleko poprowadzić, tęsknota kazała się domyślać żalu po przeszłości, zamyślenie mogło znaczyć szukanie środków dla jej odbudowania, nauka czyniła silnym. Słowem jednym, nie było stanu ducha ni umysłu, który by sobie źle wytłumaczyć nie umieli ci, co się lękali czegoś wiecznie, jak mówił później Rzewuski\*.

Wolano się więc usunąć z oczów podejrzującym, aby wesołość i dowcip mogły się wylać śmieiej.

Z drugiej strony, Lubowidzki i Jurgaszko zarówno o przybyciu Kamińskiego, jak o zamiarze przyjęcia go w Warszawie już mieli wiadomość. Przeszkodzić temu nie było powodu dobrego, chociaż niektóre osoby mające należeć do obiadu na całe towarzystwo cień rzucały.

Lewicki, który także o obiedzie wiedział, wykomenderował Brennera. Na ten raz był to dla biesiadujących wybór szczęśliwy, bo Brenner dla miłości córki gotów był służyć wcale innym interesom.

Kilka dni temu byłby może wyszukiwał jakiejś winy, czegoś podejrzanego, teraz myślał tylko o tym, jak obronić tych ludzi i rozpocząć poprawę. Co się działo w duszy tego człowieka — opisać trudno.

Tam, gdzie w sercu jakiegokolwiek miłości iskierka została, zawsze przez nią jeszcze jest i przyjść może ratunek. Ta miłość dziecięcia wiodła ku poprawie. — Lękał się stracić tę, co go jedna trzymała na świecie.

Nie mogąc się wymówić od asystowania obiadowi, Brenner pomyślał sobie, iż lepiej będzie może, iż on tam się znajdzie, niżby kto inny poszedł, niebezpieczniejszy, w miejscu jego. Sposób wkręcenia się był mu już wprzód podany. Kamerdyner referendarza Chłędowskiego\* polecił go do kredensu. Brenner przy bufecie i srebrze miał się przysłuchiwać rozmowie. Kto by go był widział przed kilku godzinami w jego zwykłej postaci, a zobaczył teraz na kolonii, nie mógłby go poznać pewnie. Do wielkich i głównych przymiotów każdego takiego ajenta, jakim był Brenner, należało umiejętne przeistaczanie się po kilka razy na dzień. W domu nie mógł dopełniać tej metamorfozy\*, ale w Hotelu Krakowskim, gdzie miał stancijkę\* na drugim piętrze, czasem po dwa i trzy razy się przemieniał. Ówczesny gospodarz, sam w tejże służbie zostający, ułatwiał mu nie dostrzeżone wchodzenie i wychodzenie. Tego dnia Brenner miał wąsy czarne, ogromne, których przyklejenie prawie było niewidoczne, trzymał się tak, że się wydawał słuszniejszym, twarz miał rumianą, oko mu inaczej patrzyło — słowem, był to ktoś nowy zupełnie, bo nawet ruchy i postawa nabrały innego charakteru. Młodszym był i zwinniejszym.

Towarzystwo, które się na kolonii zebrało, bardzo było liczne. Wśród niego i już znani ludzie, między nimi Leleweł, którego młodzież za przyszłego kierownika rewolucji uważała — wielu z tych, co później urosli na wodzów ducha i pieśniarzy narodu widać było.

Któż by się przyszłego poety *Ducha od stepu i Przenajświętszej Rodziny\** domyślił w młodym,

pełnym życia, rozpoczynającym je dopiero, rozmarzonym jeszcze i całą piersią oddychającym Ukraińcu, który był jedną miłością i pieśnią — jednym westchnieniem do ideałów — w czarnowłosym Stefanie, którego wejrzenie tak było przenikające, autora *Wieczorów pielgrzyma*\*, a w bladym, opryskliwym, dowcipnym, śmiałym Michale autora *Literatury i krytyki*\*. Byli oni tam wszyscy i wiele innych, pełnych nadziei. Z wesołą myślą, a z powagą rozpoczęła się uczta, zrazu miarkując słowa i oglądając się nieco na figury półurzędowe i na takich trochę długojęzycznych, jak redaktor „Kuriera”\*, który także się tu wcisnął — lecz z pieczystym i po kielichach wszyscy się zapominać zaczęli!! Mówiono o wszystkim, niejedno dwuznaczne słówko prysnęło, niejedna anegdotka złośliwa obiegała koło.

Szczególne rzecz! Pod naciskiem tego despotyzmu, co tchnąć nie dawał prawie, przy niebie na pozór tak chmurnym, jakąś nadzieją, jakąś wiarą, jakąś niemal pewnością lepszego jutra wszystko dyszało. Nikt by był może nie umiał się wytłumaczyć, na czym pokładał nadzieje — płynęły z powietrza, oddech wiosny jakiejś zalatywał.

Być może, iż świeża jeszcze wieść o rewolucji we Francji\* tak rozgrzała Polskę. Znamy z dziejów ten dziwny fenomen sympatii naszej dla kraju, który tylekroć zawiódł miłość naszą i zapłacił ją zimnym szyderstwem lub pogardą, a jednak!! z tego przywiązania nic uleczyć nas nie mogło. Nawet okrucieństwo Napoleona I\* i próbka w San Domingo, nawet rok 1812. Wierzyliśmy w miłość dla tego, żeśmy ją sami mieli. Było to zaślepienie...

W roku 1830 było ono stokroć więcej spotęgowanym niż kiedykolwiek, rewolucja z chorągwią trójkolorową wywieszała też same zasady — które na naszej stały zapisane. Z dobroduszością dzieci wierzyliśmy w braterstwo, w propagandę idei i we wpływ Francji rewolucyjnej, przez zimne i nieprzygotowane Niemcy mające sięgnąć aż do nas.

Być może, iż ówczesne nadzieje nasze rosły z tamtych, lecz ci, co tę epokę pamiętają, przypomną sobie, jak biły serca, jak się otwierały dusze, jak olbrzymią wiarą sięgaliśmy przyszłości. Ów sierpniowy wieczór w małym dworku cały drgał tymi uczuciami.

Krocie wojsk Mikołaja, despotyzm fantastyczny i drapieżny w księcia zdawały się niczym. Wielkie zasady wypisane na chorągwi ludzkości, zdało się nam, miały, jak owe trąby, co obaliły Jerycho\*, w gruzy rozsypać twierdze despotyzmu. Na twarzach śmiała się przyszłość młoda.

A! spojrzeć było w te piersi i serca... co tam za ideały królowały, ideały polityczne, społeczne, ludzkie, chrześcijańskie... swobody, równości, pokoju, braterstwa. Wszystko to, co — dziś śmiech ostygłym, praktycznym mężom wieku na usta sprowadza — było naszą wiarą, przekonaniem, ewangelią przyszłości. Zimny sceptyk\* nie byłby się śmiał nawet odezwać z niedowierzaniem.

Byliśmy pewni, że prostą, szeroką drogą idziemy do jasnej, wielkiej przyszłości, która być miała dziełem rąk naszych!! Przeszkody zdruzgotać miały piersi żelazne! Kto by naówczas był mógł zajrzeć w przyszłość — trupem by padł na miejscu.

Taki był zaraźliwy wpływ tych zapałów i tej wiary niezmiernej, że ludzie pochwyceni nimi nawracali się jakby cudem. Wśród tego gwaru stojący za kredensem Brenner chwycił słowa, a że już

był w tym usposobieniu do skruchy i szukał pobudek do niej, w końcu uczył się też porwanym, oszalałym i serce mu uderzyło do tych ludzi, choć może jeszcze nie rozumiał ich dobrze.

Gdy Witwicki\* zaczął improwizować, Brennera i głos, i wyrazy, i ciepło poezji jakby wyziewem ogarnęło, którego skutki poczuł na sobie. Łzy mu się zakręciły w oczach. Świat ten młody urokiem swym go objął, wydał mu się jasnością, słońcem obok tych ciemności i mroków, wśród których dotąd się obracał. Prosty człek rozumiał różnicę dwóch światów krańcowych, z których jeden egoizmem był spętany, drugi miłością bez miary potężny.

Trwała biesiada do późnej nocy, chociaż niektórzy dostojniejsi musieli się przed końcem jej oddalić. Dmuszewskiego wołał „Kurierek”, Chłędowskiego „Kurier Polski”, Grzymałę\* „Gazeta Handlowa”, innych — obowiązki różne. — Na ostatek i maleńka gromadka, która się jeszcze przechadzała po ogródku, puściła się nazad do Warszawy, a Brenner, zdawszy co najprędzej srebra, pospieszył do domu do córki — i — niestety — do raportu, który podać był obowiązany.

Julia, uspokojona nieco, wstała dnia tego — Borzęcki znalazł ją około południa znacznie lepiej, o czym też p. Kalikst, czatujący nań na wschodach, się dowiedział. Doktor przypisał naturalnie polepszenie swym lekom, a chorobę jakiemś rozdrażnieniu nerwowemu, o które w młodości nie było trudno. Podejrzywał pannę Julię o jakąś nieszczęśliwą miłość, choć wytłumaczyć sobie nie umiał, jak ona nieszczęśliwą być mogła, gdy śliczna panna jednym wejrzeniem podbiłaby — kogo chciała...

Niespokojna coraz bardziej ku wieczorowi, oczekiwała córka na ojca. Wiedziała od niego, dokąd się miał udać i że się miał próbować uwolnić. Gdy około południa nie wrócił, zrozumiała, iż zwierzchność nie przyjęła wymówek i zmusiła go do posłuszeństwa. Wyglądała więc oknem powrotu jego, za każdym turkotem wybiegała i Borzęcki, który nadszedł wieczorem, znalazł ją znowu trochę gorzej.

Jako lekarz przypisał to wpływowi — wieczora, zawsze spotęgowującego symptomata choroby. Nie było w tym nic groźnego, nakazał spokój.

Niby przypadkiem zawsze, po raz trzeci wychodzącego z pierwszego piętra spotkał znowu Kalikst przyjaciela — ten przypadek już doktorowi zdał się więcej niż podejrzanym.

— Słuchaj no — szepnął na ucho Ruckiemu — to darmo, ty się w tej pannie kochasz...

Kalikst się oburzył.

— Ale cóż to ja, sądzisz, nowicjusz jestem czy student. Z głosu twojego, gdyś się o nią pytał, mogłem się tego domyślić.

Rozśmiał się Borzęcki i chciał odchodzić, a potem zwróciwszy się do Ruckiego, dodał:

— Ojciec osobliwy człowiek! przywiązany tak do dziecka, a cały dzień dziś go do tej pory w domu nie ma. Juściż, gdyby nie wiem jakie miał obowiązki, uwolniono by go od nich na zażądanie z tak ważnego powodu. Nie rozumiem... Nie pojmuję.

Julia po odejściu doktora, mimo całego wysiłku woli, nie mogąc się ojca doczekać — spokoju na sobie wyrobić nie potrafiła — przyszły łyzy i gorączka się zwiększyła.

W nocy dopiero, gdy stan jej się znacznie pogorszył — nadbiegł Brenner. W kilku słowach wytłumaczył się przed nią. Na dowód obiecywał jej pokazać, co napisze. Julia, choć zawsze płacząc jeszcze, uspokoiła się. Zrozumiała to, że ojciec musiał tam być, aby jego miejsca nie zajął kto inny. Ten rodzaj pociechy jednak nie starczył córce, która chciała go wyrwać ze szpon, co go trzymały. Zaklinała o to, padała na kolana, prosząc, aby się starał. Brenner wzdychał, przyrzekał, ale wiedział lepiej niż ona, jak trudnym, jak prawie niepodobnym było usunąć się, raz zaprzewawszy duszę. Ci, co się takimi ludźmi posługiwali, nie mogli ścierpieć, aby z tajemnicami, które by zabrali z sobą — na bok się usunęli.

Brenner jednakże przyrzekał najuroczyściej, że do tego dążyć będzie.

Scena, która się przed kilku dniami odbyła w gabinecie pana radcy, jak widzimy, miała wpływ wielki na przyszłość. Julia przez jakiś czas była skazaną na siedzenie w domu. Przyjaciółek, które by ją odwiedzać mogły, miała mało, muzyki zakazał doktor jako nazbyt poruszającej nerwy — skazana więc była na książki same.

Siedziała dosyć smutną jednego wieczora przed herbatą, gdy usłyszała niespodzianie głos ojca przede drzwiami, wyszła na spotkanie jego i zdziwiła się niesłychanie, widząc go wchodzącego do pokoju z panem Kalikstem.

Brenner, dla dziecka powolny do zbytku, nie wiedząc, czym już je rozerwać — spotkawszy sąsiada na wschodach, bez wielkiego namysłu zaprosił go do siebie. Kalikst się nieco zawahał, z zapalem jednak przyjął wezwanie, choć wiedział, kim był Brenner.

Julia go już tak mocno zajmowała, że o wszystkim chciał zapomnieć, co ją otaczało. Oboje zarumienili się ujrawszy, czego o mroku nikt dostrzec nie mógł. Kalikst wszedł, dowiadując się o zdrowie i wyznając, że doktora o nie zapytywał.

Ciocia oczekująca w salonie, usłyszawszy naprzód głos, zobaczywszy potem to zjawisko wprowadzone przez Brennera — o cudo!! — o mało nie krzyknęła z radości i podziwu. Co się stało — nie mogła pojąć. Koniec końcem, pan Kalikst był w salonie, został wprowadzony, znajomość z nim niejako urzędową sankcją otrzymała. Pani Małuska po cichu dziękowała Bogu, a że inaczej nie umiała, odmawiała, jak zwykła była w wielkich razach, Zdrowaśkę.

Zostali we troje, bo Brenner pod pozorem pilnego zajęcia przeprosiwszy gościa, poszedł do swojego gabinetu, a że w godzinę później wypadł mu znowu interes, dla którego wyjść musiał z domu, stało się, iż Rucki niemal cały wieczór spędził w jednym tylko towarzystwie nie zawadzającej cioci. Rozmowa była niezmiernie ożywioną, przerwało ją trochę muzyki, którą, choć doktor zakazał, panna Julia sama sobie pozwoliła, gdyż była jej — jak mówiła — zgłodniała. Małuska później ciągnęła pasjans na stoliku, młoda para chodziła rozmawiając długo, swobodnie. Kalikst pobiegł po książki na górę, przyniósł je i dopiero koło dziesiątej rozstał się z Julią.

Dopiero też wróciwszy do swojego mieszkania, mógł się trochę zastanowić nad tym, co się stało,



jak się stało, co uczynił i do czego to prowadzić mogło. W pierwszej chwili tak był przejęty, schwycony za serce, nie pan siebie, iż na wezwanie uprzejme Brennera pobiegł bez najmniejszego rozmysłu.

Cały ten postępek, rozmowa z Julią — wszystko, co wzajem sobie powiedzieli, wykonało się pod władzą i wpływem nie rozumującego, gorącego uczucia.

Teraz, padłszy na swą kanapkę, w ciemnościach — sparty na łokciu, zadumał się Rucki nad tym, co zrobił. Niepokojny był tym bardziej, im mocniej czuł, że wieczór ten wpływ stanowczy wywarł na niego. Był zakochanym i rozmarzonym wprzód, teraz się czuł oczarowanym, ujętym, podbitym.

Wyjść z tego zaczarowanego koła nie mógł, a koło to opasywało go, wiązało z ludźmi, z rodziną, do której zbliżyć się był nie powinien. Brenner był agentem moskiewskim, Julia jego córką.

Łamał ręce. Lecz ilekroć przypomniawszy sobie Julię, jej wyrazy, jej mowę, wejrzenie, to, co od niej słyszał, sąd jej o rzeczach i ludziach — nie mógł nic innego przypuścić nad to, że była nieświadomą tego, czym żył ojciec i komu służył.

Tego wieczora właśnie Julia pod naciskiem dusznym, ciągle mając na myśli, iż ojca i ją mogą posądzać, obwiniać, umyślnie rozmowę z Kalikstem skierowała na to, co się działo w kraju, na ucisk w. księcia, na rewolucję francuską i nadzieje, jakie ona obudzała. Mowa jej była tak śmiała, że zrazu Kalikst oniemiał słysząc ją — lecz w głosie, w wyrazie tyle było przekonania, zapału, iż mu się w końcu oprzeć nie umiał.

Wyciągnęła go na słowa, na wyznania przekonań. — „Córka szpiega!! — powtarzał — i ja — śmiałem jej to mówić!!”

Sam teraz nie mógł się sobie wydziwić — żałował niemal — ale gdyby mu przyszło drugi raz wrócić do tego samego położenia, czuł, że nie byłby innym.

Myśli wirowały mu po głowie tak, że w końcu obawiając się jakiego szalu, zapalił światło, obmył się zimną wodą, otworzył okno, aby odetchnąć świeżym powietrzem.

— Jeżeli to nie jest anioł, a zwodnica!! naówczas lepiej nie . żyć i ludzi nie znać! — wołał. — Jeżeli kobieta może być tak fałszywą, naówczas — prawdy nie ma na świecie.

Bił się tak z sobą — nie mogąc przyjść do spokoju.

Koniec końcem wiedział tylko, że ją namiętnie kochał i że to, co wczoraj było uczuciem ledwie i tęsknicą, stało się szalem.

Wszystko, co młodzi ludzie o wiele wprzód powtarzają za drugimi, niżeli sami doświadczą — dusz braterstwo — sympatie niezwykłe — pociąg, co dwoje ludzi przez ogień i wodę ku sobie rwie i chwyta — Kalikst czuł prawdziwym.

Nie był w zgodzie z rozumem, z obowiązkiem, z sumieniem — a miłości tej oprzeć się nie mógł! — Ogarnęła go rozpacz i przerażenie.

Wieczór ten, tak tragicznie kończący się na górze, na pierwszym piętrze także poruszył wszystkich. — Pani Małuska była tak szczęśliwą, jak się już od dawna nie czuła. Julia, nie śmiejąc spojrzeć w przyszłość, wiedziała tylko, iż przeżyła jedną z najszcześniejszych chwil młodości. Ten człowiek tak ją rozumiał! Wszystko w nim było jakby stworzonym dla niej — jedno słowo, myśl jedna, najmniejszy ruch nie wprowadził nuty dysharmonijnej w ten duet ich, który dwie dusze odśpiewały nastrojone gdzieś w niebiosach do siebie.

Z trochę gorączki, ale szczęśliwa i rozmarzona, położyła się Julia — czując się — prawie zdrową. — Ojciec tylko — ojciec stał jej na myśli — lecz tego spodziewała się ubłagać, nawrócić, uprosić. — Miała cały plan gotowy. — Wynieśliby się do Austrii lub Prus, Rucki i tam by ich znalazł. Była pewną, że jej nie opuści.

Co jej dawało tę pewność? nie wiedziała sama. Serce jej to mówiło, które rozumuje po swojemu.

Na dole w kamienicy, gdzie natychmiast wiedziano wszystko, co zaszło u góry, majstrowa Noińska została uwiadomiona przez kucharkę o wypadku niezmiernej doniosłości.

— A! już że się coś święci — to się święci! jak mego pana Boga kocham — mówiła zdyszana jejmość, przybiegłszy do szewcowej. — Co ja powiem kochanej majstrowej! co ja powiem!

Klepała się po twarzy, głową rzucając na wsze strony.

— Cóż się stało! co moja jejmość?

— Tylko niech pani majstrowa tego nie powiada Aramowiczowej, bo to długojęzyczna, ani Matusowej. Rozniosą, rozpaplą, a potem na mnie, że to wszystko wychodzi przeze mnie.

— Ale co bym mówić miała! co bym ja miała rozpowiadać.

— Otóż widzi majstrowa kochana — wszystka oliwa na wierzch wyszła. Stary nasz widać opierał się przeciw temu kawalerowi, a nasza panna się w nim rozromansowała. — Spotykali się ciągle w Ogrodzie. Słyszę, musi być. Radzca coś zwąchał czy napatrzył i nahałasował. Panna się śmiertelnie rozchorowała. Co to gadać! Lampa... albo tam mdłości. Czy to mdłości bez racji napadają? Panna się z tej miłości rozchorowała, co ją ledwie konsyliarz odratował, a takie lekarstwo dawali, co haptekarz mówił — trucizny.

— Jezu ty, Mario! — przerwała szewcowa.

— A cóż? jaki tera koniec? panna postanowiła na swoim! Jak niepyszny pan ojczysko sam musiał nam dziś kawalera przyprowadzić... Żeby jejmość potem naszą pannę widziała; to powiadam pani majstrowej — twarz się jej zaraz odmieniła. I zdrowiutka!! Potem jak więźni chodzić z sobą po pokoju, a ona jemu grać, a on słuchać, a potem z sobą szeptać, no — to już by ślepy dojrzał, co to jest.

— Pobiorą się — rzekła majstrowa.

— Ta i pewnie — Małuska chodzi, mało nie skacze, oczy się jej śmieją. Panna śpiewała

rozbiegając się, a ten, jak poszedł do siebie na górę... jak pijany, powiadam majstrowej.

— Ot! zwyczajnie, moja jejmość, młodość! a! czy to człek swojej nie pamięta? moja dobrodziejko! Bywało, jak się o mnie mój starał, jak Boga kocham, kiedy mnie pierwszy raz w rękę pocałował, to mi poszło po wszystkich kościach.

Kucharka, mająca zapewne także tego rodzaju wspomnienia, z których się spowiadać nie chciała, westchnęła i nos utarła. Ta ostatnia czynność zawsze stawała się nie odbitą\* przy wielkim rozczuleniu.

Jak Agatka tę samą historią na swój sposób, w wersji nieco zmienionej, opowiadała po cichusieńku Matusowej — nie czujemy się w obowiązku powtarzać, chociaż dziewczę miało poglądy niektóre i trafne, i całe od dyktowanych zimniejszym doświadczeniem i znajomością świata kucharki — odmienne...

Nazajutrz, gdy pan Kalikst do biura szedł, z podwojoną ciekawością przypatrywano mu się po drodze. — Agatka spotkała go na wschodach i nie pytana pozdrowiwszy wyspowiadała, jak panienska spała i że tego dnia była weselszą i zdrowszą.

Brennera właśnie, gdy rad się był uwolnić i usunąć nieco — zmuszano do nadzwyczajnej działalności.

Rewolucja w Paryżu, która się odbiła widocznie na umysłach w Polsce — całą ową falangę policyjną powołała na nogi. Ludzie tacy, jak Szaniawski\*, więcej nią byli strwożeni może niż w książę. — Szaniawski wprost przepowiadał powstanie i chciał uciekać, będąc pewnym, że cało by nie uszedł. Prześladowanie ducha drażniło więcej niż książęce męczarnie cielesne. — Szaniawski widział już w snach barykady w Warszawie i swój dworek z góry poświęcał na rozebranie, zburzenie i materiał do zasieków...

Nowosilcow widział równie czarno. Temu nawet despotyzm Konstantego nie wydawał się dostatecznym. Konstytucja według niego była przyczyną wszystkiego złego, wojsko polskie błędem i omyłką niebezpieczną. Przedwcześnie Nowosilcow był za wynarodowieniem zupełnym, bezwzględny i za złamaniem wszystkich tych przeszkód, które, jak mówił, cesarz Aleksander, zbyt dobroduszny — sam sobie postawił, wiążąc się konstytucją.

Duch liberalizmu niebezpieczny wiał mu z *Podróży do Ciemnogrodu\**, która była dziełem ministra. Trzeba było co rychlej wszystko dusić, tłumić — innych ludzi postawić na czele. Potockich\* i Czartoryskich pousuwać\*, a Nowosilcowów, Grabowskich\* i im podobnych w ich miejsce postawić. Nade wszystko trzeba było konstytucję znieść i wojsko wcielić... do armii. Ale tu spotykał się pan senator z oporem ks. Konstantego. Wojsko polskie było jego dziełem, był nim dumny. Męczył je na śmierć w Warszawie, lecz pysznił się w Petersburgu. Dopóki żył brat cesarski, wojsko dla niego istnieć musiało.

W chwili tej więc, gdy już Nowosilcow i Szaniawski widzieli rewolucją u drzwi, gdy kilka małych jakichś nitek spisków i sprzysiężeń odkryto, i w Belwederze panował ruch i czujność

nadzwyczajna. Raporta przychodziły po kilka razy na dzień, a raportowano o wszystkim, co się mówiło w mieście, śledzono każdego przybywającego. Kazano pomnożyć szpiegów, cóż dopiero starych się pozbywać! O tym i mowy być nie mogło. Brenner, znany z przebiegłości, był dziś potrzebniejszym niż kiedykolwiek.

Wysyłano go tam, gdzie inny by sobie rady dać nie umiał, z tą pewnością, że nie wróci próżno.

Położenie świeżo nawróconego człowieka stawało się co chwila straszniejszym, przykrzejszym co chwila. Rozbudzone sumienie zamykało mu usta, a tacy Lewiccy, Żandrowie i Kruty grozili i łajali, jeśli im nic nie przynosił. Trzeba się było z nadzwyczajną zręcznością wykręcać, tak aby i nic nie powiedzieć, i nie dać domyślić, że coś utajono.

\* \* \*

Jedną z najcharakterystyczniejszych postaci tych czasów, którym jeszcze na pozostałościach oryginalnej przeszłej epoki nie zbywało — był czcigodny, siwy ów prezes Towarzystwa Przyjaciół Nauk, niegdyś przyjaciel i współkolega Kościuszki, świetny poseł Sejmu Czteroletniego, jeniec maciejowski, autor *Powrotu posła* i *Śpiewów historycznych*, Julian Ursyn Niemcewicz\*. Czczony powszechnie starzec był pomimo wieku i dobroci charakteru jednym z najzłośliwszych dowcipnisiów swego czasu. Nie przebaczał nikomu, a że czuł żywo i wiek w nim przytępił nieco władzę sądu o ludziach i sprawach ludzkich, że miał skłonność do widzenia trochę czarno, dowcipy jego dosięgały często i niewinnych, kaleczyły bezbronnych.

Była to powaga wielka, słowo jego rozbrzmiewało daleko — ujmowano więc, jak kto umiał, staruszka, aby nie kęsał. Pobudką dla Niemcewicza nie była nigdy żadna osobista obraza — patriota gorący, człowiek szlachetny, oburzał się na najmniejszą podłość, na serwilizm\*, na niczemność, na każdy czyn, noszący na sobie piętno fałszu i zdrady.

Starzec ten, który później zemrzeć miał na wygnaniu, gorączkowo pracując dla biednej Polski, w przededniu wypadków — tak dobrze jak inni patrioci siwowłosi, nie miał najmniejszego przeczucia rewolucji. I on i księżę Czartoryski — i Chłopicki — byli w duszy jej przeciwni — z obozem demokratycznym nie mieli najmniejszego stósunku — wzdrygali się na samo widmo rewolucyjne.

Młodzież miała ich porwać z sobą i zmusić do działania. Niemniej jednak i Niemcewicz, i inni patrzeli na to, co się działo w Belwederze, ze zgrozą; rozumieli oni, że prześladowanie zamiast wybuchowi zapobiec, przyspieszyć go może. Ale wybuch wystawiali sobie wszyscy jako chwilowy, mający wiele ofiar pochłonąć i natychmiast być stłumionym.

W tym kółku, w którym się stary Julian Ursyn obracał, około Wilanowa, Potockich i Czartoryskich — cichutko sobie opowiadano historyjki o wielkim księciu, o jenerałach jego, o Grabowskim\*, o Szaniawskim i innych nienawistnych osobistościach. Niemcewicz ze swojego Ursynowa przywoził do Warszawy dowcip i częstował nim na ucho swych poufałych, a nazajutrz słówko skrzydlate,

kolące jak strzała, rozbiegało się po całej Warszawie.

W Belwederze nawet czasem wiedziano o nim, lecz starego zaczepiać i nie chciano, i nie śmiano.

Niewyczerpany w opowiadaniach i anegdotach — Niemcewicz był najmilszym w towarzystwie, ale już naówczas powtarzał się często, a bardzo namiętne sądy i — prawdę rzekłszy — łatwowierność wielka, z jaką chwycił lada pogłoskę, czyniły go samemu sobie niebezpiecznym. Często też osądziwszy kogoś za pospiesznie, musiał wracać potem do innego przekonania. Ale, że zapominał łatwo o tym, co mu się niedawno wymknęło, niewiele go zmiana obchodziła.

Ojciec pana Kaliksta, stary napoleoński żołnierz, był z dawna Niemcewiczowi znajomym. Polecił mu był obu synów swoich i im też przykazał, aby kiedy niekiedy mu się przypominali.

Rucki tak dawno nie miał zrzeczności być w Ursynowie, iż mając parę dni od pracy biurowej wolnych — postanowił się tam udać.

Było to w poobiedniej godzinie, staruszek rano wróciwszy z miasta, zjadłszy skromny, ale starannie przygotowany obiadek w domu, siedział w chłodku z kilku znajomymi i przyjaciółmi, gdy pan Kalikst przybył mu się przypomnieć.

Niemcewicz zwłaszcza młodzież traktował poufale, z góry, po ojcowsku. Zrazu potrzebował się trochę namyślić, nim poznał Ruckiego, ale przypomniawszy sobie zaraz ojca i jego, wpadł w dobry humor i dowcipkować począł.

Anegdotki i słówka ostre sypały się jedne po drugich — śmiali się wszyscy serdecznie, lecz że w nich nie oszczędzano Moskali, oglądano się nieco poza siebie. Niemcewicz był niewyczerpanym, gdy opowiadać zaczął, umiał bowiem i zbierać plotki i doskonale je przyprawiać, a przy podanej zrzeczności nikogo nie ominął, nie przypiąwszy łatki. Z Ursynowa do Belwederu nie tak łatwo dochodziło echo, tu w zaciszy tej można było śmielej mówić niż gdzie indziej, a jednak i tu nawyknienie do ostrożności to głos zniżać, to się obejrzyć zmuszało niekiedy.

Tego dnia kolej przypadła na czasy Zajączka\* i Okołowa\*, którego staruszek malował żywymi barwami, powtarzając, jak mianowany urzędnikiem w Izbie Skarbowej — wchodząc witał swych biuralistów.

— Jak się macie — złodzieje!

— Witamy naszego naczelnika! — odpowiadano mu chórem.

Przyszła potem kolej na lekcję konstytucji w Belwederze, którą Wańka w. księcia był powołanym dać cesarzowi Aleksandrowi, na historyjkę o niedźwiedziu pułkownika Łunina i tym podobne obiegające naówczas Warszawę dykteryjki.\*

Kalikst słuchał, bawił się, a gdy nareszcie sądził, że czas byłoby się usunąć, chciał pożegnać Niemcewicza, gdy ten mu szepnął, aby pozostał.

Wkrótce też goście pożegnali gospodarza, który ich przeprowadził za swoją zagrodę i wróciwszy do Kaliksta, ręce mu poufale na ramionach położył.

— Słuchaj no — rzekł — wszak masz brata w Szkole Podchorążych?

— Tak jest, panie prezesie.

— No — i widzisz się z nim, masz stósunki z młodzieżą? — rzekł Niemcewicz.

Kalikst skinieniem głowy potwierdził to także.

— Słuchajże, co ci poufale powiem — niższy głos odezwał się staruszek. — Wiecie, jakie drapieżne stworzenie siedzi w Belwederze, jak od czasu sądu sejmowego\* szpiegostwo wzmogło się jeszcze, jak tu oczy i uszy wytrzeszczają na młodzież, a wy... wy spiskujecie.

Kalikst się zarumienił milczący.

— Nie miałbym wam tego za grzech — dodał Ursyn — gdyby się to na co zdało, ale to do niczego prowadzi. Wojska mnóstwo, Moskale czujni i mocni, choćby jaki *coup de main*\* na chwilę się poszczęścił, będzie nas kosztował najlepszą krew, najdroższą młodzież, a na nic się nie przyda. Piastujcie ducha polskiego w sobie, żywcie go, ale nie dajcie się, rozgorączkowani, wciągnąć w jaki krok szalony.

— Ale ja o niczym podobnym nie wiem — odparł Kalikst — i... nie sądzę...

— Mów sobie, co chcesz — odparł Niemcewicz. — Ludzie wiedzą, że coś się knuje i w wojsku, i między cywilnymi. Szepcą o tym po salonach. Każdy boli zawczasu nad tym, co to za ofiary pociągnie za sobą, a na nic się nie przyda. To darmo! Nie pora. Polityka europejska nas wyzwoli — potrzeba cierpliwości. Miejmy nadzieję w Anglii i Francji, a nie psujmy sobie sprawy przedwczesnym wybrykiem.

Kalikst słuchał tej admonicji.\*

— Powiedz to bratu — dodał staruszek — a strzeż, kogo będziesz mógł.

— Mnie się zdaje — odezwał się Kalikst — że pan prezes zbyt widzi czarno młodzież, a raczej sądzi ją zbyt nierozważną i rozgorączkowaną.

— Ale bo jest rozgorączkowaną. Tak samo ją widzi Staś Potocki, który bliżej się jej przygląda — rzekł Niemcewicz. — Zresztą, mój drogi, ja dopełniam obowiązku, dając wam przestrożę — wy uważajcie, jak macie z tego korzystać.

Zamilkł staruszek.

Było już trochę późno, Kalikst po kilku słowach jeszcze wybrał się nazad z Ursynowa. To, co tu usłyszał, zmuszało go natychmiast się widzieć z bratem — pospieszył więc z powrotem do Warszawy, ale tu przybywszy, nie mógł już mieć nadziei widzenia się z nikiem, godzina była

spóźniona. Przystroję więc musiał odłożyć na jutro i skierował się wprost do domu.

Z dala już spoglądał na okna pierwszego piętra i wzdychał, bo stósunki z panną Julią co dzień stawały się bliższe i ściślejsze. Na ustach jego błdziły już półsłówka dwuznaczne, które, jak jaskółki wiosnę, poprzedzają zwierzenia się wzajemne. Spojrzał na zegarek — godzina do odwiedzenia Brennerów tak bardzo niewłaściwą nie była. Nie doszła jeszcze dziewiąta. Szło tylko o to, czy Brenner był lub nie w domu. — Jeżeli wrócił, pan Kalikst nie miałby odwagi odwiedzić sąsiadów. — Jeżeli go nie było, choćby się przypóźnił nieco, wiedział, żeby mu to przebaczone.

Odgadnąć — nie umiał, wzdychał do tego, by mu los kogoś nastreczył takiego, u którego by mógł zapytać... jakby od niechcienia.

Przed bramą kamienicy stała cała młoda jej ludność, wyrojona w ulicę, w najrozmaitszych ubiorach. Józiek z jedną szlejką przez plecy, w koszuli i spodeńkach krótkich, z głową jak fura siana, palący z krótkiej fajeczki, dwóch chłopców Noińskiej, jeden w długiej koszuli podpasanej krajką, drugi w bucikach obszernych i przyodziewku osobliwym. Aramowicza pacholę w spencerku\*. Piła była w robocie i bąk. Młodzież igrała, starsi, już kurzący tytuń, wyśmiewali się z niej. Nieco na ustroniu Noińska rozmawiała z kucharką pierwszego piętra.

Zobaczywszy nadchodzącego pana Kaliksta, trąciły się łokciami.

Wypadało mu przechodzić tuż koło majstrowej i jej przyjaciółki, a choć miałby był ochotę spytać ją o Brennerów, nie śmiał. Pozdrowił więc tylko grzecznie. Przeprowadzono go oczyma.

Nieco wyżej na wschodach stała szczęściem Agatka, w bliższych zostająca stósunkach z Matusową, do której Józiek, syn jej, mimo niedojrzałości dziewczątka smalił pierwsze koperczaki. Agatka, jakkolwiek by była wolą starszego mężczyznę i pod wąsem, zważywszy, że ten już fajkę palił, wódkę pił i lada dzień mógł dostać zarostu, który na tę intencją starannie golił, a nie mając przy tym żadnej innej okazji rozpoczęcia serdecznej kariery, bo chłopiec Aramowicza był brutal — rada byłą i Józkowi. Miała nawet zniżyć niby przypadkiem na dół dla pożartowania z nim, ale tu stała kucharka na przeszkodzie. Oczekiwała więc na wschodach pomyślniejszego składu okoliczności — gdy nadszedł pan Kalikst.

Pozdrowił i ją przechodząc.

— Są państwo w domu? — zapytał się cicho.

— Jejmość i panienska są — szepnęła, trochę go przeprowadzając, Agatka — ale pana radzcy to nie ma.

— Czy już u państwa późno? — dodał ośmielony Kalikst.

— Gdzie tam! — zawołała Agatka — panna jeszcze arbaty nie dopiła. Samowar jeszcze stoi. A chce pan, to ja zamelduję?

Zawahał się nieco pan Kalikst, ale cicho rzeki:

— A — proszę panienki...

Agatce bardzo to pochlebiało, gdy ją nazywano panienką — pobiegła więc przodem, trochę za hałaśliwie. Panna Julia siedziała przy fortepianie i nie grając nic, błędziła tak bezmyślnie po klawiszach. Wstrząsła się cała, gdy wpadła Agatka.

Małuska z głową związaną była w drugim pokoju.

— Proszę panienki — pan Kalikst pyta, czy nie za późno, aby mógł oddać uszanowanie?

Julia się zmięszała trochę, spojrzała ku stojącej we drzwiach ciotce. Ta, choć ją głowa bolała, gotową była zdrową udawać, byle młodzieży usłużyć — i — pospiesznie odezwała się:

— Ale pros! pros — co za późno!

Julia zmilczała, a Agatka pędem wróciła do przedpokoju i pan Kalikst wszedł. Ciocia, powitawszy go pierwsza uprzejmie, jakby nagle uzdrowiona, wnet się zajęła herbatą, Julia nieco była zmięszana. Trwało to jednak jedno oka mgnienie — spojrzeli na siebie — i uśmiech kazał o wszystkim zapomnieć.

Małuska, która temu, jak ona go zwała, romansowi z duszy i serca była przychylną i rada była młodzież przybliżyć ku sobie — pomimo dobroduszości i prostoty postąpiła nadzwyczaj zręcznie; zaraz po nalaniu herbaty, poskarżywszy się na głowę, wyszła. Dla przyzwoitości jednak, związawszy znowu głowę chustką, poczęła się przechadzać po sąsiednim pokoju w ten sposób, iż się kiedy niekiedy ukazywała przeze drzwi. Młodzi mieli swobodę rozmowy najzupełniejszą, a jednak czułe oko opiekunki nad nimi z dala czuwało i w każdej chwili ona sama mogła się zjawić, gdyby się Brenner w przedpokoju dał słyszeć.

Wspomnieliśmy już, w jakim stósunku byli do siebie młodzi. W obojgu miłość się rozbudziła żywa, gorąca, wiedząca, iż zwyciężyć się nie może, oboje byli przekonani, że uczucie to wzajemnym być musi, oboje mieli na ustach słowo wielkie — stanowcze i wyrzec go jeszcze nie śmieli. Kalikst już sobie był Julią zupełnie wytłumaczył.

Byłaż ona winną, że się urodziła córką tego upadłego tak nisko człowieka? Wychowanie dało jej przekonania zupełnie inne, a te musiały być szczere, udanymi by być tak nie mogły. Kalikst, jednym słowem, wierzył w nią, bo ją kochał, a rozkochanym był tak szalenie, gorąco, jak w dwudziestu latach tylko pocziwe serce rozmiłowany być może.

Tego wieczora dziwnie się wszystko aż do rozmowy składało. Siedzieli przy sobie. Ciotka chodziła z dala. Julia była zamyślona, rozmarzona. Grała tego dnia wiele, a muzyka zostawiła w niej po sobie jakąś lekką gorączkę. Nerwy jej drgały jeszcze, wibrowały, a dźwięki, żeniąc się z pokrewnymi ideami, wywoływały dziwne marzenia. Zapomniała była nieco o terażniejszości, sen jakiś czarowny niedawno jej się śnił przed oczyma.

Pozostała po nim rzewność i tęsknota.

— Wracasz pan dopiero — spytała — wolno wiedzieć, z daleka?



— Od starego przyjaciela mojego ojca... z Ursynowa.

— Od przyjaciela Kościuszki także — dodała Julia. — Wszak tak?

— Tak jest, pani.

— Nigdy go nawet nie mogła widzieć z bliska, a takim zawsze pragnęła — mówiła Julia. — Wracając stamtąd powinien być pan być wesół i szczęśliwy, a widzę chmurkę na czole.

— Na moim?

— Tak jest, nie zapieraj się pan...

— Być może — rzekł Kalikst — lecz pani, co mi to wyrzucasz nie masz prawa czynić mi tej wymówki. Wprawdzie nie przyniosłem z sobą wielkiego usposobienia do wesołości, ale — nie znalazłem go też u pani...

— U mnie?

— A tak — pani jesteś dziś także smutną.

— Smutną nie — rozmarzoną jestem.

— Czym?

— Muzyką może... Muzyka upaja jak wino...

— Powinna by więc tak rozweselać jak ono...

— Mówią przecież, że są ludzie — co podpiwszy, płaczą.

— Być może — rzekł Kalikst — tacy nigdy by pić nie powinni.

— A ja więc nigdy grać! — śmiejąc się odpowiedziała Julia.

— O, przynajmniej, kiedy ja słuchać mogę, niech się pani nie zarzeka — żywo zawołał Kalikst.

Spojrzeli sobie w oczy tęskno.

— Muzyka pani taki ma urok dla mnie — mówił dalej — że, jak pani się dziś mogła przekonać, oprzeć się mu nie umiem.

Usłyszawszy dźwięk jej fortepianu, dobijałem się do drzwi zuchwale, choć godzina była niewłaściwa może.

— Ja godzin doprawdy... nie liczę — odezwała się Julia — ale wiem, że panu tak rada dziś jak zawsze.

— A! pani! mamże to wziąć za komplement czy za prawdę? Byłbym szczęśliwy...

— Jak pan chcesz! — szepnęła Julia.

— Jak chcę? — począł Kalikst — a! pani! moje pragnienia sięgają daleko, wysoko, zuchwale...

Znowu wejrzenia się spotkały i Julia spuścić oczy musiała. Kalikst ostrożnie, nieśmiało dotknął zwieszanej, białej ręki, która mu się nie opierała, podniósł ją do ust i pocałował gorąco.

Ciocia szpiegowała za drzwiami i z radości ręce ku niebu podniosła.

— Mamże jej całą moją wypowiadać duszę? — mówił po cichu Kalikst — nie będziesz pani gniewała się na mnie?

Nic nie odpowiedziała Julia — spojrzała nań, długo zatrzymała wejrzenie, Kalikstowi serce uderzyło i głowa się zawróciła.

— Ja panią kocham, panno Julio! ja kocham ją całą siłą serca i duszy, namiętnie, szalenie... Nie jestem panem siebie, jestem twoim niewolnikiem..:

Julia pobladła jak marmur, na jej twarzy widać było okropną walkę; nim odpowiedziała, łzami napełniły się jej oczy.

— Panie Kalikscie — rzekła wreszcie z zapalem i heroizmem jakimś uniesionym — panie Kalikscie — pan mnie kochałeś od pierwszego spotkania, ja pana kocham od czasu, jakieśmy sobie spojrzeli w oczy...

Kalikst chciał jej paść do nóg — wstrzymała go okrzykiem stłumionym.

— Na Boga, wysłuchaj mnie pan, proszę, błagam. Czekaj... Jestem w położeniu, w jakim się może nigdy nie znajdowała kobieta. Brzydę się kłamstwem, na oszukaństwo się wzdrygam... chcę, byś wiedział, kogo kochasz. Może dowiedziawszy się o tym, odtrącisz mnie i ucieczesz... Lecz wolę być nieszczęśliwą, niż zwodzić go... Wiesz pan moje rodzinne stosunki? Znasz pan je? Znasz ojca mojego...

To mówiąc, głos jej zadrżał i ustał niemal, była bliską omdlenia.

Kalikst zaczerwienił się cały.

— Wszystko wiem! — rzekł głosem stanowczym i śmiałym.

— I wiedząc wszystko, kochać mnie mogłeś? śmiałeś? — zawołała, porywając się z krzesła w uniesieniu, zapomniawszy o wszystkim na świecie.

Kalikstowi prawie zamarło na ustach.

— Tak...

Łzy popłynęły z oczów Julii, padła znowu na krzesło, obie ręce podała mu, milcząca.

— Jestem twoją na wieki — rzekła głosem stłumionym. — Twoją będę lub niczyją.

Kalikst kląkł przed nią, całując jej wyciągnięte ręce, ale wnet porwał się, gdyż ciotka, której się zdawało, że była tu potrzebna jako świadek, weszła do pokoju.

Julia się tym nie zmięszała wcale.

— Ciociu — rzekła, zwracając ku niej głowę — on mnie kocha — ja go Kocham. Pobłogosław...

Było coś tak dziwnie śmiałego w tych wyrazach Julii, że ciotka się zmięszała, sama nie wiedząc, co ma odpowiedzieć. Zamruczała słów kilka, przystąpiła ku nim, rozplakała się z wielkiego szczęścia — i wyszła do drugiego pokoju, zostawując ich samych z sobą. Potrzebowali oni oboje długiej chwili, aby ochłonęli, Kalikst całował jej ręce — Julia drżała cała.

— Daj mi mówić — nie chcę już mieć tajemnic dla ciebie — poczęła — tak, wiedziałeś, kim był mój ojciec, ale nie wiesz, kim — jest! Moje zaklęcia, prośby, błagania zmiękczyły go, nawróciły... Radby się od tego jarzma uwolnić, które go teraz pali i gniecie... niestety — jak kajdany każde, jest ono zanitowane na wieki. Któż wie, z życiem może chyba można się od niego uwolnić... Lecz ojciec mi poprzysiągł, że zamiast szkodzić — ochraniać będzie, że w ten sposób, przestrzegając, osłaniając, może odpokutować, jeśli zgrzeszył. Od dnia, w którym padłam zemdlona, dowiedziawszy się nieszczęsnej prawdy — ojciec mój stał się nowym człowiekiem... Ja, ja — panie Kalikście — gdybym mogła część pokuty wziąć na siebie, gdybym mogła i umiała się wam przydać kiedy na co — życiem dać gotowa!!

Kalikst był w uniesieniu. Teraz czuł, pewnym był jej niewinności, widział taką, jaką sobie wyobrażał, i nad wyraz wszelki był szczęśliwym. — Cóż go obchodził ojciec? Mógł być szatanem samym, niemniej córka cudem — była aniołem!! A ten anioł go kochał tak, że się nie wahał serca mu odkryć całego.

Rozmowa teraz płynęła gorącym strumieniem. Nic jej nie hamowało, żadna obawa, forma żadna. Był to jakby wybuch lawy z wulkanu, która płynęła niszcząc wszystkie zapory. Wystawmyż sobie, że takie dwojga serc zbliżenie się było pierwszym w życiu obojga; że mu towarzyszyło wszystko, co spotęgowuje uczucie i podnosi je poza kresy niemal natury ludzkiej. Przed godziną jeszcze na pół sobie obcy — strwożeni, niepewni, teraz z dłonią w dłoni siedzieli, jakby ich ślub z niebios połączył.

Ciocia Małuska we drzwiach stojąc patrzyła, modliła się i płakała.

Szczęściem Brenner, którego pędzał i generał Lewicki, i Jurgaszko, czynni równie zwierzchnicy, nie mógł tego dnia wrócić wcześniej; rozmowa więc, która się przeciągnęła niemal do północy, choć obojgu się zdawało, że zaledwie była rozpoczęta, nie została przerwana aż wybiciem pół do dwunastej. Przestraszona Małuska przyszła oznajmić o tym, a że przeczuwała pożegnanie czułe, któremu stać mogła na zawadzie, odeszła wnet, tak iż Kalikst, począwszy od rąk, skończył na pocałunku na czole i uciekł.

Cała ta scena, istny sen na jawie, teraz, gdy po niej ochłonęli wszyscy, wydała się im dopiero, czym była. Kością rzuconą, co o życiu i losach stanowiła. Wszystko to stało się porywczo, dziwnie, w uniesieniu — ale Julia nie żałowała swojego postępu, była spokojną i szczęśliwą. Ciocia teraz okazywała się przestraszona niezmiernie i szukała ratunku w modlitwie.

To, co się stało na górze, odbiło się zaraz na dole. Mówiliśmy, opisując kamienicę, że się w niej żadne drzwi dobrze nie domykały. Kucharka przez szparę była świadkiem całej sceny. Wyrazy nie dolatywały do jej uszu, lecz łatwo się ich było domyślić. Z okiem wlepionym, z sercem bijącym, niekiedy chwytając się za głowę na widok poufałości dwojga młodych ludzi, kucharka nie doczekawszy się końca, nie mogła w sobie utrzymać podkradzonej tajemnicy. Pędem zbiegła na dół, w bramę, gdzie była pewną, że zastanie szewcową Noińską albo na rozmowie z Matusową, albo w sporze z Aramowiczową, lub na konferencji z panem Dygasem.

Nie omyliła się, Noińska wprawdzie miała się już cofnąć z bramy i sieni, która stanowiła zwykły salon mieszkańców poziomu kamienicy — do swych wracając penatów\*, gdy ujrzała zbiegającą z góry kucharkę, zaledwie starą chustką, na głowę i ramiona narzuconą, przyodzianą. Noińska pospieszyła naprzeciw niej.

— Pani majstrowo dobrodziejko, na rany Chrystusowe, nie zdradźcie mnie! ale co się u nas stało dziś!

— Cóż? cóż? słowo daję — nie zdradzę... zmiłujcie się... uchowaj Boże, co złego?

— Abo ja wiem! — poczęła paplać kucharka. — Ale nie no pani majstrowa posłucha tylko. Jak Agatka jego tam zaprowadziła, tak samowar zgasł, a ta głupia, bo to ciele, niezgraba, sama nawet nie nastawi, przybiega do mnie. Ja pożegnałam panią majstrową i na górę. Zaraz samowar zakipiał. No — to i koniec, chcę zejść — patrzę, ehe — Agatki nie ma już. Śmignęła na dół, a ja ją wiem... abo do Matusowej, abo z tym łajdakiem Józkiem w kącie się durzy, co ja jej z tego przepowiadam kiedyś nieszczęście, bo to wisus spod ciemnej gwiazdy. Musiałam zostać na górze, a nuż zawołają abo co. Co było robić... Jest szpara — o tyła... we drzwiach, co przez nią choćbyś nie chciał patrzeć, to oko lezie. Patrzę się tedy... Nic — siedli tak podle siebie jak przystało, a Małuska, niby z bólu głowy — bodaj to tylko prawda — zaraz ich samych zostawiła. — Ale ona tak zawsze. No — nic. Siedli tu, parłując jak zwyczajnie. Tere fere, ten się śmieje, ta oczy spuszcza, ten milczy, ta żartuje. Kiedy patrzę, aż on ją za rękę, moja jejmościuniu, bierze, niesie do ust i całuje... Całuje! co to powiedzieć, całuje — mało nie zjadł — a ona nic. To już był znak. Mnie ciekawość wziena, poszłam do drzwi. Kiedy poczeni potem rozmowę... aż słyszę takie głosy, że aż mi się strach zrobiło. Zdało mi się, że się skłócili. Kiedy zacznie ona płakać, on klękać, ręce mu obie dała. Ehe! to już i po wszystkim. Oświadczył się. Ciotka wchodzi i tylko ręce do góry podnosi — a potem zaraz nazad do drugiego pokoju, żeby im nie przeszkadzała. Co potem za termedie\* były, powiadam majstrowej, czysto na teatrze! Jak poczeni to się za ręce chwytają, to odstępować, to się zbliżać, a ta płacze, ten jak burak się zaczerwieni, to blednieje... tuż śmiech i radość i wnet jakby ich na męki wzieni. Ta sobie oczy zakrywa — ten włosy rozrzuca, a wciąż za ręce się łapią, jakby ich strach brał, żeby jedno drugiemu nie uciekło. Padam majstrowej, że się mnie, patrząc, aż gorąco robiło. Dopiero potem siedli spokojniej i nuż cicho szeptać, a tak blisko, że niemal głowami się szturgali. Patrzę, Małuska we drzwiach stoi, oni jakby jej tam nie było. Zaciekawieni, poszeleli. Ot, co jest, ot, co — dodała

kucharka. — Cóż majstrowa na to?

— A cóż? młode ludzie — rzekła wzdychając Noińska — albo się pobiorą, to im to zaraz ustanie, albo... co ja mogę wiedzieć...

— E! chowaj Boże, myśleć co złego! — odparła kucharka — panna bardzo stateczna — ale co się kocha, to się kocha. Co prawda, to prawda, że takiego kochania to rzadko, bo to u panów, moja jejmość, wazone i mierzone, a oni się pozapominali jak, z pozwoleniem, na wsi prosty parobek i dziewczka... Teraz tylko nie widać, że się radzcy opowiedzą.

A ja myślę, że on już córce da wolność, bo ona go za nos wodzi, jak sama chce. Co zamyśli, to z nim robi.

Majstrowa pokręciła głową.

— Ciekawam tylko — dodała — co familia tego panicza powie, bo to faneberie, szlachta i wojskowe ludzie, im to tam o córce urzędnika i nie gadać.

— E! moja jejmość — rozśmiała się kucharka — nie' no on kuferek otworzy, a na stół położy, co ma, będą inaczej śpiewali... Boć niemajątni.

Majstrowa się zamyśliła.

— Pobiorą się, co ma być — rzekła — bo jakby im nie pozwolili, no i...

— A! chowaj Jezu Chryste, gotowi by sobie życie poodbierać... — odezwała się kucharka.

Sceptyczniejsza Noińska szepnęła.

— Abo — abo. Dobranoc jejmości.

— Dobranoc.

\* \* \*

Nazajutrz po tym wieczorze z rana wyszedł pan Kalikst do biura. Noińska, w bramie stojąc, z filuternym uśmiechem dała mu dobry dzień, patrząc śmiało w oczy. Ciekawą była szczęśliwego zobaczyć, wydał się, jak później mówiła — „dyby nigdy nic!” Miała go za wielkiego filuta.

Dostrzegła bowiem, że wyszedłszy z kamienicy w ulicę, podniósł głowę do góry, uśmiechnął się, zdjął kapelusz i przywitał się z kimś. „Juściż — pomyślała — nie z kim — tylko z nią, która tam już go wypatrywała”.

Brenner, późno w nocy powróciwszy, bardzo rano znowu wyszedł z domu.

Kalikst, choć się stołował na Nowym Świecie, zwykle po obiedzie do domu zachodził, spoczął trochę i dopiero stąd do biura powracał. Tego dnia jednak nie widziano go w domu. Ku wieczorowi na pewno gotowała się go spotkać Noińska, ale — co jakoś wydało się wszystkim bardzo dziwnym po wczorajszym — do późna go się nie doczekały kumoszki. Majstrowa miała posądzenie, iż go chyba nie dopilnowała, że już na górce musi być. Dla wyjścia z przykrej niepewności szepnęła chłopcu, Fryckowi, aby się podkradł pode drzwi na górce i zobaczył, czy jest klucz w zamku. Fryckowi w to było grać. Kopnął się pędem i jak burza potem z góry spadł, niosąc matce zapewnienie, że w dziurce klucza jako żywo nie ma i że nią zajrzawszy, puste tylko widział mieszkanie.

Kumoszki głowami kiwały mocno. Kucharka mówiła, że panna cały dzień chodziła zamyślona i smutna; wyglądała oknami, siadała grać, nie mogła, czekała z herbatą, a ciocia posyłała Agatkę na górę zobaczyć, czy pana Kaliksta nie ma...

Pana Kaliksta nie było.

Ciekawość Noińskiej i kucharki do najwyższego stopnia była zaostrzoną. — „Co to jest? co to może być? — szeptały — boć... ano...”

Godzina dziewiąta. Kumoszki siedziały na straży w bramie, nuż go zobaczą powracającego, kucharka by była znać dała na górę — nie przyszedł jednak. Już zmrok padł zupełny i komentarze najosobliwsze na ucho sobie podawano, czyniąc rozmaite uwagi, gdy dwóch mężczyzn, za którymi zaraz nadciągnął trzeci, w płaszczach, z minami jakimiś urzędowymi — zjawili się w bramie, obejrzeni po siedzących tam, coś poszeptali i jeden z nich, jakby u siebie w domu — nie pytając nikogo o nic — poszedł szybkim krokiem w głąb do Dygasa.

Noińska, choć niby się nie przypatrywała, widziała, jak wszedł do izby stróża, zabawił tam kilka minut i wyszedł z nim razem. Dygas *alias*\* pan Lasanty — który względem obcych przybierał zawsze postawę człowieka niezależnego, bo w kamienicy, prawdę rzekłszy, on rządził i panował i dlatego musiano go szanować. Dygas, wychodząc z nieznaną ową figurą, przybrał minę taką pokorną, że niemal zdawał się przestraszony. Szedł z głową spuszczoną, jak na ścięcie. Obaj nie mówili do siebie słowa. W sieni też panowało milczenie. Aramowicz, który był wyszedł z fajką w gębie ze swej izby — spojrzął tylko na stojących w bramie i fajkę w garść wzięwszy, schował do kieszeni. Dopiero teraz Noińska się domyśliła, że przybyli ichmoście bodaj należeli do policji. Strach paniczny ogarnął wszystkich. Aramowicz, jak prędko się wysunął, tak jeszcze prędzej nazad do mieszkania się swojego schował. Chłopcy instynktem czując jakąś grozę, poukrywali się w kątach. Majstrowa z kucharką wytrwały wprawdzie na stanowisku przez ciekawość, ale się później przyznawały, że i po nich ciarki chodziły.

Jak tylko ów trzeci z Dygasem nadciągnął do dwu oczekujących w bramie, puściwszy przodem stróża, w milczeniu zaczęli wchodzić na wschody. Kucharka, nie śmiejąc iść za nimi, posunęła się tylko na posterunek obserwacyjny taki, aby mogła widzieć, czy idą na pierwsze piętro, czy na górkę. Minęli pierwsze zaraz i poszli dalej.

Cisza głucha panowała w kamienicy, z dołu słyszeć było tylko, jak Dygas swoim kluczem odmykał mieszkanie pana Kaliksta.

Słyszając to kucharka zbiegła do majstrowej, ścisnęła ją mocno za rękę, głowę podniosła ku górze, a sama pospieszyła do kuchni. Nie wypadało jej z żadną plotką występować, ale wzdychając i pokaszając poczęła się przechadzać po kuchence, a że tuż był pokój pani Małuskiej, wywabiła ją z niego.

Ciocia wyszła do niej zobaczyć, co się dzieje; — poznała zaraz z miny służącej, iż coś się przytrafiło, o czym by powiedzieć miała ochotę, gdyby była zapytana. Stała przed nią. Kucharka pokiwała głową i palcem wskazała na górę.

— Co? — spytała Małuska.

Ta schyliła się jej do ucha.

— Policja — trzech...

— Gdzie?

— U pana Kaliksta na górze...

— A on?

— Nie ma go.

— A jakże weszli?

— Kazali Dygasowi otworzyć.

Małuska załamała rękę. Żywa i ciekawa sługa natychmiast, spełniwszy, co ją korciło, wybiegła dla dalszej obserwacji.

Stała tą razą na dole pod wschodami wiodącymi na pięterko, ale w tej chwili przyszło jej na myśl, że miała bieliznę rozwieszoną na strychu podle górki, chwyciła więc koszyk, aby mieć pretekst, i choć bielizna była jeszcze mokra, cichuteńko wdrapała się na górę. Myślała, że u drzwi znajdzie Dygasa, ale ten znać był wewnątrz. Idąc zatrzymała się nieco pode drzwiami, nasłuchując.

Żadnych jednak głosów wewnątrz słyszeć nie było, tylko wyraźnie bardzo stukot jakby otwieranych szuflad i szelest dobywanych papierów. Na tym miejscu długo stać było niebezpiecznie, przypomniawszy sobie kucharka, że obok na strychu ściana była cienusieńka, dzieląca go od poddasza, a w ścianie u góry szpara, przed którą raz zastała Agatkę, stojącą na wywróconym ceberku i podpatrującą nieprzyzwoicie czynności pana Kaliksta, bo to była dziewczyna ciekawa „jak żywe srebro” wedle wyrażenia kucharki, która jej prorokowała, że na nic dobrego nie wyrośnie.

Tymczasem sama postanowiła użyć środka, za który dobrze w kark dała Agatce, i wcisnęła się na poddasze, gdzie znalazłszy gotowy ceberek stary, z bijącym sercem oko przyłożyła do szpary.

Świece, pomimo że nie było jeszcze bardzo ciemno, stały pozapalane na stoliku; książki, papiery, rzeczy porozrzucane widać było po stolikach i kanapie. Milczący ci dwaj ichmoście uwijali się po mieszkaniu. Trzeci z Dygasem stał u drzwi. Dygas, ponury, z głową spuszczoną, stał jak winowajca u progu, myśląc zapewne, jak ta nieszczęśliwa jakaś historia dobrej reputacji całej kamienicy zaszkodzi.

Dwaj ichmoście, gospodarujący nie u siebie, niezmiernie byli czynni, pruli krzeselka, darli kanapę, próbowali podłogi, zaglądali za piec, na piec, rewidowali belki u pułapu, macali stoliki pod spodem, słowem, zdawali się czegoś szukać, czego znaleźć nie mogli. Jeden z nich nawet pruł odzienie, myśląc, że w nim trafi na coś zaszytego. Kupka papierów i trochę książek już były na bok odłożone. Z niezmierną wprawą i biegłością przybyli goście systematycznie dokonywali inwentarza całego mieszkania. Szufladki pozamykane otwarto wytrychami, które trzeci, stojący u drzwi, miał w pogotowiu, co mu kose wejście Dygasa ściągnęło — szczęściem przez nikogo nie dostrzeżone. Liczono znalezione trochę pieniędzy, zaczęto wiązać listy i papiery — a jeden jeszcze skrzętnie obchodził najmniejsze zakątki ze świecą. Zajrzano do pieca, gdzie były podarte papiery i zrzynki i te z niego wydobyto, słowem, nie było myszej dziury niemal, do której by nie zajrzał który z tych panów.

Pozapalali potem cygara i między sobą zaczęli coś mówić żywo, zbierać *corpora delicti*\*, ale kucharka nie mogła dosłyszeć ani słowa.

Zalecono potem Dygasowi, aby o tym, co zaszło, zachował milczenie pod karą najsroższą.

— Proszę jaśnie panów — odezwał się stróż frasobliwie — co ja mam tam gadać, a przez to się nie utai, że panowie tu byli i szukali. Ludzie stali na dole, ta tu w kamienicy języków dosyć.

— Niechże je trzymają za zębami — zawołał jeden z bakembardami\* w półksiężycy — bo... będzie źle. — I pogroził na nosie.

Dygas już zmilczał.

— Powiedzieć im, żeby nie paplali, a nie, to ich poprowadzą tam, skąd nierychło wrócą — rozumiesz...

Nie było co z nimi rozmawiać i rozprawiać, Dygas utarł gębę i zamilkł.

Dopiero zaczęli zbierać książki i papiery, Dygas widział, jak jeden pieniądze do kieszeni włożył, drugi zegarek na ścianie wiszący uprzął, spojrzeli i rozśmiali się do siebie, jakby sobie mówili: — „Gdy go uwolnią, jeżeli do tego przyjdzie, pieniądze i zegarek nie będą mu już w głowie”. Związano papiery w serwetę, zdjętą ze stolika, na dwa grube węzły, paczkę wziął jeden pod płaszcz i zaczęli się wynosić. Jedną świecę zgasili, drugą dano Dygasowi.

Już mieli wychodzić, gdy kucharka, wyjście ich uprzedzając, cicho się ze strychu wykradła, zapomniawszy o koszyku od bielizny, wpadła do kuchni i padła na stołek dysząc, ledwie żywa.

Na trzask drzwi nadbiegła Małuska — chciała się dowiedzieć, co się stało, lecz kucharka ze



strachu i wzruszenia nierychło odzyskała mowę. Posypały się potem słowa przerywane chwytaniem się za głowę i piersi, Małuska tyle tylko zrozumieć mogła, iż u pana Kaliksta w niebytności jego rewizja się odbyła. Z tego domyśleć się trzeba było — że albo młodzieniec uszedł i skrył się, czując się winnym, albo go już aresztowano.

Biedna ciotka, acz nie była wcale wtajemniczoną w to, co Brenner robił i czym się zajmował, załamała ręce, nie wiedząc sama, czy ma o tym oznajmić Julii, czy nie. Przeczuwała, jak okropne wrażenie ta wiadomość zrobi na niej, choć nie domyślała się wszystkich następstw jej i — wniosków.

Julia już i tak dzień cały chodziła, coraz bardziej ku wieczorowi będąc rozgorączkowaną i niespokojną. Wchodzenie i wychodzenie ciotki, szepty z kucharką jakieś w niej podejrzenia budziły. Co tu było począć?

Małuska jeszcze w kuchni była, gdy stąd usłyszano wyraźnie zamykanie drzwi — potem upłynęła chwila jeszcze (jak się później okazało, pieczętowano je) i na wschodach dały się słyszeć kroki. Czterech gości niespodziewanych schodziło na dół. W kamienicy — gdzie się już rozeszła wieść o policji — cicho było, jakby mak siał. Józiek, który miał niezupełnie czyste sumienie, zaszył się na wyżki\* nad Aramowicza składem i przycupnął.

Jedna Noińska, trochę brawując\*, a nie mogąc się oprzeć wrodzonej ciekawości, stała w bramie, dzieci zapędziwszy do stancji. Frycek i reszta jej potomstwa nagradzała to sobie, siedząc w oknie z poprzyplaszczanymi o szyby nosami.

Policja uroczyście zeszła do bramy, przeprowadzona przez Dygasa. Milczenie trwało jeszcze może, dopóki nie doszła na dobre staje\*, a tuż wszystkie drzwi razem otwarły się z trzaskiem i jak burza wysypały się dzieci i starzy w bramę. Aramowicz z całym dworem,

Noińszczuki, sam kulas nawet, pierwszy czeladnik, Matusowa, Agatka. Ze strychu dobywał się wisus Józiek.

Wszyscy jak oszaleli wpadli na Dygasa, który stał, niewzruszony jak opoka. Noińska miała go pierwsza zagadnąć, gdy, przerywając jej ledwie rozpoczęty wyraz, pan Lasanty kluczami brzęknął.

— Jest przykazanie — rzekł — żeby o tym gadaniny żadnej nie było, a kto paplać ino będzie — pójdzie tam!! — Wskazał dramatycznym ruchem na miasto i nie wdając się w żadne dalsze wyłuszczenia sprawy, pełen godności i powagi, cofnął się do swojego mieszkania.

Cała owa hałaśliwa ludność kamieniczki oniemiała — spoglądali po sobie; Noińska, która była patriotką, ruszyła ramionami w sposób tak rewolucyjny, że Aramowicz się zląkł, żonę nazad do mieszkania wepchnął, na czeladź mrugnął i natychmiast się cofnął.

Noińska pozostała w bramie, silnie poruszona. Tradycje poczciwego Kilińskiego\* były w warsztacie pana majstra żywymi dotąd. — Tu jeśli nie konspirowano, przynajmniej wszyscy do ostatniego chłopca Moskałom pokazywali figi w kieszeni, a ręką się zakrywając — języki.

Wytrwałość Noińskiej miała i ten cel, że się spodziewała, bądź co bądź, iż kucharka do niej zejdzie, a ta z pierwszego piętra mogła mieć dokładniejsze wiadomości niż oni z dołu o tym, co się działo na górze. Dygasa pytać, choćby z pomocą środków pobudzających, jakim mógł być kieliszek okowity — było próżnym. — Dygas, jako zwierzchnia władza w kamienicy, czuł się niemal urzędnikiem i nie mógł zdradzić tajemnic stanu. Po długim a próżnym oczekiwaniu Noińska, kołując, przesunęła się do Dygasa i próbowała go spowiadać, ale się ofuknęła.

— Abo co? abo co? jeszcze by też... nie wiem nic... odczepcie się ode mnie. *Ne widaju, ne znaju*.\*

Tych wyrazów nauczyło go obcowanie z Rosjanami.

Noińska, wychodząc, tyle tylko, że trzasnęła drzwiami, aż się szyby zatrzęśły. Tymczasem noc nadeszła.

Kucharka jeszcze na dół zejść nie mogła, tylko Agatka, która była jak w rogu\*, przyleciała z wiadomością, że na drzwiach pana Kaliksta był kawałek płótna i dwie pieczęcie — ot, takie!

Dygas zamknął bramę, w kamienicy cisza była, Brennera przez cały dzień nikt nie widział, ale na niego z zamykaniem bramy nie czekano, bo miał swój klucz od furtki.

Kto by był widział Noińskiego wieczór, zatopionego w myślach i smutnego — musiałby go być uznać nieodrodnym Kilińskiego potomkiem. Pocziwe szewczysko nie mówił nic, ale wzdychał jak miech i kłął po cichu. Jejmość spać się nie mogła położyć, język świerzbiał, a co zaczęła coś mówić — to mąż jej nakazywał natychmiast milczenie.

U Aramowiczów było gorzej jeszcze, bo tam pary puścić zakazywał majster. Był tchórz nad wszelkie pojęcie.

Dygas, którego duszy wnętrza nikt nie zbadał, zamknięty w sobie, pięść zaciskał, ale niepostrzeżenie mruczał coś, tak że nikt nie słyszał.

Matusowa, wróciwszy od straganu, naprzód miała jak zwykle do czynienia „z tym bestią” — jak go nazywała — Józkiem, który wisusował cały Boży dzień, od którego wódkę i tytuń czuć było i który w dodatku Agatkę... prześladował. Ale ta bodaj się na to prześladowanie narażała... Nieszczęśliwa matka byłaby może syna poczęstowała po swojemu w plecy, bo miała pięść silną — ale Józiek uczynił strategiczną dywersją i zaraz jej opowiedział, co się stało w kamienicy. Matusowa należała też do patriotek — wysłuchiwała więc z ciekawością i oburzeniem powieści i skrupiło się na policji, a mądry Józiek plecy uratował. Wyszła Matusowa, nie kontentując się tym, co słyszała od syna, do Dygasa, ten gadać z nią nie chciał, a Noińska ręką zaczęła trząść i nakazywać milczenie.

— Moja jejmość — szepnęła — uchowaj Boże gadania, oni nas tu wszystkich gotowi pobrać na ratusz i do starego cuchthauzu\*. Niechaj ich tam...

— A niechaj ich!! daj — karki pokręcili... psia...

Słownik jędrnych wyrażeń miała Matusowa jako przekupka obfity, barwny i dosadny, wysypała, co mogła, i wróciła do mieszkania, gdzie już Józiek fajkę smalił kołyszając się na starym krześle.

Noińską, ile razy za długo przesiedziała w bramie, zawsze potem zęby bolały, tej nocy znowu mimo użycia kropel pani Małuskiej spać nie mogła. Słyszała więc, jak dobrze z północy otworzyła się furka, domyśliła się łatwo, iż Brenner powracał, potem chód na wschodach doszedł jej ciekawych uszu, odmykanie drzwi i na górze coś się stało, czego nie mogła dobrze zrozumieć.

Ponieważ w starej kamieniczce przez sufity wszystko było słyhać, Noińska wyraźnie bieganie po górze poznała, potem zdało jej się, że głosy podniesione, krzyk i płacz słyszała i stuk, i znowu odmykanie, zamykanie, niepokój jakiś nadzwyczajny.

Trwało to niemal do dnia.

Z niecierpliwością oczekiwała majstrowa, aby się dzień zrobił i kucharka z góry zesłała po bułki do piekarza, bo nie mogło to być, aby nie wstąpiła choćby na jedną chwileczkę do niej i nie objaśniła jej, co się tam na górze w nocy działo. A że się działo coś nadzwyczajnego, na to majstrowa by była przysięgła.

Niewiele się snem pokrzepiwszy, Noińska zwlokła się zawczasu z łóżka, podsłuchując, azali się drzwi na górze nie otworzą. Jakoż około siódmej w istocie poznała krok kucharki, która zwykle chadzała żywo, ale teraz wlokła się w przydeptanych trzewikach noga za nogą, jakby jej cały świat i wszystkie plotki świata stały się obojętnymi. Noińska otworzyła drzwi w bramę w czas, spotkały się oko w oko.

Kucharka smutna była jak noc, chustką ogromną zakryta, szła posepna, nie okazując nawet najmniejszej ochoty do konwersacji.

— A cóż tam u was? — zapytała Noińska — coś w nocy strasznie chodzili i gadali.

Kucharka pokiwała głową.

— Co! moja pani majstrowa — już ja ani mogę, ani wiem, co gadać. Panna leży, ‘dyby trup, chora; ojciec nie kładł się spać, chodzi jak wariat, Małuska klęczy, przed N. Panną zapaliła światło i szlocha a modli się. Wszystko przez to nieszczęście, co spotkało pana Kaliksta.

— Ale cóż jego spotkało? czy nie wiecie? jużci nie kryminał popełnił?

— Proszę mojej majstrowej, kto to może wiedzieć pod te czasy — co się dzieje. Dosyć, że ten beznosy\* kazał jego wziąć. A kogo oni wezmą — temu nieprędko dzień zobaczyć. Słuchałam pode drzwiami, jak ojciec z panną rozmawiał — to nic nie zrozumieć... Wszystko się przeklinał na Boga, na świętych pańskich, że on nic nie winien — a panna Julia na ziemię padała, a on ją podnosił. Strach brał patrzeć, bo się chciała oknem rzucić, aż ją ojciec porwał i kląkł przed nią, a począł modlić i prosić, że on to będzie się starał naprawić... Abo ja wiem — kochana majstrowa — człek jak w rogu. Życie obmierzło — nic nie wiedzieć — a tylko słuchać, jak jęczą i płaczą...

Mówiły z sobą jeszcze, gdy po wschodach usłyszeli chód żywy, umilkły wnet, bo tuż szedł Brenner, czapka nasunięta na oczy, jak z krzyża zdjęty, nic nie widząc, nie patrząc, dopadł bramy i znikł. Kobiety za nim popatrzały, pokiwały głowami — i kucharka poszła po bułki, a Noińska, rozbierając, co słyszała, wróciła na łono rodziny, bo Frycek już siostrzyczkę czubił i okropny lament dawał się słyszeć u szewca, a w strachu była, ażeby ojciec, pan Noiński, nie domierzył na synu sprawiedliwości pocięciem\*, miał bowiem ten zły zwyczaj, iż Frycka niemiłosiernie chłostał. Matka zaś biednego robaka broniła, bo był chłopiec wielkich nadziei. Józkowi się nie dawał — a sprytu miał więcej niż wzrostu.

Dzień ten zresztą na dole kamienicy przeszedł zupełnie normalnie. Policja już się nie ukazała. Wszyscy niemal chodzili na górę patrzeć na drzwiach przyłożonych pieczęci — Aramowicz tylko nie chciał się ciekawością taką kompromitować względem rządu i nawet czeladnika nie puścił.

— Co ty tam będziesz nosa wtykał? po co? Co zobaczysz? pieczęcie? no, to co? Potem gotowi śledztwo prowadzić, jeżeli je kto naruszy, żebyś w kozie siedział o chlebie i wodzie. Patrzajcie go! Ciekawość pierwszy stopień do piekła.

Noińska mogła sobie pozwolić zajrzeć, gdyż mieszała na strychu wiszącą bieliznę, choć właściwe jej miejsce było w dziedzińcu — kucharka ją doprowadziła do samych drzwi.

Pieczęcie były z orłami obie. Z jednej się laku trochę złało. Płótno zakrywało dziurkę od klucza, lecz przez szparę widać było nieład w mieszkaniu — i ślady przejścia „nieczystej siły”.

Los nieszczęśliwego Kaliksta obudzał powszechnie politowanie, Agatka aż płakała nad nim.

Tego dnia znowu dr Borzęcki zaczął chodzić — panna Julia leżała w łóżku i — rozwinęła się gorączka.

Pod noc była nieprzytomną, zrywała się, płakała, krzyczała, tak że kucharka i Małuska ani na chwilę jej odstąpić nie mogły. Borzęcki też siedział prawie ciągle, a Agatka biegała do apteki Świętokrzyskiej co moment.

Brennera nie było cały dzień, ale ku wieczorowi nadbiegł dorózką i już został w domu, pilnując łóżka córki. Noińska została prawie bez żadnych świeżych wiadomości, bo te, których jej Agatka udzielała, nie miały żadnego znaczenia. Na dole i Józiek też czatował na swą ofiarę, ale dziewczyna tego dnia ani spojrzeć nań nie chciała.

W warsztacie Aramowicza ile razy starszy czeladnik coś dwuznacznego powiedział, majster heblem walił w warsztat i nakazywał milczenie. Nadeszła noc i Dygas, który przez cały Boży dzień prawie był niewidzialnym, poszedł bramę zamknąć wcześniej niż zwykle. I tego dnia nic go do rozmowy nie mogło skłonić, fajkę trzymał w zębach, cmokał a na nikogo nawet nie patrzył.

O losie pana Kaliksta i następnego dnia się nie dowiedziano, lecz zaszła okoliczność ważna. Z południa przybiegł pan Ludwik, brat Ruckiego, ze Szkoły Podchorążych, którego znano z tego, że niekiedy odwiedzał Kaliksta. Zdaje się, że musiał już coś zasłyszeć o losie brata i że się chciał ostrożnie przekonać, czy w istocie Kalikst został aresztowany. Spozstrzegła Noińska przebiegającego

pod oknem i poznawszy, wyszła w bramę, ale nim robotę położyła, nim pospieszyła do drzwi, młody wojskowy spiesznymi krokami, po dwa wschody na raz robiąc, wpadł już był na pierwsze, a potem na drugie piętro. Tu jednak nie zabawił długo, znać, zobaczywszy pieczęcie, miał już dosyć i zbiegł pospieszniej jeszcze, niż wchodził. Noińska czekała na dole i gdy ją mijał, skinęła mu głową, aby wszedł do nich. Obejrzał się chłopak dokoła, nie było nikogo i wsunął się do izby. Majstrowa go z warsztatu zaprowadziła do swojego alkierza.

— Wszak pan brat pana Ruckiego?

— Tak jest — odezwał się Ludwik, który był zresztą tak podobnym do niego, iż pytanie prawie było zbytecznym.

Noińska głową pokiwała, westchnęła, rękami zakryła twarz i zaraz je założyła na piersiach.

— Przyszły te szelmy z policji wieczór, strzęśli, zrewidowali het do najmniejszego kłapcia, pozabierali papiery...

Ludwik słuchał drżąc i nie mówiąc słowa.

— A co się z panną dzieje!

— Z jaką panną? — zapytał zdziwiony brat — z panną?

— Abo to pan nie wie?...

— A nie.

— No, to długo, proszę pana oficera, rozpadać, bo on się kochał z panną Brennerówną z pierwszego piętra, że strach... panna leży w gorączce, majaczy... mówią, dostała duru\* z tej aprensji\*.

— Kiedy była rewizja? — zapytał Ludwik. Majstrowa opowiedziała, ściśle wyrachowawszy dzień i godzinę.

Chciała mu innych udzielić szczegółów, ale Ludwik zdawał się tak poruszonym i niecierpliwym, tak w okna wyglądał, tak się rwał, że się poczciwej majstrowej należycie wygadać nie dał. Podziękował jej tylko, prawie słowa nie mówiąc, i mocno skłopotany, wybiegł z kamienicy z pośpiechem wielkim.

Chociaż ta bytność jego prawie nie była postrzeżoną, Aramowicz, który szedł po tarcicę\*, najrzał pana Ludwika, widział, jak wchodził do Noińskich, i nabrał się stąd do ogromnego strachu, aby cała kamienica, uchowaj Boże, przez zuchwały postępek majstrowej nie była skompromitowana. Wprawiło go to w kłopot niemały, tak że wieczorem nie mógł się wstrzymać od wymówki, i przyszło niemal do kłótni, ale noc ją przerwała, a roztropność nazajutrz nie dozwoliła rozpoczynać na nowo. Aramowicz tylko zerwał wszelkie stósunki z domem Noińskich, zabraniając żonie nawet u nich ognia dostawać.

— Oni skończą w prochowni\* — mówił do żony — to zagorzali ludzie. Kulasowi w głowie Kiliński — ale dadzą mu oni Kilińskiego, jak go do taczek\* przykują. A ta sroka, Noińska, byle jej językiem mleć, a wszędzie nosa wściubiać. Rzemiosła nie pilnują, ot, co!!

\* \* \*

Tego dnia wieczorem, gdy policja po cichu weszła do kamienicy przy ulicy Świętokrzyskiej, do klasztoru Karmelitów dwóch ichmościów w płaszczach, w czapkach na oczy spuszczonej, przyprowadzili młodego człowieka, który szedł milczący, dumnie i obojętnie prawie spoglądając dokoła.

Straże przepuściły ich do wnętrza. Mrok był już na kurytarzach. Zjawił się natychmiast jakiś wojskowej miny, w płaszczu żołnierskim, stary człowiek z kluczami, poszeptano coś z nim — i przyprowadzonego więźnia, otwarłszy mu celę, natychmiast w niej zamknęto.

Ci, co go przyprowadzili, mieli się oddalić, gdy jednego z nich spytał pan Kalikst, on to był bowiem — czy nie mógłby wiedzieć, za co został aresztowanym.

Ten, do którego się zwrócił z pytaniem, szydersko, złośliwie się uśmiechnął, spojrzął na drugiego i odparł urągając się:

— Porachuj się pan z sumieniem. Niech no pan sobie wypocznie, pomyśli, później się wszystko znajdzie. Dobrej nocy, cha! cha!

I oba wyszli drwiąc.

Pan Kalikst stał jeszcze osłupiały w środku celi, gdy za nimi się już rygle zamykały, a on sam jeden w mrocznej izdebce się ujrzał, której powietrze ciężkie, duszne, zatęchłe, młodej piersi nie starczyło.

Od niejakiego czasu życie jego jak gorączkowe jakieś marzenie toczyło się, unosząc go z sobą niemal bezwiednie. Czuł się chwyconym, ciągniętym i w chwili gdy był u szczytu szczęścia, znalazł się nagle pod zamkiem u Karmelitów.

Za co? Wprawdzie rachując się z sumieniem, Kalikst musiał przyznać, że to było usprawiedliwionym, należał bowiem do niedawno utworzonego związku cywilno-wojskowego\*, złożył przysięgę, był czynnym, ale zarazem tak ostrożnym, iż sądził, że się niczym nie mógł zdradzić. Brat jego z nim razem brał udział w spisku, przez niego nawet został inicjowanym\*. Pierwszą więc myślą przerażającą dlań było, że wszystko się wydać, wszystko musiało być odkrytym, brat zapewne uwięzionym — i ich obu czekały męki, pytki, badania, na które męstwem się trzeba było uzbroić zawczasu. Mimowolnie Brenner na myśl mu przyszedł — Brenner, który mógł się przyczynić do wykrycia sprzysiężenia i może w ten sposób chcąc się go pozbyć — wskazał nań. Zimny pot wystąpił mu na czoło.

Przed Julią wprawdzie nie wydał się z niczym, ale nie krył z uczuciami swymi i gorącym patriotyzmem, rozpacz ścisnęła mu serce na przypuszczenie, że ona...

Ale sam się wnet oburzył na siebie — za tak niecne podejrzenie. Szukał tego w myśli, co go zdradzić mogło, i znaleźć nie umiał. Był ostrożnym, raz tylko przed kilku dniami kilka słów bez adresu wysłał był, jak mu się zdawało, przez bardzo pewnego posłańca — nie do osoby, ale do miejsca oznaczonego, w którym kartka miała być złożoną. — Posłaniec ten mógł go zdradzić. W takim razie kartka jego tylko narażała, nikogo więcej — ale z jej treści trudno się było wytłumaczyć.

Musiał się więc przygotować na surowe badanie, a wiadomo, że naówczas ono się niekiedy odbywało za pomocą środków, które najsilniejszy charakter trwogą napępiały. W obawie tych męczarni niedawno wprzód hr. Marcin Tarnowski\* poderzwał był sobie gardło, a nie mogąc znieść postrachu samego, książę Antoni J.\* wypowiedział wszystko i miał długie życie potem dźwigać sromotę tej chwili słabości. — Karmienie śledziami nie moczonymi i odmawianie napoju, bezsenność, bicie, urągowisko, głód, wszystko wedle powszechnego mniemania używanym było do wyciśnienia zeznań z obwinionych.

Kalikst czuł się dosyć silnym, aby wytrwać męczarnie ducha i ciała, lecz niemniej, widząc się wystawionym na nie, drżał i chwilowo zabolał. — Innej winy nie przewidywał oprócz nieostrożnie wysłanej kartki, w której były wskazówki pewne, dające się spisku domyślać. Jeżeli ona została schwyconą — co miał począć?

Musiał się jej wyprzeć zupełnie, stanowczo, a choćby ręka go zdradziła, nie przyznać się do niej w żadnym razie, nie znać posłańca, jeśliby mu go na oczy stawiono — słowem — nie rozumieć, nie wiedzieć — wyprzysiąc — i w tym wytrwać do końca.

Nie mając jeszcze czasu rozpatrzyć się w celi, w której został nagle zamkniętym, przebiegł to wszystko myślą, umocnił się w postanowieniu i dopiero zwrócił się, aby obejrzeć się, gdzie się znajdował.

Cela była maleńka, brudna, widocznie już przez wielu wprzód zajmowana. Jedno okno, do pół zamurowane, rodzaj skrzyni od dołu osłaniał, wpuszczając tylko trochę światła z góry. W wieczornym mroku wchodziło ono teraz tak mało, iż Kalikst potrzebował dłuższego czasu, nim oczy oswoił z ciemnością i coś mógł dojrzeć około siebie. Mały stoliczek, tapczan z siennikiem słomą wypchanym — piec rozbity — dzbanek w kącie, składały cały sprzęt więzienny.

Kalikst jeszcze się tak rozglądał, gdy ten sam stary żołnierz otworzył drzwi i wniósł świecę milcząc. Nie zdawał się na więźnia zwracać uwagi, pochodził po celi, kąty jej opatrzył — i dopiero podniósłszy głowę, małe oczki głęboko osadzone w czaszce skierował na Kaliksta. Nie mówił nic, zdawał się naprzód wedle pewnych danych ważność i stanowisko przyprostowanego oceniać. Obejrzał go od stóp do głów, coś zamruczał — pomacał siennik wyleżany, zajrzał do suchego dzbanka — i wyszedł.

Świecy kawałek zostało na stoliku. Kalikstowi posłużyła ona do rzucenia okiem po kątach.

Ściany zabrukane celi pełne były wyskrobywanych napisów, ale ręka stróżów te sgraffity\*

więzienne starannie pozacierala. Gdzieniedzie tylko litera jaka lub nie dostrzezone slowo ocalalo.

W gmachu panowala cisza, przerywana chodzeniem szyldwachow\*, brzekiem broni — i dalekim szumem miasta.

Kalikst siadl na tapczanie, sparl sie na ruku i zamyслиł. — Wczoraj o tej godzinie byl najszesliwszym z ludzi — dzis — uderzyl piorun i rozbil wszystko. W myslu wystawial sobie Julia, jej cierpienia i bolal moze wiecej nad nia niz nad soba.

Wiezienie! Ktoz wie, jak dlugo sie ono moglo pociagnac? Kto mogl naowczas zgadnac, co z niego wyniknac moglo? Proste soldaty, forteca, zsyka... wszystko bylo mozliwe, nawet bez sadu — a sady owczesne tak wyrokowaly, jak im kazano.

Jeszcze marzyl i przed rozogniona wyobraznia stawaly mu wszystkie wizerunki losow, o ktorych sie nasluchal tyle, gdy milczacy stroz powrotil, niosac cos na ksztalt pościeli, zrzucil ja na tapczan i niewyraźnie zapowiedzial, ze jedzenia juz dzis dostarczyc nie moze. Bynajmniej sie tez nie chcialo jesć Kalikstowi, prosil o wode, tej mu dostarczono — swiece zabrano i musial sie rzucic na barlog przygotowany.

Rzadko kto pierwszej nocy w takim wiezieniu zasnac moze — dopiero nad ranem, gdy goraczka sie przesili, gdy cialo zlamane ulegnie potrzebie spoczynku, sen kamienny przychodzi. Porzadek wiezienny tez jest taki, ze zdaje sie umyslne nie dawac zasnac ni spoczac.

Po kilkakroć odbywa sie przeglad noca, rewizje placmajorow, plackomendantow, zdawanie i obliczanie wiezniow przy zmianie strazy. Wlasnie w chwili, gdy sen skleja powieki, daje sie slyszec szczek, brzek, chod, odryglowywanie drzwi — ukazuje sie swiatlo, wchodza postacie, ktore noc i rozmarzenie czyni strasliwymi, i po spojrzeniu na nieszczesliwego, ktory sie przerazony zrywa ze snu, znikaja. Czesto po trzy i cztery razy powtarza sie to nocy jednej.

Niekiedy litościwsi i mniej okrutni goście wchodzą, starając się swe odwiedziny uczynić jak najmniej dokuczliwymi — częściej uragowisko, zlosć, sluzalstwo niecne stara sie przykrość spotegowac i meczarnia powiekszyc.

Naowczas nie pozostaje wiezniowi nic nad cierpliwosc chlodna i panowanie nad soba, aby nie okazac, ze boli, temu, co chce boleść sprawic.

Kalikst budzony kilkakroć w nocy usnal nad ranem. Noc pierwsza trwala dlugo, wspomnienia dnia wczorajszego zajety ja cala. Gdy sie zbudzil i uslyszal ruch w kurytarzach, wszedl nierychlo poslugacz i przyniosl mu sniadanie, rodzaj napoju, ktory sie mial kawa nazywac, porozlewanego, rozbehtanego, i kawalek bulki przemoklej. Glod uczynil to znosnym. Drzwi sie zamknely.

Około południa przyniesiono gorsze jeszcze i obrzydliwsze jedzenie, z ktorego malo mogl korzystac. Stroz wchodzil i wychodzil, nie mowiac nic. Nikt tez sie wiecej nie pokazal.

Kalikstowi zdawalo sie pierwszego dnia, iz natychmiast wziety bedzie na spytki, lecz czesto bardzo umyslne opozniano badanie, aby wieznia wprawic w stan rozdraznienia i niepokoju, ktory go



słabszym czyni.

Nazajutrz dzień cały spłynął podobnie — nie pytano go jeszcze.

Kalikst własnymi myślami, domysłami, przewidywaniami się palił i dręczył. Wzmagaly się one co chwila, duch zrazu mocen, zaczynał tracić swą siłę i wątpić o sobie, wpływ zamknięcia, powietrza, jadła, milczenia, strachu — oddziaływał na ciało i duszę.

Trzeciego dnia około południa otwarły się drzwi znowu, dwóch żołnierzy w nich stało, kazano mu iść.

Kurytarzami, których drzwi pozamykane strzegły milczące szyldwachy, przejściami, izbami, doprowadzono go do rodzaju gabinetu. Otwarto drzwi, kazano mu stanąć u progu. W pewnym oddaleniu przy biurze zarzuconym papierami siedział wojskowy w mundurze, okularach, z piórem w rękę. Z boku za stołem, zgarbiony z ohydą twarzą koloru piernika, wykrzywiony, cynicznie patrzący rozpierał się jakiś pisarzyna, oczywiście przygotowany do prowadzenia protokołu.

Jenerał przy biurze zajęty, tyłem do okna, cały w cieniu, zaledwie był widzialnym, szerokie tylko ramiona, krótko ostrzyżoną głowę i jakieś rysy starte a niewyraźne dostrzegł obwiniony.

Dobrą chwilę trwało milczenie.

Nareszcie jenerał, rozpatrzywszy papiery, spojrział ostro na więźnia i począł głosem suchym zadawać mu pytania, naprzód tyczące się przeszłości, urodzenia, wychowania, zajęcia. Wszystko to, zdaje się, już mu było dokładnie wiadomym.

Z wolna odbywało się badanie, tak aby znużyło jak najmocniej.

Gdy się te preliminaria\* skończyły, jenerał popatrzał długo i odezwał się głosem groźniejszym.

— Waćpan należysz do spisku, wszystko nam jest wiadomym, towarzysze jego i współwinowajcy zostali ujęci, zeznania ich wymieniają waćpana jako jednego z najczynniejszych. Powtarzam, że wiemy wszystko — idzie o przyznanie się szczerze do winy, które karę zmniejszyć i złagodzić może.

Kalikst stał długo niemy.

— O żadnym spisku nie wiem — rzekł.

— Ha! ha! facecje! — rozśmiał się złośliwie jenerał — tak pan śpiewasz... Proszę się dobrze namyśleć! Pan! pan o niczym nie wiesz? Pan...

Zaczynał się oburzać i gniewać.

Tymczasem protokółista, miotając się, jakby nim choroba jaka rzucała, smarował co nadzwyczaj szybko po papierze.

Chwilę trwało milczenie. Jenerał przewracał papiery, patrzył na więźnia, prychał, parę razy tabaki

zażył.

— Jaki był cel spisku? — zawołał.

— O żadnym spisku nie wiem i do niczego nie należałem — odparł Kalikst.

— *Ah! C'est comme cela!*\* — krzyknął zrywając się generał — *bon!* odprowadź tego jegomości do celi, niech się namyśli. Nam nie pilno!

Kalikst się już odwracał, sądząc, że go wyprowadzą, gdy generał od biura poskoczył i z impetem wielkim, w rękę niosąc kartkę ową nieszczęśliwą, przypadł do Kaliksta.

— A to — kto pisał? he? — zawołał śmiejąc się i wlepiając weń oczy iskrzące.

Nie zmięszany wcale, Rucki zażądał przypatrzyć się kartce i dosyć dobrze udał, że mu ją nawet trudno odczytać — ruszył ramionami i rzekł:

— Nie wiem, kto to mógł pisać!

Na te słowa generał skoczył, jakby się chciał porwać do więźnia z pięściami, ale postawa śmiała i nieustraszona, ruch, który mimowolnie zrobił Rucki, wstrzymały ten zapęd. Zaczął się śmiać szydersko, poskoczył do biura, wziął z niego drugi kawałek papieru, z mieszkania Ruckiego zabranego, i oba zestawiając z sobą, podetknął je prawie pod samą twarz obwinionemu. — Ten jednak przytomności nie stracił.

— To jest moje pisanie — odezwał się — nie przeczę, ale to — nie. Może być do mojego podobnym, ale moim nie jest.

— Proszę! do tego raczysz się pan przyznawać — a do tego, które kazałeś zanieść przez człowieka, co panu do oczów stanie, tego się zapierasz. Cóż będzie, gdy ten człowiek poświadczy?

— Kartka nie jest moją i ja o niej nie wiem nic — powtórzył Kalikst.

Śmiechem dziwnym, złym i gniewnym generał zaczął prychać, patrzył na obwinionego i widocznie chciał go onieśmielić. Protokółista pisał coraz wścieklej, a miał taki jakiś sposób pisania, że skakał prawie po stole i po papierze. Głowa jego z kolei to się pochylała w lewo, to zginała na prawo, to kładła na ramieniu, to przylegała do papieru. Coś komedianckiego było w tym biednym skrybie\*, który zdawał się na generała niewiele zwracać uwagi i nie krępował się wcale jego przytomnością.

Kalikst wytrwał milcząc przypuszczoną napaść. — Generał, przekonawszy się, że z niego nie dobędzie nic tym sposobem, powrócił do biurka, przestał nań patrzeć, coś napisał i zadzwonił. Wszedł żołnierz, skinął, aby więźnia odprowadzono.

Kalikst powrócił do izdebki. Ta pierwsza próba oczywiście była tylko niejako zbadaniem usposobień i charakteru — początkiem.

Kalikst mógł się po niej spodziewać ostrzejszego z sobą postępowania. Wejrzenie, które nań rzucił

jenerał, gdy wychodził, uśmiechy i miny konwulsyjnego protokółisty wróżyły na przyszłość coś strasznego. Uzbroił się w męstwo młodzieniec.

Był w owych czasach, kto go pamięta — ten duch heroiczny, który zgasł w drugiej wieku naszego połowie — pragnienie bohaterstwa, chluba z charakteru wielkiego, podnosząca człowieka.

Taki skromny bodaj męczennik przekonań, umiejący wytrwać stale, czuł się w duchu mężem godnym tych wzorów, na jakich był wykarmiony dziejami przeszłości, składającymi się przeważnie z rysów jasnych i postaci wzniosłych. Naówczas jeszcze w historii panowali Brutusy\*, Scewole\*, Spartakusy\*, Katony\*. Dobrze to było czy źle, że ich za wzory stawiono, razem z tym młodzieńcem lacedemońskim\*, co sobie dał kąsać pierś, a nie wydał się z boleścią? — nie wiem, lecz faktem jest, że myśmy w zapatrywaniu się na czyny ludzkie zmienili stanowisko. Dzieje lubują się w słabościach ludzkich i obrazach upadku, co także jest wielce nauczającym — a ogół woli dobry byt — nad wszystko.

Że jeszcze w r. 1830 pojęcia charakteru, heroizmu i obowiązku były całc inne, nikt nie zaprzeczy, kto czasy te pamięta. Kaliksta ożywiał ten duch właśnie — niemal był dumnym, że cierpiał okrutnie, a myślał tylko, aby cierpienie znosić z godnością i nie okazać się niegodnym próby.

To uczucie podniecało go.

Najprzykrzejszym dlań było, że będzie musiał w oczy zadać kłam człowiekowi i nie przyznać — prawdy.

Jakkolwiek nikczemnym był denuncjant — zawsze prawda dlań była świętą. Ale, zdradzając siebie, byłby Kalikst drugich z sobą pociągnął.

Następnego dnia, przebywszy noc w obawie i niepewności tego, co nań czekało, aż do wieczora chodził po izdebce, przygotowując się do obrony, do wytrwania. Liczył godziny niespokojnie, lecz zmierzchać zaczęło i noc zapadła — nikt nie przyszedł. O zwykłej godzinie stróż zabrał światło. Kalikst położył się do snu — dlatego że po ciemku chodzić dłużej nie mógł.

Godzina była spóźniona bardzo, gdy zabręczało w kurytarzu, drzwi się otworzyły i dwaj żołnierze kazali mu wstawać i iść za sobą.

Te nocne badania powtarzały się często i były także środkiem strwożenia więźniów. — Wkrótce znalazł się obwiniony w tym samym gabinecie, który mu już był znanym, przed tym samym panem jenerałem i tymże rzucającym się tak wściekle z miną urągającą protokółistą. Oprócz nich znajdował się jeszcze jeden wyższy wojskowy urzędnik, który się zachował zrazu neutralnie, jak świadek tylko.

Gdy Kalikst, nieco ekscytowany\* i z gorączką, którą na rozpieczonych policzkach jego znać i widać było, stanął u drzwi, jenerał spojrział nań parę razy, zapewne, aby wprawnym okiem rozpoznać stan jego ducha. Inkwizytorom tego rodzaju doświadczenie daje możność dzielenia ludzi na pewne kategorie; wiedzą oni, jak się mają obchodzić z tymi, co bledną i co się czerwienią, z tymi, co całą energią szafują w pierwszym spotkaniu i wyczerpani, słabną wkrótce, jak przystępować do milczących, jak podchodzić gadatliwych, kiedy użyć łagodności, a gdzie grozy.

Spojrzenie na delikwenta nie było bez celuj patrzy nań: pierwszy jenerał, co go już raz próbował, drugi, co mu przybył w pomoc, a na ostatek ów protokółistą, z którego miny widać było, że się miał za biegłego od nich obu. Gryzł on pióro, rzucał głową, posuwał kałamarz, pięścią walił po papierze i drwiąco w oczy zaglądał Kalikstowi.

Jakiś czas panowało milczenie.

Dwaj starsi panowie wymieniali z sobą szept jakiś urywany i nie dosłyszany, pierwszy zwrócił się ku obwinionemu.

— Namyśliłeś się waćpan? — zapytał.

— Nie miałem potrzeby myśleć, panie jenerale — rzekł Kalikst — to, co mówiłem raz, muszę powtórzyć dzisiaj.

— Chcesz więc waćpan ściągnąć na siebie najgroźniejsze następstwa?

Wyrazy te były wymówione nadzwyczaj surowo i krzykliwie. Wtem drugi milczący wojskowy odezwał się słodko, łagodnie i spokojnie, tonem ojcowskim niemal i jakby oliwą posmarowanym:

— Zastanów się pan dobrze. Nikt tu waćpanu źle nie życzy, ale są okoliczności, w których władza zmuszoną jest do surowości. Masz waćpan ojca, rodzinę — jesteś młody, nie gub się, mów prawdę.

Wyrazy te płynęły jak z kazalnicy, pełne były namaszczenia.

Kalikst poczuł się wzruszony nieco nimi, ale wnet z tego zmiękczenia ochłonął.

Milczano.

Protokółista nogami pod stołem, nie czyniąc hałasu, formalnie jakieś ćwiczenia gimnastyczne odbywał, podnosił je, krzyżował, rozszerzał, tańcował. Twarz jego jak maszczka\* jakaś wykrzywiała się najdziwaczniej. Skrobał się za uchem, tarł krótko postrzyżoną czuprynę, pokazywał zęby, zdawał się kusić do śmiechu. Wyglądał wśród tego trybunału jak ów szatan tradycyjny, co w kościele wiernych pragnie przywieść na pokuszenie, aby zaraz grzech zapisać na ich rejestrze.

— Mów pan, my tu nie mamy czasu ani czekać, ani ceremonii robić. Do kogo pan pisałeś tę karteczkę?

— Nie pisałem jej — rzekł Kalikst spokojnie. Jenerał wczorajszy zwrócił się do dzisiejszego.

— No — cóż pan chcesz dobrocią poradzić z takimi ichmościami, którym się zdaje, że ze wszystkiego wyklamać się mogą.

Drugi jenerał rzekł słodko:

— Życzę panu mówić prawdę, jest to w jego własnym interesie. Mogłeś się pan jako młody i niedoświadczony dać wciągnąć — możesz być niewinnym, obalamuconym. Wyznanie szczere

naprawi wszystko.

— Nie mam co wyznawać — odezwał się Kalikst. — Zwierzchność moja w Izbie Skarbowej poświadczyć może, iż pilno spełniałem obowiązki — na żadne spiski czasu ani ochoty do nich nie miałem.

Jenerałowie poszeptali coś z sobą. Wyglądało to, jakby łagodny hamował surowego, jakby go prosił za delikwentem — jakby się sprzeczali. Przystępowali i odstępowali od siebie, szeptali, a łagodny odezwał się do Kaliksta:

— Panie Rucki, jeszcze raz pana skłaniam do szczerych wyznań.

Kalikst zmilczał.

Po chwili surowy zadzwonił mocno i niecierpliwie, Kalikstowi serce zabiło, zbliżała się chwila ciężka do przebycia.

Weszło jakieś stworzenie w opiętym ciasno surducie, noszące na sobie piętno zatęchnienia w kancelarii, blade, wystygłe, obojętne.

Jenerał coś mu poszeptał.

Groźne milczenie panowało w gabinecie, tylko protokółista zabawiał się po swojemu. Wielka widać wprawa w to szamotanie się ciche sprawiała, że biedaczysko umiał dokazywać, zakryty będąc wysokim biurem, tak iż hałasu najmniejszego nie czynił. W swoim rodzaju było to w istocie coś osobliwego.

W przedpokoju dał się słyszeć chód, otwarto drzwi i Kalikst ujrzał odartego chłopaka, któremu był powierzył kartkę. Nie on jeden używał go do posyłek\*. Chłopiec był pijak, rozłajdaczony, ale okazywał zawsze pewien punkt honoru. Gotów był ukraść, a nie zawiódłby, gdy dał słowo. Kradzież maleńka wydawała mu się, ot, tak sobie farsą — ale gatunek honoru jakiegoś specyficznego, łobuzowskiego trzymał się tam na jakimś strzępku.

Widząc go wchodzącego z miną wystraszoną, zawstydzoną, znękaną, nim się zaczęło badanie, Kalikst go zmierzył oczyma groźnymi i pełnymi gniewu.

Chłopak, zwano go Szymek Łysy, bo choć młody, miał już włosy wypełzłe — chłopak, nie mogąc wytrzymać tego wejrzenia, oczy spuścił w ziemię. W obu rękach trzymał czapczynę podartą i miał ją z desperacji, jakby chciał w kawałki rozerwać.

Jenerał patrzył na Kaliksta, który, cofnąwszy się, stał nieruchomy.

Protokółista już pisał. Kto był Szymek Łysy, gdzie i jak się urodził i ile razy siedział w prochowni za różne sprawki.

— Powiedzże w oczy temu panu, że tę oto kartkę ci oddał... słyszysz?

Szymek głowę powoli zaczął dźwigać, gębę otworzył, poskrobał się i rzekł: — Albo ja tam wiem...

Jenerał rzucił się z gniewem.

— Łajdaku jakiś! w kajdany cię na całe życie zakuć każę i pędzać przez różgi... jak śmiesz...

Szymek słuchał, ale to był groch na ścianę, łajano go w życiu tyle razy, że groźby nań nie bardzo działały.

— Ten pan ci oddał kartkę?

— Proszę jaśnie pana — począł jakby skruszony Szymek — świadkiem policjant, co mi kartkę wyrwał, że byłem po wódce — oczy mi zaszył blachmalem\*. Co ja mogę wiedzieć, czy ten, czy inny podobny. Proszę jaśnie jenerała, jak taki Szymek, co ma jedną kurtkę oberwaną, po której go poznać można o milę — jak taki Szymek co robi — to już pewno niemylnie on, a surduty, proszę jaśnie pana, to ich sto takich na świecie. Czy ja wiem? Rucki — Drucki.

Pięścią stuknąwszy w biuro, jenerał się porwał — skoczył i ogromny policzek dał Szymkowi.

— Będiesz ty mi tu mądrował, łotrze jakiś!

Szymek pochwycił się za gębę, splunął krwią, nie okazując najmniejszego wzruszenia, zerknął na pana Kaliksta — i ze spuszczoną głową stał. Protokółista gębę sobie zatulił i śmiał się, a nogami pod stołem zygzaki wypisywał coraz żywsze.

— Prowadzić go precz! jutro coś mi będzie śpiewał inaczej! — zaryczał jenerał — won!!

Porwano Szymka Łysego, który jeszcze odchodząc, spojrział na Kaliksta z tym wyrazem, jakby go chciał przebłagać i uspokoić.

Po wyjściu świadka dwaj wojskowi się naradzali.

— Nie ma najmniejszej wątpliwości, że to pan pisałeś — rzekł łagodny, podnosząc do góry kartkę i inny papier znaleziony u Kaliksta. — Co do pańskich usposobień też o tych jego książki i rękopisma dostatecznie objaśniają. Wszystkie piosnki, wiersze zakazane, wszystkie patriotyczne głupstwa i śmiecia zbierałeś pan jak najstaranniej. Moralną pewnoś mamy zupełną, żeś waćpan zagorzały i obałamucony, lecz chcemy go ratować... Jeszcze raz wzywam pana...

— Ale co to? — przerwał drugi — z tymi ichmościami dobrocią się nic nie robi. Z całą surowością należy postąpić. — Będiesz waćpan mówił?

— Nie mam nic do powiedzenia — odezwał się Kalikst.

— Zmiłuj się pan — wtrącił łagodny ręce załamując, jakby go wielka litość przejęła nad losem nieszczęśliwego młodzieńca — zmiłuj się pan nad sobą...

— Ale co to! ale co to! darmo... kto się sam gubi — niech ginie!

Wszystko to wymierzonym było na przerażenie obwinionego, ale ten pozostał niewzruszonym.

Protokółista smarował już coś, głowę położywszy na stole. Zadzwoniono, żołnierze weszli i wyprowadzili delikwenta. Jenerał coś im szepnął na ucho.

\* \* \*

W końcu września kto by zajrzał do wesołej niegdyś kamieniczki na Świętokrzyskiej ulicy — domyśliłby się łatwo, że przez nią przeszła jakaś klęska. Na pierwszym piętrze zamilkły dźwięki wesołe i rozgłośnie fortepianu, okno jedno ciągle było zapuszczone firankami — górka stała pustką, choć z niej przybyły ojciec Kaliksta właśnie tylko co był zabrał rzeczy syna — i Dygas wywiesił tabliczkę, że mieszkanie było do wynajęcia. — Nikt się ani nie spytał — właściciel ogłosił w „Kurierku” na próżno.

Na dole Noińska chodziła smutna, bo z kucharką nie było o czym mówić, chyba o chorobie panny Julii. Panna Julia ciągle chorą była. — Zresztą co się działo na piętrze, z trudnością się teraz mogła dowiedzieć. Kucharka na gawędy mało miała czasu — Brenner, nie mogąc ciągle siedzieć w domu, po kilka razy na dzień zabiegał. — Doktor rano i wieczór przychodził. — Ruch był ciągły, ale milczenie jakieś i smutek dziwny, przejmujący.

Na chwilę przybycie majora Ruckiego, owego starego napoleońskiego żołnierza, któremu o losie syna znać dano, nieco ożywiło i zaciekawiło mieszkańców z dołu. Lecz wąsaty, z podgolonymi bokobrodami i chustką wysoko zawiązaną, krzepki, ze skórą na twarzy jakby wyprawną w garbarni, staruszek na nikogo nie patrzył, do nikogo nie zagadał, ze służącym, także wojskowo wyglądającym, zapakował manatki syna, zabrał je do bryczki i pojechał. Ciocia Małuska próbowała z kondolencją do niego wyjść i zaczepić — i ta nic nie wskórała — zbył ją mručeniami i jakim takim półukłonem. Zmiarkowano z jego powierzchowności, że człowiek był twardy, nie do ukąszenia mruk, a zmartwienie widać czyniło go jeszcze zatwardziałym i dzikszym. Politowania ani wywoływał, ani znosił. Hartowny starzec nie zdawał się wcale złamany.

Spróbował naprzód wstawiać się za synem i użyć wpływu znanego sobie jenerała Kr. \*, który mu odpowiedział, iż się w tego rodzaju sprawy nie mięsza; prosił potem o audiencję u w. księcia i poszedł do niego w wysłużonym mundurze, z krzyżem legii honorowej i innymi ozdobami, jakie sobie zdobył, co ks. Konstantego w najgorszy humor wprawilo. Kazano mu naprzód czekać długo, potem ksiązę wybiegł zły, z oczyma krwawymi; za pierwszym słowem uniósł się, począł grozić, na młodzież wyrzekać, zapowiedział, że nikomu nie daruje, oznajmił, że Kalikst był zatwardziały, że on go złamać musi i nauczyć rozumu itp., a nareszcie odprawił nie tylko nie dawszy żadnej nadziei, ale ojcu nagroziwszy, że jego to duch odbił się zapewne w dziecku.

Major Rucki wysłuchał cierpliwie krzykliwej i pryskającej mowy, a właśnie, gdy ksiązę, jak

zwykle, widząc go nie zmieszany i nie złężniony, miał zmięknąć i stać się grzecznym — Rucki, nie mówiąc ani słowa więcej, skłonił się po wojskowemu i ustąpił.

Z synem uwięzionym mimo wstawiania się osób wpływowych widzieć mu się nawet w przytomności generała — nie dozwolono. Stary, uczyniwszy ze swej strony, co mógł, pozostał w mieście.

Policji ksiązę polecił mieć go na oku i niemal co dzień dowiadywał się, czy nie wyjeżdża. Niepokoilo go to siedzenie. Rucki jednak, choć go przestrzegano, został w mieście.

Sprawa pana Kaliksta pogorszoną była tym, że egzaltując się coraz mocniej więzieniem, samotnością, cierpieniem — odpowiadał zuchwale prawie i drwiąco od czasu, jak Szymek Łysy, dostawszy nawet plagi, wydać go nie chciał. Zaciął się łobuz, wstyd mu było — i gotów był iść już do taczek.

Z drugiej strony, kartka i papiery obwiniały Kaliksta, a że właśnie o tym czasie spisku szukano i miano jego poczucie, że ujęto Szwejcera\*, a za innymi w ślad chodzono — Ruckiego nie myślano wcale wypuścić dopóty, dopóki by go więzienie długie i znękanie do zeznań nie skłoniło. Co dzień też prawie cele klasztoru się zapełniały, nowi aresztowani przybywali, ale to bynajmniej nie zmniejszało ruchu, nie osłabiało działania, nie onieśmiewało przysiężonych.

Policja była tak nadzwyczajnie czynną, jak nigdy, a tak bezsilną, jak zawsze; krzątała się, łapała niewinnych lub mniej znaczących, czuła woń spisku, a nie umiała nań trafić. Trafiwszy nawet na nic, widziała ją wnet zrywającą się w rękę. Duch, który miał słabnąć od grozy, rósł coraz silniej — ująć go było niepodobieństwem. Był jak te duchy dantejskie\*, co chcą się wzajem pochwycić, rzucają na siebie ręce i chwytają powietrze tylko.

Najsmutniejszym był stan biednej Julii i jej ojca.

Zaraz po wzięciu Kaliksta objawiła się silna gorączka nerwowa, którą tylko młodość, oględna kuracja dr. Borzęckiego i starania ojca zwyciężyć potrafiły. Brenner, klęcząc u łóżka córki, poprzysiągł jej na krzyż, że zamiast służyć policji — od której był płatny — znajdzie środki owszem skutecznego przestrzegania i doradzania patriotom. Pośrednikiem do tego miał być o. Porfiry.

Brenner, który teraz podwójnie latać musiał i cierpieć za to, że albo fałszywe lub nic nie znaczące przynosił wiadomości, sam rzadko zaglądając do domu — wprowadził do niego stryjecznego brata, zwierzywszy mu się całkiem ze swego położenia.

Wesoły bernardyn, który do towarzystwa poważnej panny Julii wcale nie przystał, podobał się jej jednak swą rubaszną prostotą i niekłamany patriotyzmem staroświeckim. Małuska go bardzo pokochała.

Choć z innego świata człowiek, pojęć innych wcale, miał oko trafne i w swoim języku umiał przecie to mówić, co pocieszało i uspokajało.

Przynosił im anegdotki wesołe o Belwederze, wojsku i figlach, jakie w. księciu płatano, a tak był



pełen najlepszych nadziei, że swą wiarą umiał natchnąć i drugih. Nie rozumował on, nie zapuszczał się w głębokie polityczne kombinacje, ale wychodził ze swego bernardyńskiego założenia:

— Pan Bóg sprawiedliwy i Polskę musi przywrócić — kto w niego wierzy, musi i w nią wierzyć... Albo to pierwszozna, choćby stuletnia i dwóchsetletnia niewola narodu? Albo to dlatego o miłosierdziu Bożym rozpaczać!!

I śmiał się. Twarz miał zawsze wesołą i zawsze spotniałą, ile razy przyszedł, jadł i pił, co mu dano, wszystko mu było dobre, przynosił z sobą pociechę, zostawiał po sobie uspokojenie.

Panna Julia z wolna przychodzić zaczęła do siebie, ale to nie był już ten kwiatek świeży, którego nie tknął ostry powiew wiatru — była to niewiasta na ciężką wystawiona próbę, dźwigająca się do życia. — Gorączkowo śledziła wszystkie ruchy zwiastujące jakąś zmianę, wszystkie symptomata objawiające się w młodzieży, wielce znaczącą trwogę Belwederu — i w nich pokładała zmiany nadzieję.

Coś jej mówiło, że straszne przesilenie było blisko. — To, co czasem ojciec szepnął, potwierdzało domysły.

Z mocnym postanowieniem dochowania wiary Kalikstowi i poświęcenia się dla niego, jak tylko wyzdrowiała, poczęła myśleć nad środkami, którymi by mu przedłużone więzienie mogła osłodzić. Zdawało się jej i nie myliła się wcale, że kilka słów nakreślonych jej ręką doda mu otuchy i wleje odwagę a wytrwanie. — Raz tę myśl powziąwszy, nagotowała maleńką karteczkę, na której starała się zmieścić, jak mogła, najwięcej, szukała tylko środków przesłania jej jakimkolwiek sposobem do karmelitów.

O. Porfiry zdał się jej, choć nie właściwym, ale jedynym posłem, którego użyć mogła. Jednego ranka, gdy poczciwy bernach\* przywłókł się tu ze swym śmiechem i wesołą twarzą — Julia pocałowała go w rękę i szepnęła, że ma do niego” prośbę.

Małuska oddaliła się na chwilę z pokoju, aby kazać coś do jedzenia przyrządzić, Julia zarumieniona zbliżyła się do stryja.

— Ojczy mój — rzekła — chcesz mnie uzdrowić, nieprawdaż?... Uczyń, o co będę prosiła. Mój narzeczony siedzi uwięziony u Karmelitów — ja muszę mu słów kilka przesłać — ty mi to ułatwisz!

Złożyła ręce.

— W imię Ojca i Syna! a to trzeba zakochanej dziewczyny, żeby bernardynowi kazała nosić listy romansowe do kozy. Panno Julio — a też to — monstrualnej rzeczy wymagasz ode mnie! A to — doskonale!

— Niech to sobie będzie, jakie chce, mój ojczy, a dla mnie to uczynisz....

Ojczy Porfiry śmiać się zaczął, aż mu się brzuch trząsał. — Oszalała dziewczyna!

— Ale to narzeczony...

— Chociażby... a potem, myślisz asindzka, kartkę do Karmelitów przeszwarcować to tak — jak kawałek chleba z masłem połknąć. Wiesz, czym to pachnie...

— Ale, mój ojczy, wy to potraficie...

— Jakim sposobem?...

— Znajdziecie środki, gdy zechcecie.

O. Porfiry śmiał się znowu.

Panna Julia karteczkę zwinięta, tak że nie była większą jak ziarno fasoli, cisnęła mu w rękę. Ojciec się bronił, mruczał, stękał, ale nareszcie wziął.

— I odpowiedź! odpowiedź! ojczy!

— Aha! na czym! czym, jak, myślisz, że mają papier i atrament... że im wolno...

Julia słuchać nie chciała.

— Znajdzie sposób, jam pewna...

Nadeszła Małuska, podano śniadanie. O. Porfiry siadł jeść, a mógł koncerta grać na półmiskach — jadł, nie smakując, z potrzeby i nałogu, co napadł, ogromnie — o każdej porze dnia, bez wyboru. Ale był to człowiek i żołądek poczciwy, prawdziwie bernardyński. Gdy przyszedł post, suszył i suszył tak bezprzykładnie, że niemal chlebem i wodą żył sześć tygodni, a od wielkiego czwartku do rezurekcji nic w usta nie brał.

Za to przy święconym w niedzielę cudów dokazywał. Sam się z siebie śmiał, pasa popuszczał i karmił, jak mówił, grzeszne ciało. — Przy śniadaniu pani Małuskiej był też w humorze najlepszym i nie dał poznać po sobie, żeby mu poselstwo panny Julii ciążyło.

Pobaraszkowawszy potem chwilę — wyszedł.

Nie było go dni kilka.

Nigdy panna Julia z taką go niecierpliwością nie oczekiwała.

Tą razą dłużej go nie było jak zwykle.

U Karmelitów pan Kalikst pozostawał jakby zapomnianym. Nie wzywano go już do badania. Raz czy dwa do celi jego zaszedł ów pan jenerał, co go po raz pierwszy egzaminował, zapytując, czy nie ma mu co do powiedzenia.

Kalikst oświadczył, iż nie wie, co by mógł wyznać, bo się nie poczuwa do niczego.

— Chcesz waćpan zgnić w kozie albo się przespacerować na Sybir, gdy się nam cierpliwości przebierze, co mu wolno.

Z tym wychodził.

Przeciągało się to niezmiernie długo. Osamotnienie było zupełne. Parę razy w kurytarzach Kalikst się spotkał z prowadzonymi więźniami, wymieniali wejrzenia, mówić nie było wolno. Były to osoby zupełnie mu nie znane, po większej części młodzież jak on. Szło mu najwięcej o los brata, a o los samego sprzysiężenia najgłówniej. Jenerał zapowiedział był, że wszystko zostało odkryte, że spółników pochwycono — okazywało się to jednak fałszem, bo — w takim razie nie z Szymkiem Łysym by go stawiano na oczy.

To go nieco uspokajało.

Próbował się coś od stróża dowiedzieć i ująć go sobie trochę pieniędzy, jakie miał przechowane.

Milczący żołnierz wprawdzie brał, co mu dano, ale mówić się wzdragał. Nie był on złym, nie chciał dokuczyć więźniowi, ale widocznie się lękał. Raz, gdy Kalikst siedział, w myślach pogrążony i smutny, o niezwykłej godzinie otworzył stróż drzwi, poszedł do dzbanka, zajrzał czegoś na stolik, pod stół, zakręcił się i wyszedł — spojrzawszy znacząco na Kaliksta. Po wyjściu jego, oglądając się i odgadując, co go mogło sprowadzić, Kalikst ujrzał przed sobą maluśki zwitek papieru.

W więzieniu tak się zna najmniejszą prószynkę w nim się znajdującą — iż paperek od razu zwrócił oczy Kaliksta. Chwycił go, można sobie wyobrazić, z jaką niecierpliwością.

Ręce mu drżały — przeczuł od razu, co to być mogło, wiedział, że to Julia pisała, że ona jedna mogła cudem znaleźć drogę do niego.

W tej chwili był tak szczęśliwym, iż zapomniał, gdzie się znajdował i co mu groziło.

Jak oszalały rozwinął papier, a że było dosyć ciemno, musiał się wdrapać na stolik, aby móc drobne pismo przeczytać. Łzy mu płynęły z radości. List Julii był pełen nadziei, dodający ducha, zapewniający go, że mu będzie wierną do śmierci. Z wyrazów jego domyślał się, że choć policja gorliwie latała za spiskującą młodzieżą — nie trafiła na żaden trop jeszcze. W końcu karteczki żądano odpowiedzi tąż samą drogą.

W gorączce drżąc, zeskoczył ze stolika Kalikst. Jak tu było napisać odpowiedź? czym? na czym? — jak?... Gdy go brano, zrewidowano mu wszystkie kieszenie, wzięto papiery do najmniejszego świstka.

Przyszło mu na myśl, że biały, krochmalony kołnierz od koszuli dałby się użyć może. Oddał go więc natychmiast. Krew najnaturalniej służyć musiała zamiast atramentu. Z siennika słoma piórem być mogła. — Natychmiast Kalikst wziął się do tego listu. Drewnienko z podłogi ostre dobyło kroplę krwi, a choć słomiane pióro źle i nieposłusznie pisało, zmusił je wreszcie do kreślenia liter, które się na kołnierzyku jako tako rysowały. List musiał być na wszelki wypadek tak ułożonym, aby, chociażby go przejęto, nic nie powiedział. W niewielu słowach tęsknota, miłość, wdzięczność wyraziły się, nie

wysilając na słowa — a przecież list był piękny, poetyczny i rzewny.

Gdy pismo zaschło — Kalikst zwinął je w trąbkę, związał , niteczką, dobył ostatnią pięciozłotówkę, jaką miał, i czekał na stróża, który wkrótce powinien był nadejść ze świecą.

Zwitek leżał na stole razem z nagrodą, na jaką się więzień mógł zdobyć.

Chwila oczekiwania wydała mu się niesłychanie długą — ale nareszcie klucz zakręcił się w zamku — stróż wszedł, nie patrząc na więźnia. Oko jego padło na biały zwitek i ręka chwyciła go z pięciozłotówką tak zręcznie, iż Kalikst się nie postrzegł, jak zniknął.

Nie przemówili do siebie ani słoweczka.

Kartkę Julii sto razy przeczytawszy, na pamięć się jej wyuczywszy, Kalikst dnia tego raz pierwszy usnął, snami najrozkoszniejszymi kołysany. Nie mogąc ukryć swojego skarbu inaczej, rozpruł surdut i zwinawszy papierek, wsunął go między dwa sukna. J

Julia czekała na odpowiedź z rosnącą niecierpliwością. Przez cały tydzień nie przyszedł o. Porfiry. — Zdawało się jej, że może nie pokaże się już więcej, gdy w niedzielę po obiedzie ujrzała go ocierającego pot z czoła w bramie i wolnym krokiem zbliżającego się po wschodach — wybiegła powitać.

Dobrym znakiem było, że bernardyn śmiać się zaczął.

— Niech będzie pochwalony — zawołał. — Jeżeli asińdzka myślisz, iż ja to powitanie wezmę na własny rachunek, to się mylisz. Ale — nie mam nic! nie mam nic!

Julia załamała ręce, twarz jej pobladła, a bernardyn, zlitowawszy się, co prędzej z rękawa dobył zwitek, który chwyciwszy, znikła.

Małuska czekała na gościa w progu.

— A godzi się to tak o nas zapominać! — wołała.

— Bóg widzi — nie śmiałem tu oczów pokazać. Już mię asińdzka nie egzaminuj, dlaczego. A co słyszeć?

Ciocia naturalnie skarżyła się na siostrzenicę, stękała. — Bernardyn pocieszał po swojemu. — Nieprędko pokazała się rozpromieniona panna Julia. Trochę domyślniejszą będąc, Małuska byłaby odgadła, że coś musiało ukochaną jej siostrzenicę niepomiernie uradować, ale w prostocie ducha wzięła wesołość tę za skutek przybycia stryjaszka, któremu wszyscy byli radzi.

Jakoś tego dnia nadszedł i Brenner. Ten jednak miał twarz tak wykrzywioną i chmurną, był tak zamyślony ponuro, że i drudzy, patrząc nań, posmutnieli. — Nie mówił jednak nic. Siadł, posłuchał rozmowy obojętnej, nie odezwał ani słowa, spojrzął na zegarek, córkę uściskał i wyszedł znowu, tłumacząc się, że ma pilne interesa.

Na dole już, nie wiadomo z jakiego źródła, Noińska pierwsza, która dotąd miała Brennera za lichwiarza, za spekulanta, coś się dowiedziała — jakoby z tajną policją miał stósunki. Zalterowało\* ją to niepospolicie. Rozumując i trutynując\*, doszła z tych do wniosku, że nie kto inny musiał Kaliksta wskazać, tylko ten zdrajca. Dla zakrycia swej sprawy naprzód go niby sam zaprosił do córki, a że sobie go za zięcia nie życzył — tym sposobem się pozbył.

Zbudowawszy taką historią, pani majstrowa najświęciej w nią uwierzyła. — Obmierzło jej to tak wszystkich mieszkańców pierwszego piętra, iż nawet na kucharkę, z którą żyła dawniej w poufałości i przyjaźni, patrzeć zaczęła wielce podejrzliwym okiem. Ostygły stósunki znacznie. Majstrowa nie zrywała ich, aby się nie narażać, ale nie miała już najmniejszej ufności w dawnej swej powiernicy.

Że język jej utrzymać nadzwyczaj było trudno — wiadomości o Brennerze naprzód udzieliła na ucho Aramowieżowi. Znała jego tchórzostwo i wiedziała, że jej nie zdradzi.

Stolarz zadrzał, nie powiedział zrazu nic, ale w końcu szepnął:

— Ja się tego zawsze domyślałem — ale niech pani majstrowa tego nie mówi nikomu, nawet mojej żonie, bo i to — papla, a chowaj Boże czego, wszystkich nas pobiorą.

Noińska zaklęła się, że za nic, nikomu w świecie tego sekretu nie wyda. Jednakże faktem jest, że tegoż wieczora poszła do Matusowej i szeptała jej coś długo na ucho, a przekupka, aż się wstrząsłszy i ręce załamawszy, powiedziała jej tylko: — Jak Bóg żywy — będzie wisiał!

Ponieważ Dygasa posądzano od dawna, że i on mógł być w pewnych stósunkach z osobami podejrzanymi, bo do niego chodziły czasem stojące kołnierze\* — jemu więc nie powiedziano nic.

Matusowa tegoż wieczora zapowiedziała Józkowi, że jeśli go raz jeszcze zobaczy z Agatką, to go w niwecz zmarnuje, bo już i nieszczęśliwą Agatkę, Bogu ducha winną, miano w podejrzeniu.

Tej surowości powodem także było przekonanie, że na górze wszyscy, jak mówiła Matusowa, „na jeden grosz targowali”.

Stało się jakoś, że nagle od tego pierwszego piętra, jak od zapowietrzonych, odsunęli się wszyscy. Tylko przebiegły Aramowicz, który przedtem nigdy czapki przed Brennerem nie zdejmował, teraz zachodził mu drogę i kłaniał się bardzo grzecznie.

Najnieznośniejszym ostracyzm\* ten stał się kucharce, która i tak wiele teraz miała frasunku na głowie. Bywało, z Noińską mogła się przynajmniej wygadać i uskarżyć — teraz szewcowa, ledwie ją pozdrowiwszy, cofała się natychmiast.

Było to w końcu nie do zniesienia, i kucharka postanowiła się rozmówić. Jednego poobiedzia, nie zastawszy szewcowej w bramie, gdzie Frycek jej tylko dokazywał, dopytawszy się, że jest w domu, dotarła aż do alkierza.

Noińska była samą — przyjęła ją zimno.

— Moja pani majstrowo — odezwała się pokrzywdzona — ja, tak mi Panie dopomóż i grzesznej duszy mojej — niech tu padnę na miejscu, jeśli w sobie przeciw pani czuję jaką winę, a oto widzę, że pani majstrowa na mnie gniewna.

— Chowaj Boże, a czegoż bym miała być...

— Ale co mi pani mówi, toć to nie po dawnemu... bywało — co to gadać — odezwała się kucharka — co to gadać — nie taka ja jestem głupia. Powiedz mi jejmość całą prawdę.

— Kiedy nie ma nic...

Sprzeczały się tak długo, nareszcie się kucharka, świadcząc Bogiem i Trójcą Przenajświętszą, rozplakała. Noińska znowu miała takie serce, że na łzy patrzeć nie mogła. Zaklęła ją na „Rany Pańskie” i powiedziała, co wiedziała.

Zmieszła to niepospolicie biedną kobietę — stała długo jak osłupiała.

— Co ja wiem! — rzekła w końcu — a może to być! Mruk... nikt nie wie, co on robi! Może to być... Ano, co ja, proszę pani majstrowej — mam być temu winna?

Uściskały się tedy. — Kucharka westchnąwszy zapowie działa, że chyba się od Godów\* odprawi, bo się nie godziło służyć w takim domu. — Przeciwno informacji Noińskiej to jedno miała stara sługa, że bernardyn bywał w domu i że księdza posadzić nie podobna było, aby tą samą chodził drogą.

W istocie argument był, bo w duchowieństwie, zwłaszcza . zakonnym i niższym, przykładu nie pamiętano sprzeniewierzenia się patriotyzmowi. Pomawiano o to prałatów, nigdy nie poszlakowano żadnego bernardyna. Lecz Noińska przypuszczała, że on mógł wcale nie wiedzieć o niczym.

Po tym zwierzeniu się kucharka pilniejsze zwróciła oko na r swojego pana, jego zajęcia, pokój, papiery, chody wszelkie, nocne wycieczki, na osoby, które, choć rzadko, zjawiały się do niego z jakimiś interesami — i znalazła w tym potwierdzające znaki nader wielkiej wagi. W głowie się jej wszakże pomieścić nie mogło, aby panna Julia, którą kochała, albo Małuska, dobra kobiecina — mogłyuczestniczyć w paskudnym rzemiośle — lub nie widzieć i nie wiedzieć, co się działo. — Struło to życie starej słudze i po rozmyśle trwała w mocnym postanowieniu zmienienia służby na Gody. Nie mogła jej tego odradzać majstrowa, choć dobrej s przyjaciółki żal jej było.

W domu posmutniało znacznie, wszyscy się niemal jedni drugich obawiać i podejrzliwie na siebie patrzeć zaczęli.

\* \* \*

Stary Rucki, zobaczywszy się z synem Ludwikiem, zabrawszy resztki pozostałości po Kalikście, na próżno kilka razy zastukawszy do drzwi starych znajomych, próżno też kołacząc do tych, przez których się spodziewał coś dowiedzieć albo poradzić, został w Warszawie. Wziął pokoik skromny w hotelu Gerlacha i — czekał.

Na co czekał i czego się spodziewał, trudno było odgadnąć. Zdaje się, że miał jakąś nadzieję wcisnąć się raz przecie poufalej, bliżej do którego z towarzyszków broni, a przez niego po nici dotrzeć do kłębka, jeszcze raz do groźnego i strasznego Konstantego. Stary żołnierz gotów był po wtóre stanąć przed nielitościwym i wstrętnym prześladowcą i wstawiać się za synem.

Jenerał Rautenstrauch (ryża peruczka) razem ze Stasiem Potockim i Roźnieckim\* należeli do sądu wyznaczonego na konspiratorów. Ten przyjął majora wprawdzie grzecznie, ale jak obcego i nieznanego, i przez cały czas narzekał tylko na zepsutą, wolnomyślną młodzież, nie dającą ani w. księciu, ani im spoczynku swoimi nieustannymi spiskami. Ile razy go o Kaliksta chciał zagadnąć ojciec, opędział się mówiąc ogólnikami, wyraźnie unikając dotykania przedmiotu.

Major stał milczący, na pozór zimny, ale że gdy się w nim zagotowało z gniewu, miewał wybuchy niebezpieczne i do tego się znał — nie dokończywszy rozmowy, nagle ją urwał i wybiegł.

W kilka dni, gdy przemyślając nad tym, co miał czynić — jak sobie radzić — siedział z fajeczką w gębie w oknie swojego pokoiku — w progu zjawiała się niepoczesna figurka. Był to człowieczek niewielkiego wzrostu, wygolony, z przestraszonym wzrokiem, ruchawy, oglądający się ciągle po kątach, niemłody już, wcale niemilego pozoru i powierzchowności. Wszedłszy zdawał się wahać, jakby nie był pewnym, czy dobrze trafił, gdy major wstał i podszedł ku niemu.

— Wszak pan major Rucki! — nieśmiało spytał przybyły.

— Tak jest, z Morgowca.

— Ojciec pana Kaliksta Ruckiego, który służył w Komisji.

Na wspomnienie uwięzionego syna westchnął stary.

— Tak jest — ale z kimże mam honor?

— Moje nazwisko nic by pana nie nauczyło — rzekł patrząc na kapelusz swój spuszczonej oczyma gość, który zdawał się mocno zakłopotany. — Dostyc panu wiedzieć będzie, że miałem przyjemność znać syna pańskiego — mieszkaliśmy w jednym... domu...

Ostatnie słowa wymówione były tak cicho, iż major, który słuch miał przytępiony, zaledwie je pochwycił. Był to pierwszy człowiek, który się losem syna jego zdawał interesować.

Z wolna mówiący podniósł oczy.

— Domyślam się — ciągnął dalej zawsze głosem znizonym — że pan — jako ojciec — chciałbyś zapewne wiedzieć o losie dziecka...

— A! tak — panie! tak — przerwał major — a dotąd, choć mam tu znajomości, choć służyłem z generałem Kr., choć znałem dawniej barona Chłopickiego, nigdzie się dostać, nic się dowiedzieć nie mogę!

— Ja też panu dobrodziejowi niewiele przynoszę, ale czasem i mała wskazówka przydać się może. Syn pański, jak się zdaje, należeć musiał do jakiegoś towarzystwa tajnego młodzieży, na które teraz pilne oko zwrócono. Złapano jakąś kartkę jego ręką pisaną. Pan Kalikst nic dotąd nie wyznał — trzymają go, aby na nim wymóc zeznanie. Wiem o tym jednak, że jeśli się nic nie znajdzie, co by położenie pogorszyło, skończy się to na dłuższym więzieniu tylko. Nie trwoż się pan o los syna. Generałowie: Potocki, Rautenstrauch, Roźniecki, zasiadają w sądzie, można by trafić do jednego z nich.

— U Rautenstraucha byłem — i nic nie wskórałem! — westchnął major.

Przybyły, jakby już wyczerpał, co miał do powiedzenia, zakręcił się, chciał pożegnać i wychodzić, gdy major mu zastąpił drogę.

— Ale cóż mi radzisz, mój dobrodziej, co mi radzisz?

Nieznajomy zakłopotany był widocznie — ruszył z lekka ramionami.

— Bądź co bądź — wybąknął — nie odjeżdżaj pan — jeżeli się co dowiem, znajdę środek... przyjdę i przyniosę panu wiadomość.

Major chciał tego dobrego człowieka zatrzymać, ugościć, wreszcie się więcej o nim dowiedzieć, ale niespokojny jegomość, którym był nie kto inny jak Brenner, jakby niezmiernie się spiesząc — oglądając ciągle, niespokojny, wysliznął się co żywo z pokoju.

Długo chodził stary Rucki, medytował nad tym i myślał, jakby mógł tego nieznanego przyjaciela swojego syna złapać znowu. Tak mu czas zszedł do dnia następnego, gdy z południa, właśnie w chwili, gdy się wybierał wyjść na obiad, w przedpokoju usłyszał dziwne głosy. Przywieziony ze wsi sługa Bartek zdawał się śmiać i płakać razem, witając się z kimś nadzwyczaj czule. Major otworzył drzwi i ujrzał nie znanego sobie żołnierza w mundurze czwartego pułku, który zwano czwartakami.

Bartkowi śmiały się lice. Na widok majora żołnierz, wyprostowawszy się, z wesołą miną stanął jak przed starszym i z pociesznym wyrazem począł mu się meldować.

— Z pułku czwartego liniowego piechoty melduje się jaśnie wielmożnemu majorowi żołnierz Maciek Wicher na posyłki.

— Co u licha? — krzyknął major uradowany — to ty — Maciek, co cię ode mnie wzięli w rekruty?

— A tak, proszę pana majora — odparł żołnierz, po staroświecku idąc do pocałowania ręki. — Chciałem też jaśnie pana pozdrowić, przypadkiem dowiedziawszy się, że jaśnie pan tu, bom pana Bartka w ulicy zobaczył.



A cicho dodał:

— Mam co do powiedzenia...

Chrząknął głośno. Majorowi na widok żołnierza przypomniały się stare czasy, lice się rozweseliło. Z niezgrabnego Maćka zrobili w Warszawie nie do poznania wymustrowanego czwartaka.

— No, jakże ci tam jest w tym waszym wojsku? — zapytał major, zewsząd go oglądając.

— A cóż? proszę jaśnie pana, niczego — odparł dosyć wesoło Maciek. — Już to prawda, służba ciężka — ale... z nią połatawszy\*... Jak mnie tu wójt przywiózł — mówił żołnierz dalej — tak zaraz w komisji pan jednerał zobaczywszy, że miarę przechodzę, zawołał: — „Do czwartego liniowego będzie frontowo-skrzydłowy, tylko go wyuczyć na posyłki”. Jak mnie potem zaraz wzieni do koszar Sapieżyńskich a zaczeni strzyc a golić, a myć, a pucować — zdało mi się, że ledwie z duszą wyjdę. Potem mnie staremu Diadi dali dopiero, co by chwigurę zrobił — to były termedie, a! Jezu najmilejszy! Jak mnie zaczeni powijać, cisnąć, piersi mi szmatami wypychać, halsztuch\* zapinać, że aż ślepia na wierzch lały, a potem uczyć chodzić, co by naprzód człek stąpał na piętę, potem na jednej nodze na palcach stać nachylonemu, myślałem, że nigdy nie potrafię — ano — przy pomocy Bożej... Już proszę jaśnie pana, nie było gorszego nic potem, jak to zwijanie płaszcza a ściskanie go rzemykami o półtora cala od końców. Bo, uchowaj Boże, zamiast półtora cala człek ćwierć cala chybił — na tyle świata widział.

Major się uśmiechnął.

— A druga bieda z kutasem na kaskiecie, żeby i ten pół cala miary nie chybnąwszy dyndał.

— A byłżeś już kiedy u w. księcia? — spytał Rucki.

— Otóż com się, proszę jaśnie pana, chciał pochwalić, bo to mi się udało jak nie można lepiej. We dwa tygodnie już komenderowali mnie na posyłki. A co mnie przody naszturgali, naciągali, napowtarzali, abym się nie zmylił! Kiedym stanął wyprostowawszy się jak struna, łydki mi, proszę jaśnie pana, drzały ze strachu, głosu niemal zabrakło. No — alem się przez omyłki zameldował. Wielki ksiązę, który mnie pierwszy raz w oczy widział — nuż oglądać, a potem jak wrzaśnie na naszego pułkownika, na Bogusławskiego\*: — „Co to za żołnierz?” Ten odpowiada: — „Rekrut i dwa tygodnie temu wzięty”. A! Jezu miłosierny, jak mnie wzion ksiązę z wielkiej radości drapać, szczypać, a potem pułkownika całować, aż oślinił... jak zaczął obracać, a kazał masierować a kręcić się... myślałem, że tchu nie stanie. I tak się udało, że jeszcze, proszę jaśnie pana, dostałem kawy filiżankę i pięć dukatów. Ludzie powiadają, że to księciu się podobało, z przeproszeniem pana majora, że uda i piersi mam doskonałe.

Prychnął stary Rucki ze śmiechu i westchnął. — Maciek, któremu się gęba rozwiązała, a rad był się popisać, ile korzystał ze służby i na jakiego wyszedł rycerza, zaraz począł mówić dalej.

— E! to jeszcze z piechotą, proszę jaśnie pana, to tam nic... ano żeby pan zobaczył, co z kirysjerami za komedie się stroją. Przed każdą paradą naprzód buty kirysjerskie na drągach powieszane, szóstkami paradują z Szulca do kaplicy saskiej, prześcieradłami pookrywane — jakby

w procesji. Każdą szóstkę niesie dwu niefrontowych. Za nimi, z przeproszeniem jaśnie pana, skórzane spodnie, mocno wykredowane, jeszcze wilgotne, a za nimi kilka worów otrębi pszennych, też na drągach, ale bez prześcieradeł. Tu dalej dopiero szwadron kirysjerów, niemal tak jak go Pan Bóg stworzył, bo idą się ubierać. Od czwartej godziny rano w kaplicy dawnej poczyna się odziewanie, a najgorzej z tymi skózanymi, w które trzeba wbijać żołnierza i wypychać otrębami, aby na nim było jak ulano. Póki się to skończy, niejedno mało nie omdleje. Dopieroż kaski na głowę — i żeby się kutas dyndał jak należy. W drugim końcu saskiego dziedzińca taka sama historia, proszę jaśnie pana, z końmi, gdzie im kopyta szuwaksują\*. Dopiero konie prowadzą przed kaplicę, ale żołnierz by nie siadł sam, więc dwu niefrontowych sadza go na konia — i trzymaj się — jak który spadnie, nie ma się schylać po co!\*

Śmiał się major — przypominając trochę innych napoleońskich żołnierzy.

— No, więc ci dobrze? rad jesteś?

Maciek westchnął.

— Bodaj tak — mruknął — ano... co robić? człek sobie rady daje, jako może. A munsztry, proszę jaśnie pana, tom się nauczył tak, że na skrzydle przy zawrocie i fechtunku karabinem na jotę nie chybię. Tornistr u mnie zawsze wygląda pełny — tu się rozśmiał — bo go patykami się rozpina!! Ale bywa różnie.

Westchnął Maciek.

— Raz, tom się okrutnego nabrał strachu.

— Jakże to tam było? — spytał major.

— Z przyczyny tego rubla, co go nam po rewii dali — rzekł Maciek. — Więc z drugimi poszło się trochę zakropić... no — i — co prawda — jakoś może nadto się wypiło... Kiedy wracam — ehe! słyszę turkot. A tu człek w piekle pozna, kiedy w. książę jedzie, bo to inaczej turkocze niż wszystkie bryczki i powozy. Patrzą, gdzie się skryć — ani myszej dziury, a tu książę tuż, tuż... i słyszę: —

„Stój!” — „Co ty tu robisz?” — krzyczy książę. — Dobyłem pałasza na ramię i stoję. — „Co robisz? słyszysz?” — „Prowadzę pijanego żołnierza na odwach” — odpowiedziałem — no — i płazem mi uszło...

Cała ta paplanina, przeciągnięta dosyć długo, zaczynała po trosze nudzić majora — który dobywszy dukata, chciał się nim pozbyć dawniej swojego Maćka — gdy ten szepnął z cicha:

— Nasz panicz siedzi u Karmelitów... Major ruszył ramionami.

— Proszę jaśnie pana, aby tylko o tym Bartek nie wiedział, choć to człowiek uczciwy, ale — chowaj Boże — jęczyczny...

Tu się pochylił do ucha staremu.

— Niech jasnie pan tam napisze co do pana Kaliksta, a już ja...

Mrugnął nie kończąc i dodał: .

— Jak nie my na warcie, to ja pewnego znajdę — choćby i Moskala...

Ten dowód przychylności poczciwego Maćka rozczulił starego żołnierza. Mało go nie uściskał, lecz Wichur w rękę go pocałował. —

Lękał się Rucki korzystać z tej ofiary na razie, zostawił rzecz do namysłu i Maćka tylko prosił, aby go jeszcze raz odwiedził.

Zostawiwszy czwartaka z Bartkiem na rozmowie o wsi, w której nieboraczysko narzeczoną Jagnę zostawił, dawno już zamężną za innym, major wyszedł nieco weselszy, naprzód na obiad, a po nim umyślił pójść do domu, w którym stał syn, i tam szukać owego tajemniczego przyjaciela, by się z nim rozmówić obszerniej.

Dzień, choć jesienny, był piękny jeszcze i ciepły; w popołudniowej godzinie nad wieczór stary znalazł się w bramie, w której zwykle straż odprawiała pani majstrowa Noińska.

Po dawnym wojskowym i z oczów, i z miny, a wreszcie trochę z ubioru i wstążeczek u guzika poznać było łatwo — kim był. Majstrowa z dala już zmierzyła go dobrze oczyma i ciekawie patrzyła, aż się przybliżył. Była sama jedna w bramie, major więc, chcąc się coś wprzód dowiedzieć, skłonił się grzecznie, zbliżając się do niej pozdrowił i trochę pomyślawszy, zapytał:

— Nie mogłaby mi pani powiedzieć, kto tu w tej kamienicy mieszka?

Dobrze go zmierzywszy oczyma jejmość, mająca wielką do gawędki ochotę, uśmiechnęła się i znalazła najwłaściwszym dla przedłużenia rozmowy nie od razu do rzeczy przystąpić.

— A jakże, proszę pana— a któż tu lepiej wiedzieć może, i kto mieszka, i kto mieszkał w kamienicy, i co się w niej działo, i dzieje — nad nas, proszę pana — to jest, mojego męża i mnie, bo my tu już dziesięć lat mieszkamy. Choć, pożał się Boże, właściciel sknera, wszystkie piece dymią, reparacji żadnej...

Major widząc, że się na inwentarz kamienicy zanosi, przerwał:

— Ja bym tylko chciał wiedzieć o lokatorach.

— Otóż to jest, proszę pana — podchwyciła szewcowa. — Od lat dziesięciu co się tu ich przewinęło, i na tyłach, i na piętze, i na górcie, mogę zliczyć na palcach. O, Jezu! dlaczego nie... Człek jeszcze pamięci nie postradał.

Mówiąc to, nos utarłszy, poczęła się wdzięcznie uśmiechać, a że w tej chwili nadbiegł Frycek, zajęła się naprzód pozbyciem tego natręta.

— A nie pójdziesz ty mi do izby, ta do alementarza, ty jakiś, com ci mówiła. Żebyś mi jednej

minuty tu dłużej nie powstał! No — nogi za pas!...

A potem, zwracając się do majora, dodała:

— Jezu miłosierny, nim się człek z dzieci pociechy doczeka — co się to namęczy! Ale trzeba ofiarować do Ran Chrystusowych...

Majorowi zaczynało się robić dziwnie nudno.

— Proszę wielmożnego pana — dorzuciła majstrowa — a gdyby łaska do nas. Mój mąż, Noiński, majster od obuwia, nie chwałąc się, starszy cechowy. W izbie by było wygodniej .

To mówiąc drzwi otworzyła. Major się zawahał, nie było sposobu być niegrzecznym.

Zobaczywszy obcego i sądząc, że idzie o interes i robotę, Noiński nakuliwając\* się zerwał ze stołka, ale żona go, śmiejąc się, odepchnęła.

— Już ty siedź, swoje rób, my tu z wielmożnym panem mamy do pomówienia, co do ciebie nie należy.

Noiński, popatrzywszy, milcząc powrócił do naklepywania podeszwy.

Majstrowa prowadziła gościa swojego do alkierza, starła kanapkę, rzuciła z niej różne rupiecie, zaprosiła siedzieć i stanęła przed nim.

— Więc o co to idzie, proszę pana?

— Chciałem wiedzieć, kto mieszka w kamienicy?— spytał major. — Więc ja to zaraz panu... ale jakże honor?

— Major Rucki — szepnął cicho stary.

— Panu majorowi rozpowiem detalicznie, jak się należy.

Tu odetchnęła nieboga, splunęła i zaczęła na nowo.

— Na tyłach, proszę pana majora, Dygas, stróż, Matusowa, przekupka, z tym Józkiem, bodaj wisiał, bo tu z nim pokoju nie ma nigdy. Z przeciwka Aramowicz, stolarz, niezły człek, czeladź i te chłopcy jego, co by z Józkiem na gałęź godne były... Jak Boga kocham. A tu Noińscy, my. To cały dół. Zględem pierwszego piętra, no, pożał się Boże, mówić. Brenner z córką, kucharka i Agatka, która na nic dobrego nie wyrośnie. Już się mizdrzy, a piętnaście lat nie skończyła, ale — co to gadać.

— Cóż to za człowiek — Brenner?

Majstrowa zamilkła, twarz jej przybrała wyraz jakiś tajemniczy, dziwny, frasobliwy. Głową zaczęła kręcić.

— Czym się zajmuje? — spytał major.

Na to pytanie Noiriska, zamiast odpowiedzieć, poczęła koniec i frezie chustki, którą miała na sobie — wystrzępiać. Dawła do zrozumienia, że to była delikatna materia. Chrząknęła dwa razy, popatrzyła za siebie.

— Żebym mogła powiedzieć, czym się zajmuje, to trudno. Różnie różni mówią. Człek tam się do cudzych spraw nie mięsza.

Tu urwawszy nagle, spojrzała na majora i spytała od niechcienia:

— Pan major służył jużci nie w moskiewskim, z pozwo leniem, wojsku?

— Nie, moja pani, w Legionach i pod Napoleonem.

Machnęła ręką majstrowa żywo, zbliżyła mu się do uchai szepnęła prędko:

— Mówią na Brennera, że w tajnej policji służy.

Major aż się porwał. Majstrowa w piersi się uderzyła.

— Jak mego Boga kocham... No, żebym miała na to przekonanie, to nie powiem, ale... ludzie gadają. Jużci, z palca nie wyssali. A o to — żeby już tak prawdę całą rzec — toć to i ta historia tego pana, co stał na górce, także też coś znaczy.

Rucki zbladł i zawołał.

— Na miłość Boga, moja pani, masz przed sobą starego Polaka, żołnierza, możesz mówić śmiało. Powiedz mi, proszę, co mówią.

— A jużci — czemu nie! — ozwała się majstrowa. — Pan; nie potrzebuje tego mówić, co na twarzy napisano. Dosyć na pana spoglądać. Jezu miły! Historia trochę długa — ano, nikt jej lepiej wiedzieć nie może ode mnie, bo nie tylko, zem na nią własnymi oczyma patrzała, ale mam swoje stósunki. Hm! Na górce mieszkał młody panicz, śliczny, spokojny, dobry — miły Boże, jak my tu jego wszyscy kochali — no!

Major ledwie się nie zdradził, bo mu się łzy w oczach zakręciły. Powiedział był wprawdzie swe nazwisko majstrowej, ale ta znać na nie nie uważała. Ciągnęła tedy dalej.

— Druga młodzież w mieście, proszę pana, zwyczajnie, młodość, to się bałamuci, to... różnie bywa, a to tak żył, że można powiedzieć, jak duchowna osoba. A dla każdego grzeczny, a cichy. Długi czas tedy z pierwszym piętrzem żadnej nie było znajomości. A trzeba panu wiedzieć, że Brenner ma córkę, śliczności i adukowana, jak nie można lepiej — panna, choć na monarsze pokoje... No — i co dziwnego. Ale ja bałamucę, bo nie mówię, jak to było. A to było tak, że się franki na pierwszym piętrze zapaliły... Narobili gwałtu... Wpadł panicz i pożar zgasił — ano, pannę zobaczył i poznali się. Ja sobie zaraz myślałam: — „Jak nie będą romansować — tom już ostatnia...” Mówiłam nawet mężowi — może poświadczyć. Tak się stało... Przepowiedziałam... Wzieni zaraz romansować.

Ojciec się dowiedział, a ma pieniędzy dość — kto go wie, może ją za generała jakiego chciał swatać — zrobiła się awantura. Panna o mały włos nie umarła... Ta on, zobaczywszy, co się święci — udał — dziej się wola Boża... Niby nic — panicza przyjmował — a kiedy oni w najlepsze romansują, ten, z pozwoleniem, szelma, dał znać o czymś policji, aby się go pozbyć — i łap go zaraz — pod klucz...

Major ręce załamywał.

— Ale czyż może być? pewnoż to? on? — on wydał go?

— A któż? a po co by się to komu zdało gubić młodego? Jak go wzieni, słyszę, do Karmelitów, tak tu zaraz rewizja. Zeszła policja, strzęśli het — do nitki, do kłapcia, wszyściuteńko, a panna jak się o tym dowiedziała, tylko że nie umarła... Jeszcze teraz jak cień chodzi...

Major, który wcale nie był przygotowany do znalezienia niespodzianie tak szczegółowych wiadomości o synu — zmięszał się, wzruszył — zaniemiał. Dłonią tarł czoło — myślał, co miał począć — siedział jak przybity.

Majstrowa spostrzegła wrażenie, jakie to na nim robiło, tknęło ją coś i zatrzymała się nagle.

— Co bo panu jest? — spytała.

— Nic mi, moja pani — odparł głosem drżącym stary — nic mi. Zrozumiesz mnie lepiej, gdy jej powiem, że jestem ojcem tego chłopaka, co stał na górce.

Noińska z całej siły plasnęła w dłonie, ale tak, że szewc od stołka swego pochylił się, żeby zajrzeć, co tam znowu się dzieje.

Milczenie jakiś czas trwało.

— Jak mego pana Boga kocham — odezwała się wreszcie Noińska — bardzo pana przepraszam. Gdybym była wiedziała, z kim mam honor, może bym się tak nie wypaplała, aby panu serca nie krwawić.

— Nic się złego nie stało, owszem — rzekł Rucki — dobrze mi wiedzieć o wszystkim.

Zamyślił się stary.

— Tak więc ludzie o nim sądzą — i o przyczynie aresztowania mojego syna — odezwał się, pomilczawszy — ale jestże to pewna, że ten człowiek... takim się zajmuje rzemiosłem?

— Pewna! pewniuteńka! — podchwyciła Noińska — co to gadać... tylko że nie mogę wyjawić, skąd to mam, ale niech pan wierzy, że — prawda. My tu na niego patrzymy dawno, zawsze coś w nim było podejrzanego. Bo, co to gadać, uczciwy człowiek, choćby świniami handlował, przecie się kryć z tym nie będzie, a jego nigdy nikt nie podpatrzył, co robi... Wyjdzie, bywało, do dnia — jak w wodę wpadł, nie ma go cały Boży dzień... wróci nocą. Patrzcie, nazajutrz już o świcie znikł... A komisarze od policji, który się z nim spotka — toć to niziuteńko przed nim czapki zdejmują.

— Ale czyżby mój syn — wiedząc o tym...

— Albo on tam wiedział?

— Kiedy wszyscy o tym mówią.

— Pan myśli, dawno? Toć my, co tu zestarzeli, a dopierośmy po tej awanturze się dowiedzieli, co się święci... I, co prawda — córka, panna taka, że śliczniejszej trudno, i wielka muzykantka. Patrząc na nią, nie domyśliłby się nikt, czyja . córka. Co dziwnego, że się chłopiec zadurzył...

Mówiła majstrowa, a major siedział zamyślony, wikłało mu się w głowie. Wyszedł był z zamiarem widzenia się z Brennerem — teraz — miał wstręt otrzeć się o człowieka na piętnowanego takim ohydny znamię. Szukał w myśli powodu, dlaczego on przyjść mógł sam, dobrowolnie do niego? Chyba spodziewając się, zaskarbiwszy sobie ufność ojca, dobyć coś z niego dla łatwiejszego potępienia syna...

Z drugiej strony, w głowie mu się pomieścić nie mogło, by taki Brenner dla córki mógł szukać lepszej partii nad syna obywatelskiego. Wszystko to razem chodziło mu po głowie, tak że Noińska, patrząc nań, widząc go tak pogiębionym, uczuła potrzebę pocieszenia.

— Niech no pan tak nie frasuje się — rzekła. — Nie, juści, Boga nie ma, żeby takim, z pozwoleniem, łajdakom dawał po świecie bruździć bezkarnie. Przyjdzie, panie, kreska na Matyska... A może i prędko... E! ludzie gadają... wojna z Francuzem... a już żeby ich nie pobili, to nie może być...

Major wstał nic nie mówiąc.

— Moja pani majstrowa — odezwał się — nie umiem pani nawet podziękować za jej uprzejmość — ale niech państwu Bóg płaci za dobre serce. Wielce jej wdzięczny jestem... z duszy...

Noińska się kłaniała.

— Ale znowu nie ma za co! Bóg widzi. A — pan do nich na górę nie pójdzie przecie? — spytała.

Major stanął.

— A jest on w domu?

Noińska się złąła.

— O! mój dobrodzieju — chwytając go za rękę, odezwała się, strwożona — tylko, zmiłujcież się, jeślibyście chcieli do niego iść — nie mówcież nic, bo nas zgubicie!

Major aż za rękę pochwycił Noińską.

— Pani moja! — zawołał z zapalem — czyż możesz pomyśleć nawet coś podobnego?? Ja wam tak za waszą poczciwość się wypłacić! a, tobym nie więcej był wart od tego waszego Brennera!

Ochłonęła Noińska. Wtem wisus Frycek wpadł bardzo w porę dla majora wołając:

— Brenner poszedł na górę!!

Rucki, korzystając z przybycia malca, chcąc się czymś matce wywdziękzyć, wcisnął mu złotówkę na obwarzanki. Kazano za to w rękę całować. Major się namyślił.

— Bądź pani spokojną — rzekł — nie chcę widzieć ani tego człowieka, ani tej jego córki. Idzie mi tylko o to, jak się z domu wysliznąć, tak aby mnie nie widziano.

Noińska wyjrzała przeze drzwi, poszła spojrzeć przed kamienicę i dała znak, iż nie ma nikogo, a major, pożegnawszy ją prędko, wysliznął się z tego nieszczęsnego domu.

\* \* \*

Kalikst ciągle siedział zamknięty, wzywano go do badań kiedy niekiedy, nęcano nimi z coraz większą natarczywością, na ostatek w początku listopada oświadczył generał, że jeśli szczerymi wyznaniem nie okaże skruchy, czeka go niechybny dekret w proste żołdacy — gdyż kartka została uznana jako pismo jego niezaprzeczenie i będzie dostatecznym przeciwko niemu dowodem.

W istocie w. ksiązę co dzień się stawał niecierpliwym i srożył się straszniej przeciw wszystkim.

Dnia 4 listopada odbyte nabożeństwo żałobne u Kapucynów za poległych w czasie rzezi Suworowa\* na Pradze; drugi taki obchód u ks. Karmelitów pragskich, gdzie Jurgaszkę, dowódcę żandarmów, mocno nawet poturbowano; wyznania jednego ze Szkoły Podchorążych, który w chwili jakiejś bezrozumnej trwogi cały plan powstania wydał przed w. księciem; aresztowania nieustanne młodzieży, której ruchy widziano, czuto, nie mogąc najczynniejszych przewodzców ani dojść, ani połapać — wszystko to z dniem każdym pogarszało położenie tych, którzy wpadli w ręce policji.

Wiedziano o spisku — dawały się postrzegać jakieś przygotowania do niego, a pochwycić samych sprawców, dojść do jądra — było niepodobieństwem.

Ksiązę im więcej się trwożył, tym mocniej się srożył. Gniewał się na tych, co z połapanych nic wydobyć nie umieli, na niedołężną policją, na buntowniczego ducha, który z Francji i Zachodu zawiewał, na cały świat, na wszystkich i wszystko.

Szkołę podchorążych, już podejrzaną, ściśnięto jak w więzieniu, na młodzież patrzano dzień i noc, śledząc jej kroki — każdy przybywający do Warszawy, szczególnie z granicy, był pilnie śledzony.

Więźniów też wszelkimi sposoby usiłowano sterroryzować — aby z nich wycisnąć zeznania. Więźniowie milczeli uparcie.



Szczęściem ci, którym były powierzone badania, nawykli patrzeć na potęgę militarną Rosji, na porządek, który się im zdawał nie do obalenia — choć widzieli spiski, nie mogli przypuścić, aby one były czymś groźnym, czymś więcej nad marzenie kilku zagorzalców. Dogadzano w. księciu więcej dla zaspokojenia jego fantazji, niż naprawdę lękając się jakiegoś wybuchu.

Dla Rautenstraucha, Kruty, Jurgaszki, Lewickiego i Lubowidzkiego strachy te nie miały wagi, rewolucja zdawała się im niepodobieństwem.

Pakowano do kozy co dzień, aby mieć o czym raportować i okazać wielką gorliwość, hałasowano mocno, ale lekceważono i uśmiechano się po cichu. Niemniej położenie zamkniętych po klasztorach: u Marcinkanek, u Karmelitów, i w innych więzieniach — coraz się stawało nieznośniejszym, obchodzono się z nimi coraz surowiej i bezwzględniej.

Na innych oprócz podejrzeń i denuncjacji jakichś schadzek w kawiarni albo nieostrożnego słowa nie miano więcej nic — przeciwko Ruckiemu jego własne pismo świadczyło.

Co gorzej, porównany do znalezionych u Ruckiego papierów sam papier nawet, zdaniem ekspertów — dawał pewność, że on pisał tę notatkę — a zatem, że wiedział o spisku i należał do niego.

Księżę sprawą jego zajmował się szczególnie od czasu bytności majora, chciał na nim przykładu dla innych, wymagał, aby go sądzono w żołdacy.

Tylko Staś Potocki, zjednany po cichu przez przyjaciół Ruckiego, którzy, choć nic mu nie obiecywali, starali się po cichu i wstawiali za synem — wyrok ten usiłował odroczyć, zwlekał, jak mógł, nadzieją zeznań to usprawiedliwiając — przedłużał z dnia na dzień zamknięcie śledztwa.

Z pomocą o. Porfirego, kiedy niekiedy Kalikst odbierał słów kilka od Julii. Potrafił sobie wyżebrać u stróża kawałek papieru i odpisywał krwią i słomą. Jedyne to było pociechą w więzieniu, w którym mu książek nawet, usilnie żądanych, odmawiano.

Chociaż Maciek Wicher ofiarował się majorowi przenieść od niego list do syna, stary nie przyjął tej ofiary — czuł, że jemu nie wypadało używać takich środków, którymi by mógł zgubić poczciwego żołnierza.

Kilkomiesięczne zamknięcie, które najenergiczniejszy łamie charakter, na najsilniejsze oddziaływa zdrowie — i jemu się już mocno czuć dawało. Oddychanie tym powietrzem zepsutym, nieruchomość, cisza, groźby — przybiły go, uczyniły drażliwym, smutnym; jednak postanowienie trwania w tym, co raz powiedział, upornego milczenia, nie zachwiało się wcale.

Gdy go ostatni raz wezwano do gabinetu, zastał w nim naprzód samego konwulsyjnego protokółistę. Więcej nie było nikogo. Piernikowa ta figurka długo mu się, gryząc pióro, przypatrywała, potem jedno oko przymrużywszy szydersko, ręce w kieszeniach, zaczęła się przechadzać po pokoju i parę razy, krzywiąc się, stawała przed Kalikstem.

Za trzecim takim manewrem maleńki człowieczek przysiadł tak, jakby miał tańcować prysiudy\*, i

rzekł natarczywie:

— Czemu się nie przyznać? dawno byś był wolny. Myślisz, że my nie wiemy! hę? hę? hę? Pójdiesz w żołdactwo... szkoda... Przyznać się, przyznać...

Chód się dał słyszeć u drzwi i protokolista jednym susem skoczył na swój stołek, rozgarniając poły fraka. Gdy generał wszedł, wlokąc za sobą chustkę zatabaczoną, protokolista siedział jak przyklejony na swym miejscu.

Generał był zły, zaspany, czerwony, oczy miał zaognione. Począł, jak zawsze, nalegać, nogą tupać, pięścią bić w biurko. Kalikst to wytrzymał cierpliwie i powtórzył, co zawsze, że o niczym nie wie i nic powiedzieć nie może.

Nastąpił wybuch straszliwy.

— A więc — rzecz skończona z wami — zawołał obrzękły — wyrok sam na siebie ferujesz\*, w. książę podpisze go i potwierdzi\* będzie. Książę przez litość nad starym ojcem tylko daje mu ostatecznie dni kilka do namysłu. Najdalej za tydzień — *lob!* ogolą głowę, przywdzieją mundur — i marsz po etapach na Kaukaz! Sameś chciał.

Protokolista po cichu wybijał takt na stoliku, przy ostatnich słowach wywinął nogami i padł jak rozplaszczony na stół.

Kalikst wysłuchał zapowiedzianego mu dekretu — nie rzekł ani słowa.

Wyprowadzono go.

Pomimo całej energii — Kalikstowi zrobiło się na świecie ciężko.

Nie wiedział od dawna, co się działo ze spiskiem, którego termin pierwszy, wiadomy mu, upłynął bez wypadku — myślał więc — i to mu ciągle dawano do zrozumienia, że sprzysiężenie na niczym spełzło, a naczelnicy albo połapani siedzieli, lub się rozbiegli za granicę — był więc pewien, że zapowiedziany los go nie minie.

Być naówczas skazanym w żołdactwo, najsroższą ze wszystkich może było karą dla człowieka do swobodniejszego w kole cywilizowanych ludzi życia nawykłego. Nielitościwe obejście się starszyny ze skazanymi, towarzystwo nieokrzesanego żołdactwa, dzikich często plemion Sybiru i Kaukazu, wszelkie prywacje\* i katusze czekały biednego żołnierza. Kara nawet cielesna dla tych, którym odjęto szlachectwo, wyłączone z tego nie była.

W pierwszej chwili zburzenia, rozpaczy Kalikst pomyślał, że lepiej sobie było odebrać życie niż tak cierpieć, sterać się, zdziczeć i upaść. Śmiercią swą oswobodził Julię od jej słowa — a komuż innemu był na świecie potrzebnym? Ojcu zostawał brat... jeśli i ten pochwycony nie został.

Chwycił się tej szalonej myśli z zapalem. Lękał się najmocniej, aby później energia się nie wyczerpała, charakter nie spodlił, aby go nie zwyciężyły męczarnie; przynosił śmierć mężną nad

powolne znikczemnienie.

Mógł osłabnąć w walce z losem, samobójstwo zdawało mu się heroizmem w tej chwili.

Ta myśl, nagle powzięta, chwycona gorączkowo — owoc chorobliwego stanu umysłu i ciała, opanowała go wkrótce, nie dawała mu już spoczynku. Należało tylko znaleźć środki wykonania jej. Innego nie widział w więzieniu Kalikst nad sznur i ćwieczek. Ale myśl obwieszenia się była mu czegoś ohydną i wstrętną. Scyzoryk, który mu się udało ocalić, nierychło znaleziony za podszewką — nastreczył myśl przerznięcia żył. Był to rzymskich stoików\* stary sposób pozbycia się żywota. Należało tylko wybrać godzinę taką, aby krew miała czas upłynąć, nimby ktoś nadszedł do celi.

Takimi myślami truł się biedny Kalikst — gdy — jednego dnia stróż mu nieznacznie na stoliku położył karteczkę. Zaraz po wyjściu jego chwycił ją skwapliwie, sądząc, że była od Julii, do której właśnie pisać chciał z pożegnaniem — lecz na pierwszy rzut oka poznał, że była całę innym charakterem pisana. Pismo to było mu nie znanym zupełnie.

Zawierało tylko słów kilka nakreślonych ołówkiem. — zalecających dobrą myśl, nadzieję — obiecujących rychłe wyswobodzenie.

Przychodziło to tak dziwnie w porę na uleczenie go od marzeń o samobójstwie i śmierci, że zdawało się opatrzenie zesłanym, jakby ktoś cudownie odgadł myśl i rozpacz jego.

Skąd to szło? Kto mu to przysłał? ani mógł, ani śmiał nawet pytać stróża, bo ten wszelkiej rozmowy i tłumaczeń unikał. Służył wprawdzie ukradkiem, lecz czynił to po swojemu, nie otwierając gęby — nie mówiąc słowa, mruczając prawie groźnie.

Na ten raz Kalikst chciał choć popróbować się czegoś dowiedzieć. Gdy żołnierz przyniósł potem wieczorem świecę — zagadnął go po cichu:

— Skąd?

Ale nie otrzymał odpowiedzi. Przyspieszyło to tylko wyjście niemego strażnika, który ruszył ramionami.

Dnie zapisywał sobie Kalikst kreskami na ścianie. Do kontroli ich służyły pewne oznaki, po których mógł rozpoznać niedziele, bo dzień ten i w więzieniu, i odgłosem miasta się czuć dawał. Słychać było dzwony zwykle i więcej ulicznego, choć stłumionego ruchu.

Tego dnia właśnie była niedziela, dzień 28-go listopada. Tajemnicza kartka dźwignęła go nieco na duchu. Charakter był jakiś osobliwy, kancelaryjny, ręka niby starego człowieka.

Samobójstwo więc odłożone zostało. Zawahał się Rucki i pomyślał, że na to pożegnanie ze światem, nadziejami, Julią, ojcem starym i bratem — z młodym życiem zaledwie poczętym zawsze czas będzie. Scyzoryk już wyostrzony odłożył na bok.

Kilka razy kartkę odczytawszy, marząc o jej znaczeniu, uspokojony nieco, spać się położył, ale sen miał przerywany i niespokojny.

Ze dniem ruch w klasztorze zwiastował nowych więźniów. Przez długi pobyt i nawyknienie do wsłuchiwania się w wszystkie ruchy i głosy kurytarzy, podwórza, ulicy — Kalikst nabył pewnej wprawy — umiał odgadywać, co się działo — nawet, co się przygotowywało. Po chodzie już poznawał komendantów, którzy zwykle nocą i dniem klasztor odwiedzali. Przybywanie nowych więźniów zdradzało się zawsze pewnym szmerem, zamięszaniem, chodzeniem gęstszym, otwieraniem drzwi w godzinach niezwykłych. Mógł nawet policzyć lub się domyśleć, ilu mu nowych towarzyszków przyprowadzono. Wrażenie to nowych uwięzień znowu go zasmuciło, nadzieja osłabła, scyzoryk na myśl przychodził.

Tak dzień upłynął cały, mglisty, chłodny, smutny, którego powietrze wilgotne i przejmujące mimo przepalania w piecu w murach klasztornych przykro się czuć dawało.

Że dzień był chmurny — wcześniej niż zwykle z wolna zmierzchać zaczęło. Jeszcze światła nie przyniesiono, gdy dzwony bijące na gwałt pożar jakiś oznajmiły. Ruch — ale mało znaczny, zrobił się w mieście.

Serce uderzyło Ruckiemu, który się w daleką wrzawę wsłuchiwał — ale ta wkrótce ustała. — Dzwony ucichły — pożar snadź ugaszono.

Upłynął czas dosyć długi — a światło się nie pokazywało jeszcze wedle zwyczaju, choć zupełnie ciemno było w celi.

W mieście coś słyhać było dziwnego, niezrozumiałego. — Wszczął się ruch, bieganie, tętent, kilka razy krzyki jakby głośniejszej komendy.

Wszystko to więźniowi zwiastowało coś — coś niezwykłego. — Na kurytarzach panowało milczenie grobowe, nawet warty, których krok słyhać było zwykle powolny, mierzony, niecierpliwiejący jednostajnością — zdawało się, jak gdyby chodzić przestały.

Co się tam działo w mieście?

Kalikst nie umiał odgadnąć, ale czuł, że coś — coś się stać musiało...

Panowało jakieś wzburzenie, jakby pożarem chyba wywołane!

W dali szumiało coś, jeśli nie ciągle, to jak burza momentami.

Byłże to wicher, który się zrywał i ustawał? — Nie...

Natężonym uchem wsłuchując się, Kalikst — mylił się może — zdało mu się, że z dala — usłyszał wystrzały.

Krew uderzyła mu do głowy.

Miałożby powstać miasto? miałożby nareszcie wybić umówiona godzina?

Ciągle wyęzając zmysły wszystkie, wstrzymując oddech —

Kalikst słuchał, śledził. Ile razy na chwilę przycichło — tracił nadzieję, gdy znowu zawrzało — odzyskiwał ją.

Pożar? powstanie? burza? — pytał się — nie umiał odpowiedzieć sobie.

Wkrótce jednak ustała wątpliwość wszelka — krzyki wyraźne, gwałtowne oznajmywały, że coś wybuchło w mieście. — Co? jak? Byli to zwycięski ruch powstańczy, czy zemsta krwawa za poryw niedołączny, zgnieciony i rozbity? Któż to mógł odgadnąć?

W razie nieszczęścia rozjuszony żołdactwo mogło się najłatwiej rzucić na więzienia — i pomścić rzeź na bezbronnych. Na tę myśl — wszystko w nim zawrzało. — Nie było nawet czym i jak stoczyć walki... i okupić życie.

Słyszeć wrzawę bojową i siedzieć zamkniętemu, nie mogąc ani się rzucić w pomoc drugim, ni bronić samemu — mogłoż być co okropniejszego? Im bardziej wznagała się wrzawa, krzyki, strzały, tętent przelatujących jakichś oddziałów, tym rozpaczliwsze stawało się położenie.

Każda sekunda stawała się wiekiem.

Kalikst przypomniał sobie pierwotny program powstania, który przed jego uwięzieniem był kilkakrotnie rozstrząsany — usiłując z jego pomocą odgadnąć, co się dzieć mogło w mieście. Ale godzina była późniejsza, a w planie więzienia, zarówno jak Arsenal\* i Bank, stały pierwsze. Dotąd już oddział jakiś, najprawdopodobniej bombardierów szkoła, powinna była zjawić się u Karmelitów.

Co chwila zmieniać się zdawało położenie; niepewność, obawa zastępowała przelotną radość i nadzieję. To dalekie krzyki i luźne wystrzały, to hałaśliwy tętent po bruku, to cisza, straszniejsza jeszcze niż wrzawa, co ją poprzedzała. Zimny pot oblewał skronie więźnia, bijącego się po ciasnej, ciemnej celi jak zwierz w klatce.

Na myśl mu przychodziło gwałtem drzwi wyłamać, schwycić broń od stojącego w nich żołnierza i przebijać się gwałtem na plac walki. Ale rygle i grube deski próby nawet nie dopuszczały — w kurytarzu panowała cisza cmentarna. Tylko w sąsiedniej celi usłyszał Rucki miotanie się i szamotanie towarzysza, jak on już rozgorączkowanego. Bił on w ścianę dzielącą ich, jakby znać dawał lub wzywał pomocy.

W klasztorze nic się nie poruszało jeszcze. Kalikst, ucho przycisnąwszy do drzwi, podśluchiwał na próżno. Kilka razy zdało się, jakby ktoś spiesźnie przebiegł i uszedł.

Gdzie była straż i żołnierze? nie podobna było odgadnąć.

Kilkakrotnie krzyki i wrzawa zdawały się przybliżać, a z nimi nadzieja oswobodzenia, ale wnet znowu cisza, okropna cisza — co otacza żywcem pogrzebionych, powracała.

Na wszelki wypadek Kalikst się przyodział na prędcę jak do wyjścia, jak do boju; co miał

najpotrzebniejszego, włożył na siebie. Z głową do drzwi przyciśniętą czekał.

Zegar gdzieś z dala wybił jakąś niezrozumiałą godzinę. Byłaż to ostatnia życia czy pierwsza swobody??

Z sąsiedniej celi więzień zdawał się gwałtem chcieć wydostać. Kalikst usłyszał w zrozpaczonych jego rękach . trzeszczące drzwi, których nikt nie bronił.

Oczekiwanie to długie, niepewność, nadzieja — mogły w istocie doprowadzić do szaleństwa.

Rucki włosy sobie rwał na głowie. Nareszcie i on jak oszalały zaczął bić we drzwi, szamotać się z nimi. Drzwi ani drgnęły nawet.

Spodziewał się, uderzając w nie, wywołać kogoś — słowo jakieś, choćby groźbę, byle mu wytłumaczyła, co się działo.

Wtem, gdy się już niecierpliwość wyczerpywała, zaszumiło nagle na dole, tumult się wszczął i wrzawa, jakby walka krótka — i tłum pędem wpadł do klasztoru. Szybkie kroki rozległy się dokoła — wołanie:

— Do broni! do broni!

Kalikst słyszał z kolei otwierające się drzwi — i śmiertelna ogarnęła go trwoga, aby o nim nie zapomniano. Z całą więc siłą, na jaką się mógł zdobyć — począł krzyczeć i bić we drzwi rękami i nogami.

Przecież klucz się obrócił żywo w zamku i postać jakaś, której zrazu poznać nie mógł, stanęła, pilno wpatrując się w niego.

Oczom swym nie wierząc, ujrzał przed sobą Brennera z pistoletami w ręku i z szablą u boku — który wołał:

— Wychodź pan! ja go szukałem! Idźmy razem pod Arsenał, pod Arsenał!

W kurytarzach ujrzał Kalikst uwijającą się młodzież ze szkoły bombardierów, która więźniów co prędzej wypuszczała. Krzyki: — „Do broni!” — rozlegały się, pomieszane z wrzawą nie do opisania.

Ruckiego ciągnął z sobą Brenner, nie do poznania zmieniony, rozpalony, drżący, powtarzając ciągle: — „Za ojczyznę!”

Był jak nieprzytomny, w gorączce. Pistolet jeden oddawszy Kalikstowi, chwycił go za rękę, wołając:

— Do Arsenалу!

Puścili się więc razem co prędzej, spiesząc z tych murów wydobyć, potrącani przez nieznanomych, tak rwących się na wolność jak oni. Ci, wypuszczeni spod zamków, wybledli, chwiejający się na

nogach, po większej części młodzi ludzie, pędzili na pół ubrani, niektórzy ledwie płaszcze na siebie chwyciwszy, bez czapek.

Brenner ciągnął Kaliksta ku Długiej ulicy i Arsenałowi.

Z dala widać było na Nalewkach łunę pożarną.

W chwili, gdy na ulicę wybiegli, było na niej prawie pusto — ciemna, chmurna noc, jakby szatą żałobną osłaniała gród, jeszcze uspiomy, wylękły i martwy. Z dala tylko to strzały, to krzyki, to się ognie ukazywały i nikły.

Brenner, zdyszany, biegł ciągnąc z sobą Ruckiego.

— Widzisz mnie! — wołał — jeżeli zginę — świadczy, mów, oznajm, że się biłem, że z wami szedłem razem!

Kalikst ścisnął go za rękę, przemówić nie mogąc. Dostali się na Długą, od strony Arsenалу dochodziła ich wrzawa, pędem więc, przyspieszywszy kroku, trzymając się razem, dobiegli tutaj i stanęli wśród wojskowych, cywilnych i oddziałów, które się na obronę ściągaly. Rucki spostrzegł w tej chwili brata i rzucili się sobie w objęcia. Ale czasu nie było na uściski. Kto co miał, chwycił, bo słyhać było żywo klusem nadciągających wołyńców.

Rucki i Brenner stanęli w szeregu, choć niemal bezbroni, mieli za ledwie po pistolecie w rękę.

Zahuczały działa po bruku, które dwoma oddziałami idący pułk jazdy wołyńskiej prowadził przed sobą. Ale tuż stojący grenadierowie, nie czekając zaczepki — dali ognia. W szeregach zamieszanie się wszczęło, padło kilkunastu — stanęli. Z drugiej strony batalion nadchodzący pod pułkownikiem Owandrem\* do Polaków strzelać począł. Kule świsnęły im nad głowami. Kalikst, który stał przy bracie, usłyszał z drugiej strony lekki wykrzyk za sobą, ale niemal radosny. Odwrócił się i ujrzał Brennera, który ręką za piersi się trzymając, krew wypluwał i słaniał się. Chwycił go Rucki, podtrzymując, gdy drugi wystrzał na nich się posypał i on sam został ugodzony w ramię. Zrazu zdało mu się, że był za ledwie lekko potracony — gdy ciepło dało się czuć w rękę i pistolet na bruk z niej upadł. Ruckiemu zawróciło się dziwnie w głowie. Brenner już leżał, on też na nogach utrzymać się nie mógł i ukląkł obok niego.

Miejsce wybrane musiało być nieszczęśliwie, bo już pochylonego strzał znowu raził w piersi. Przytomny jeszcze, starał się dźwignąć i podnieść, bo dokoła cisnęli się na nich walczący, ale siły go zupełnie opuszczają zaczęły. W tej chwili właśnie pierzchnęli byli wołyńcy, zabierając swoje trupy, z których tylko jeden, generała Blumera, na bruku pozostał. Ludwik obejrzał się na brata i postrzegł go we krwi broczącego, omdlałego na ziemi. Za ledwie Kalikst spojrzeć nań miał czas i uśmiechnąć się, gdy jakby zasłona mglista zaszła mu na oczy i stracił przytomność.

Szczęściem, znalazł się przy nim nie tylko brat, ale poczciwy Maciek, czwartak, którego pułk, najulubieńszy w. księcia, porzuciwszy Bogusławskiego, pod dowództwem kapitana Roszlakowskiego\* nadbiegł do Arsenalu. Oba pochyliłi się ratować Kaliksta, z którego ran krew płynęła obficie. Omdlenie jednak raczej ze znużenia więzieniem i wzruszenia przyszło niż z

wyczerpania sił żywotnych. Otrzeźwiono go wnet i położono przy murze, ale tu niepodobna go było zostawić dłużej, bo się już tłum naciskał i broń mu wyrzucać miano. Zamęt panował straszny.

Kalikst, zaledwie oczy otworzywszy, zaczął wołać i prosić, by ratowano rannego Brennera, który przy nim leżał.

Maciek z Ludwikiem poszli go szukać i przynieśli zaledwie dającego znaki życia. Poruszał się jednak jeszcze, a usta zamiast wyrazu bóleści miały osobliwszy uśmiech jakiś uszczęśliwienia i radości. Ranni ci oba pod Arsenalem mogli być narażeni na nowe niebezpieczeństwo — a użytecznymi już tu nie byli. Maciek, odkomenderowany do pierwszej kamienicy, do której się dobić było można, bo wszystkie były pozamykane i pozatarasowywane, znalazł i kilka czeladzi odważniejszej i cyrulika\*, który naprędce mógł rany pozawiezywać. Wzięto się zaraz do transportu — obu. Brenner rzucał się jeszcze, dyszał, ale trafiony w piersi, krwią ciągle pluł, lała mu się ustami i ocalenia go nie było nadziei.

Znaleziono jakiś wóz porzucony pod domem, czeladź złożyła w nim na słomie rannych i potoczyła zwolna ku Świętokrzyskiej ulicy. Przebicie się do niej przedstawiało pewne trudności z powodu, że nie można było przewidzieć, czy gdzie jakiego rosyjskiego nie spotkają oddziału. Kalikst jednak dla Brennera szczególnie prosił i domagał się, aby ich tam odwieziono. On także — sądząc się śmierci bliskim, osłabły — pragnął przynajmniej Julią przed śmiercią zobaczyć.

Ludwik, stojący u Arsenalu ze Szkołą Podchorążych, choć nawet dla konającego brata ruszyć się nie mógł — chwila była stanowczą, odejść stąd było to dezertować. Maćkowi wysłanemu lepiej się powiodło, niż sądził, a i jemu pilno było zdać ranionych — aby co prędzej wracać i za wszystkie czasy wetując\* spędzić oskomę\* na Moskalach.

Ruszył więc wóz z ludźmi nieznanymi, powoli — można się było lękać, aby go na pierwszy alarm gdzieś w ulicy rzuciwszy, nie uciekli; szczęściem, część miasta, którą przebywali, była jakby opustoszoną, domy pozamykane, nigdzie światelka, okna ciemne, okiennice szczelnie pozasuwane — żywego ducha nigdzie — ani nawet znaku życia. Dowlekli się tak na ulicę Świętokrzyską, aż do małej kamieniczki. Kalikst, który sam słabł, nieustannie schylał się nad Brennerem, badając, czy go żywym dowiozą.

Dyszał, mrużąc coś, stary.

Stanęli u bramy nareszcie.

Zamarłym zdawało się wszystko — w oknie tylko jednym za grubą zasłoną ledwie dostrzeżone migotało światelko. Wrota były zaparte — okiennice hermetycznie pozaryglowywane, ale ta pozorna cisza i pokój, jak się łatwo było domyślać, kryły pewnie niepokój i postrach, który wszystkich na nogach, rozbudzonych, trzymał.

Dygas stał z drugiej strony pod bramą. Józiek Matusowej dawno już był, chwyciwszy jakiś drażek żelazny, i to cudzy, wyleciał na miasto, dwóch z czeladzi Aramowicza także brakło.

Zaczęli ludzie stukać do wrót mocno. Zrazu się żaden głos nie odzywał. Po dość długim dobijaniu



się, gdy czeladź po swojemu z mazowiecka kłąć poczęła, furtka się bojaźliwie uchyliła i ciekawością, przemagającą nad strachem, zdjęta majstrowa Noińska wyjrzała.

Obawiano się napadu Moskali i rzezi — dopiero przekonawszy się, że o co innego chodziło, wybiegła jejmość, a za nią i Dygas na ulicę. — Zobaczywszy rannych, których poznali, wnet bramę odmykać zaczęto. Matusowa, kucharka z góry, Agatka, Noińska z Fryckiem — wszyscy się do wozu cisnęli oprócz ostrożnego jeszcze Aramowicza, który z dala przypatrywał się przez drzwi półotwarte i żony nie wypuszczał.

Noińska wnet pobiegła po świecy ogarek i wróciła otulając ją dłonią, a ujrawszy słomę pokrwawioną, Brennera już zbladłego, na pół trupa, Kaliksta zesłabłego — krzyknęła przestraszona.

Tymczasem Dygas, nie mniej wylękły, bramę za wtoczonym wozem zatarasował, a kucharka lamentując przodem wbiegła na wschody.

— Zanieście mnie na górkę! na górkę — wołał Kalikst głosem osłabionym.

— Gdzie? jak? — zakrzyknęła Noińska — a toć pustka — zimno, ani pościeli, ani materaca. Nie palono — jak w psiarni. — Jezu miły! Co krwi! co krwi!

Domówiła tych słów, gdy z góry pędem lecąc, z rozpuszczonymi włosami, przypadła Julia, postrzegła naprzód Ruckiego, a razem prawie ojca, którego podnoszono ze słomy. Załamała rękę i padła na kolana.

Za nią spieszyła ciotka.

W pierwszej chwili płacz, wzruszenie nie dało pomyśleć, co robić.

Julia łamała rękę.

— Ojciec!

— Razem pod Arsenalem byliśmy ranieni — rzekł Rucki. — On mi drzwi więzienia otworzył. Jemu ratunek najpotrzebniejszy... stracił krwi wiele...

— Po doktora Borzęckiego, kto w Boga wierzy! — krzyknęła Małuska — zlitujcie się...

— Na górę nieście — dodała Julia.

— Ja sam dojdę może — rzekł Kalikst.

Spróbował się poruszyć, wyciągniony z wozu, ale wnet o mur musiał się oprzeć.

Brennera przodem niesiono jak nieżywego. Ruckiego musiano wziąć pod rękę.

Tak weszli na górę, brocząc krwią po drodze. Starego natychmiast zaniecono na jego łożo. Julia szła przy nim — Kaliksta omdlałego Małuska kazała położyć u siebie. Zaledwie legł, stracił

przytomność.

Po doktora Borzęckiego, ponieważ nikt się iść nie ofiarował, mężna Agatka narzuciła chusteczkę i pobiegła boso.

W pokojach płacz i łkanie słyhać tylko było. Brenner nie dawał znaku życia, twarz trupio blada, usta otwarte, oczy zbielełe, zdawało się, że przestały patrzeć na wieki. Nie dostrzeżonym ruchem pierś się tylko jeszcze podnosiła, a krew sączyła z rany.

Małuskiej usiłowania otrzeźwienia Ruckiego o tyle się powiodły, że odzyskiwał przytomność na chwilę i znowu w mdłości wpadał. Po długim, strasznym oczekiwaniu nadbiegła Agatka, poprzedzająca Borzęckiego, którego nie znalazła zrazu, szczęściem, jakby umyślnym, spotkała go na ulicy.

Doktor nadszedł natychmiast, niosąc, co było potrzebnym do opatrzenia ran. Przypadkiem podszedł naprzód do Kaliksta, ale ten, otworzywszy oczy, spytał o Brennera i ręką go do niego odesłał. Gdy się do łóżka jego zbliżył doktor, z lekka usunawszy córkę, która sparta na nim, płakała — już życie właśnie było z piersi uleciało. Stał, ująwszy rękę, upuścił ją i odstąpił, milczący.

Trup to był, nie potrzebujący już lekarza. Julia zrozumiała i zachodząc się z płaczem, pozostała przy zwłokach, gdy Borzęcki po cichu spieszył do Kaliksta. Nie tracąc chwili, wziął się do opatrywania go. Kula z ręki z łatwością dobyć się dała, a choć strata krwi była znaczna, nic nie groziło niebezpieczeństwem. Z większą obawą przystąpił do boku, ale i tu strzał ośliznął się po żebrach, zorał i potargał ich osłonę, nie zadawszy śmiertelnego ciosu. Dr Borzęcki odetchnął, dając znak głową Małuskiej, iż rany obie groźne nie były.

Młody lekarz ledwie miał dosyć przytomności, aby obowiązku dopełnić, bo myślą i duchem znajdował się gdzie indziej. Nie wiedział jeszcze, co się stało w mieście i na czym ta straszliwa burza skończyć się miała. Każdy odgłos daleki poruszał go i elektryzował.

Przepisawszy naprędce, co czynić było potrzeba — zerwał się co najprędzej, obiecując przyjść, jeśli żyw będzie. A któż naówczas pewnym był, że jutra dożyje?

Była godzina druga z północy i rodzaj chwilowego rozejmu nastąpił po walce wściekłej, która w księcia tak przeraziła zuchwalstwem tego porywu, że się cofnął i do boju wystąpić z otaczającymi go jeszcze siłami w części rosyjskimi, z resztą polskich — nie miał odwagi. W mieście panowało osłupienie u jednych, u drugich zapał nieopisany, niewysłowiony.

Prawie z musu, co powagą i imionami stało na czele społeczeństwa, chwyciło cugle rządu, puszczone z rąk przez Konstantego. Myślano tu jeszcze o jakimś przejednaniu, o układach, ukojeniu, gdy młodzież wrząc już się do zawziętej walki szeregowała. W książę skrył się w nędznym domku w Mokotowie, Warszawa była w ręku powstania, a ono samo jeszcze nie wiedziało, co miało począć z sobą. Tylko ci, co dokonali tego cudu, wierzyli w ogólną, narodową wojnę o niepodległość; Skrzynecki\*, Chłopicki, który się był ukrył u przyjaciela, aby uchronić od wzięcia udziału — starszyzna w ogóle mówiła „o rozdwojonych umysłach Polaków, o rozlewaniu krwi bratniej”.

Były to wyrazy plakatów ogłoszonych po mieście i podpisanych przez Czartoryskiego, Radziwiłła\*, Kochanowskiego\*, Paca\*, Niemcewicza nawet.

Nawoływano do przywrócenia spokoju i porządku.

Jedno nic naówczas — mogło pochylić szalę na stronę niespodzianą...

Ale też z każdą minutą zapał garstki udzielał się szerszym kołom, rósł, szedł jak pożar wśród posuchy, obejmował tych, co przed godziną wierzyć weń nie chcieli.

Gdy się to działo w mieście, stary major Rucki, nie wiedzący o niczym, poszedł był tego dnia właśnie do teatru „Rozmaitości”\*, gdzie pomiędzy innymi z dala i barona Chłopickiego zobaczył. Zaledwie się widowisko rozpoczęło, gdy Zajączkowski\*, komendant odwachu na Krakowskim, i Józef Dobrowolski\* wpadli z dobytymi szpadami wołając, że Moskale Polaków wyrzynają.

Straszliwy rozruch wszczął się w teatrze. Rucki z innymi wybiegł na ulicę. Nie mógł pojąć, co się działo, nie wiedział, gdzie się obrócić, i przedarł się, przysłuchując popłochowi, strzałom, przelatującym konnym i powozom, do swojego domu Gerlacha.

W starym żołnierzu krew kipieć zaczynała, lecz ani jego dłoń się na wiele przydać mogła, ani wiedział, dokąd się obrócić. Dopadłszy do bramy, kazał ludziom być w gotowości jak do drogi, spakować rzeczy, a sam, chwyciwszy pałasz, z którym jeździł zawsze, drżący, został w podwórzu. Tu nadchodziły przez różne usta najróżniejsze wieści. Pogłoski jedne od drugich dziwniejsze, wypadki najdziwaczniej wymyślane, postrachy osobliwe krzyżowały się i zbijały wzajemnie, zostawiając po sobie niepewność, co w istocie działo się i stało.

Starzec już chciał sam puścić się na zwiady, gdy Ludwik, wysłany spod Arsenалу na Pragę, zboczył do niego oznajmiając mu, jak rzeczy stały, a razem donosząc o rannym Kalikście, którego razem z jego oswobodzicielem nieznanym zanesiono na ulicę Świętokrzyską.

Ojca starego tam — a nie gdzie indziej powoływał obowiązek.

Nie wiedział on, dlaczego Kaliksta zanesiono do tego ohydneho domu, spieszył tym bardziej, że chciał go stamtąd wyrwać co najprędzej, a przenieść do siebie.

Z tymi myślami, choć ulice nocą przechodzić nie bardzo było bezpiecznie, co mnogie poświadczały trupy, szablę w rękę wzięwszy, major się puścił w imię Boże.

Jak przeszedł całą tę ogromną ulicę, pustą naówczas i tylko przez spłoszone oddziały przebieganą, sam nie wiedział. Wiódł go instynkt jakiś raczej niż umysł przytomny. Stanąwszy u zamkniętej bramy, usiłował dom rozpoznać, nie będąc pewnym, czy dobrze trafił. — Drżał stary od przejmującego chłodu, ze wzruszenia — nie mając prawie siły zapukać.

Byłby może stał długo jeszcze, gdyby nie chłopak od Aramowicza, który po raz już czwarty czy piąty powracał do gniazda, przynosząc rozmaite banialuki, które dla majstra zbierał po ulicach od takich, jak sam był, łobuzów.

— A jegomość tu co robi? — zapytał, przysuwając się do niego.

— Ja?! nie wiesz, przyniesiono tu kogo rannego? szukam domu...

Chłopak, usłyszawszy niepewną jakąś odpowiedź, niedowierzająco podsunął się mu zajrzeć w oczy i milcząc począł się przypatrywać.

— To może o tym paniczu pan mówi, co to stał na górze?

— A przynieśliż go tu — jest? — podchwycił major.

— A przynieśli i jego, i starego Brennera, który już podobnoś umarł.

— Ja go widzieć muszę... tego młodego...

Namyślił się czeladnik i zapukał, obu pięściami bębniąc, wedle umowy, aby go poznano.

Noińska, stojąca już u furtki, natychmiast ją otworzyła. Chociaż noc była ciemna — poznała zaraz majora.

— A! Jezu miły! To pan! Mój Boże! Właśnie tu syna pańskiego niedawno przywieźli. Niebożatko... skaleczony, a co Brenner... temu się już skończyło. Niewielka szkoda — dodała cicho.

Stary, nie odpowiadając nic, co prędzej się przedarł przez furtkę i pospieszył na górę.

Nieznajomy ten człowiek, który nie pytając o nic, nie mogąc prawie przemówić, milczący wsunął się do pokoju, z szablą w ręku — przeraził naprzód wszystkich.

Małuska i kucharka nadbiegły, stanęły i zapomniały się zupełnie, zobaczywszy go, chciały uciekać zrazu. Postać żołnierska, broń, którą trzymał stary, odjęły im przytomność.

Major stał, oglądał się i zmięszany na słowo się zdobyć nie mógł. Oczy jego błędziły po pokoju. Nareszcie, jakby odzyskując straconą mowę — spytał cicho:

— Mój syn? mój syn?

Na ten głos Kalikst poruszył się na posłaniu wołając:

— Ojciec mój! ojciec...

Julia, która była przy umarłym, wstała i wybiegła.

Major zmierzył ją zrazu wzrokiem osowiałym. Znać było w tym wejrzeniu wrażenie, z jakim przychodził, lecz postać Julii, wyraz jej twarzy zbolalej, łzy, które po niej płynęły, załamane ręce, natychmiast prawie zmieniły usposobienie majora.

Należał on jeszcze do tego pokolenia, dla którego w jakimkolwiek bądź razie niewiasta była istotą,

której oszczędzać, szanować ją było obowiązkiem. Rozbroiło go to promieniste pięknoscia i szlachetnoscia oblicze, na którym ból straszny był wryty i jakaś duma razem.

Julia płakała po ojcu, ale zgon jego, który oczyszczał pamięć zmarłego, był pociechą razem, śmiercią tą mogła być chlubną...

Major spuścił głowę i milczący poszedł za ruchem jej ręki wskazującym mu łoże syna.

Julia z wolna szła za nim.

Stanąwszy przy Kalikście, chwytając rękę wyciągniętą ku sobie, stary rozplakał się głośno i nie mogąc powstrzymać, zapomniawszy o ranach, porwał go i uściskał.

Z pochyloną na piersi ojca głową — Rucki omdlał.

Rzucono się trzeźwić. — Major padł na krzesło i łzy mu płynęły, których oczy jego dawno nie znały.

Zaledwie oprzytomniawszy, Kalikst się zerwał wołając:

— Ojczy! wszak przy nas zwycięstwo?

Na to pytanie stary odpowiedzieć nie umiał, nie śmiał zaprzeczać, skinął głową.

— Winienem moje oswobodzenie... Brennerowi — dodał żywo Rucki — walcząc przy mnie i ze mną, był ranny.

Julia, która stała niedaleko, wśród ciszy — dodała poważnym głosem:

— Ojciec mój skonał przed chwilą.

Major podniósł się z siedzenia nagle, przystąpił do niej i wzruszony, jakby chciał za posądzenie niesłuszne się wypłacić, przyszedł uściskać jej rękę.

Kalikstowi usta się jakby uśmiechem otwarły. Zamilkli wszyscy i Julia z wolna wyszła z pokoju.

W tym momencie właśnie nadszedł dr Borzęcki powtórnie, znalazłszy jeszcze chwilę wolną czasu. Chciał opatrzyć bandaż Ruckiego, pospiesznie położone, a razem przynosił wiadomość, że nowy rząd został wybrany, Warszawa była w rękach powstańców, a księżę Konstanty z wojskiem usunął się do Mokotowa.

Major milczał, ani go to cieszyło bardzo, ani uspokajało o przyszłość; dopytywał tylko o syna, o którego wyzdrowieniu upewnił go lekarz, ręcząc, że nie ma niebezpieczeństwa, jeśli gorączka tylko przemienie spokojnie.

Stary, nie chcąc być ciężarem domowi w żałobie, zażądał syna przewieźć do siebie, okazało się to jednak na razie zupełnym niepodobieństwem. Mowy nawet o tym być nie mogło. Małuska, jak umiała,

ręczyła, iż tu na niczym zbywać nie będzie i pomimo smutnego położenia, w jakim byli, potrafią obowiązkowi względem chorego zadosyćuczynić.

Natychmiast posłano uproszonego chłopca od stolarza z kartką do o. Porfirego, prosząc, aby się zajął pogrzebem. Nierychło jednak bernardyn mógł się dostać, strwożony, na Świętokrzyską ulicę, a gdy nareszcie przybył, zdyszany, i ujrzał martwe zwłoki, rozplakał się klękając do modlitwy.

Julia miała dosyć męstwa, aby się zaraz zająć pogrzebem. Chciała, by był tak wspaniałym, jak tylko być mógł, i żeby mówił za umarłym jako za ofiarą, co życiem opłaciła swą skruchę i poświęcenie. Uczyniono też, co tylko było można, aby trumnę palmami okrytą ukazać oczom, a pogrzeb świetnym uczynić; ale umysły zbyt były zajęte, rozgorączkowane, wypadki świeże, losy niepewne, ażeby obrzęd żałobny ściągnął wielu. Zebrało się kilkadziesiąt osób, poszedł major, do konduktu ofiary przyłączyło się trochę tłumu w ulicach, lecz wszystkich niepokoiło jeszcze zbytnio, co się stanie, nikt nie miał czasu zajmować się nieboszczykiem.

Oddano mu sprawiedliwość, rehabilitowano pamięć, lecz nazajutrz nikt nawet nie wspomniał o nim. Julia przywdziała żałobę i choć żałowała ojca, zniosła stratę mężnie.

Wróciwszy z pogrzebu, weszła do pokoju, w którym leżał Kalikst, stanęła u jego łoża, wyciągnęła rękę ku niemu i rzekła:

— Teraz — jednego ciebie mam na świecie...

\* \* \*

W kilka miesięcy potem kamienica przy ulicy Świętokrzyskiej tak się zmieniła jak fizjognomia całej Warszawy. Kto ją widział w owe czasy upojenia, nigdy przeżytych w niej godzin nie zapomni. Były zaprawdę Kasandry\*, co temu rozmarzeniu heroicznemu smutny już naówczas koniec wróżyły. Chłopicki stawał na placu boju z rodzajem obojętności, jakiej wodzowi mieć się nie godziło, i gdy go przestrzegano, że wybrał złe miejsce — odpowiedział zimno:

— *Toute place est bonne pour se faire tuer*\*. (Historyczne).

Inni też szli dla czci swej, w imię obowiązku, bez wiary — ale nie było może i jednego człowieka, co by, choć na krótko, nie dał się unieść ogarniającemu wszystko zapałowi, co by się choć nie uśmiechnął i nie zapłakał z radości.

Ci sami, co dnia 29 listopada w nocy, przerażeni katastrofą, błagali o pokój i przejednanie — dziś stawali na czele, bili się, dzielili losy narodu — i gotowi byli dzielić klęski jego.

Chłopicki, który długo po wybuchu się ukrywał, Skrzynecki, co się ofiarowywał w. księciu na usługi, Zamoyski\*, co pragnął stłumienia rewolucji, nie wahając się doradzać środków gwałtownych

Konstantemu — stali w szeregach, ofiarowali życie z poczucia obowiązku, bez przekonania, że wywalczą lepsze losy. Powtórzyć to godzi się jako charakterystykę chwili i epoki. Cierpieć razem, walczyć razem, ginąć razem, było hasłem wszystkich z wyjątkiem tych, co nigdy do nikogo nie należeli prócz własnego interesu, co w tej całości żywej byli członkiem martwym i umarłym.

W ulicach brzmiały już pieśni nowe jak skowronki zwiastujące wiosnę, szczekała broń — w sercach rosły nadzieje.

I w kamieniczce też wyglądało teraz inaczej.

Pierwszy Aramowicz, co się lękał wprzód nosa na ulicę pokazać, przypiął ogromną kokardę narodową i stał się najzapalczyszym patriotą. Cała czeladź jego poszła do wojska.

Wisus Józiek mimo łez mamy Matusowej, u której był jedynakiem, uparł się — kopnął z domu i przyszedł na pożegnanie w takim paradnym mundurze, takim chwatem, z taką miną, iż co żyło w domu, zbiegło mu się przypatrywać. Matusowa zobaczywszy, że z niego takiego żołnierza zrobiono, o mało nie zemdląła — i z radości, i ze strachu. Agatce biło serce okrutnie, czerwieniły policzki, ale teraz niewdzięczny chłopak prawie na nią nie patrzył i nazywał ją „smarkatą”. Poczęła go od tego dnia nienawidzić, a serce, na złość niewiernemu, wnet ofiarowała innemu, który prócz innych zalet i statku\* miał porządne wąsy. A na tych właśnie Józkowi zbywało i choć się golił starannie — nie rosły.

U Noińskich portret Kilińskiego w konfederatce wisiał, otoczony kwiatami, nad kanapą; on i ona o niczym prawie nie mówili jak o polityce, w której znakomitej nabyli biegłości.

Noińska była najmocniejszego przekonania i na to gotową była przysięgać, że Chrancuzy przyjdą w pomoc, a Anglia — tylko co nie widać — flotę na Bałtyk wysłać musi. O tym, kto by innego był zdania, nie można było się z nią sprzeczać. Skakała do oczów.

Za Turka także ręczyła najmocniej. Frycka ubrano w czerwoną konfederatkę. Sam Noiński, z powodu, że za rewolucji Kilińskiego parę razy wieszano, głośno się z tym oświadczył, iż póty dobrze nie będzie, póki wszystkich szelmów, zdrajców nie wywieszają. Co się tyczy osób tak kwalifikowanych, niejasno się tłumaczył, ale posądzał u góry niemal wszystkich, że się „z kimś wachają”.

Dygasowi rewolucja nie tyle posłużyła: naprzód z karności mu się wyłamywano, stracił na powadze dużo, a z rozpacz zaczął pić i przebierał miarę. Chłopcy się z niego śmiali, że gdy wieczorem do domu powracał, zawsze ulicę wszerek rozmierzał i ścian musiał się niekiedy trzymać.

Humor mu się też popsuł i pesymistą był takim, że w cztery oczy z pewnymi osobami prorokował powrót Konstantego, nawet gdy go już na świecie nie było. W śmierć jego wierzyć nie chciał; gdy mu o niej mówiono, rękę podnosił śmiejąc się i mrucał:

— Ale — ale — umarł! Taka to prawda! Zaczaili się z nim! Ano zjawi się on wam w porę z bizunem\*! zjawi!

Na pierwszym piętrze smutno też było — cicho — wszyscy się skupiali około łóżka chorego. Chodzono na palcach. Ciocia Małuska stała się prawdziwą siostrą miłosierdzia. Julia siedziała albo przy rannym, albo pod jego drzwiami. Ojciec przychodził co rana, rzadko się oddalał, ale choć pragnął wynieść go z tego domu, bo mu wdzięczność dla niego ciążyła — doktor Borzęcki nie pozwalał.

Zmuszony do codziennego spotkania się i obcowania ciągłego z panną Julią, major, choć zawsze nie bez pewnego uprzedzenia i obawy — z wolna musiał się z nią pogodzić, przywiązać do niej i z myślą tą przejednać, że będzie jego synową.

Julia nie posługiwała się żadnymi nadzwyczajnymi środkami dla pozyskania sobie tyle majora — była sobą tylko, ujęła go sercem, szlachetnością charakteru, prostotą i szczerością więcej niż wdziękami.

Jak tylko rany się goić zaczęły, Kalikst nie marzył, nie mówił o niczym, tylko o wstąpieniu do wojska. Nadeszła godzina, gdy dom ten trzeba było opuścić — Julia płakała ukradkiem, a wstrzymywać go nie śmiała. Miłość tak dziwnie poczęta, tak okrutnie przerwana, odrodzona wśród cierpień, wzruszeń, ogólnego podniecenia i egzaltacji, które na rozwinięcie uczuć wpływały — miała też cechy tej chwili, jej piętno właściwe. Nie była to miłość powszednia dni życia spokojnych, normalnego trybu — ale namiętność, którą słońce rewolucyjne ożlacało i rozpalało.

Gdy Kalikst zażądał iść na wojnę, Julia nie rzekła słowa, do ofiary tej była gotową — on kochał, lecz czuł, że życie winien był stawić na ofiarę dla kraju. Nadeszła chwila rozstania, Kalikst mężnie uścisnął jej rękę, a zobaczywszy łzy na oczach, począł udaną wesołością nadrabiać. Julia mu się zza łez uśmiechnęła.

— Idź — rzekła — wstrzymać się nie godzi — nie mogę i nic chcę. Wierzę w Opatrzność, jestem fatalistką: co się ma stać, to się stać musi, co przeznaczone, to nieuniknione. Pamiętaj, że ja żyję tobą, w tobie i że, choć nas ślub nie połączył, ja czuję się związaną i pozostanę ci wierną na zawsze. Wiem i wierzę, że mi dotrzymasz słowa.

Oczyma łzawymi spojrzeli ku sobie. Kalikst wyszedł, ona padła na krzesło i modliła się po cichu.

Wojna! straszne słowo! Pożegnanie to mogło być ostatnim. Czuli to oboje.

Ubrana skromnie, zamknięta w domu, Julia żyła już tylko wiadomościami z placu boju. Kilka razy Kalikst zjawiał się wysłańcem w Warszawie, zdrów, wesół, ogorzały, roznamiętniony i najlepszych nadziei.

W parę miesięcy po ostatniej bytności Julia odebrała od niego list. Był lekko ranny, miał przybyć dla wyleczenia się do Warszawy. Cięty był, jak pisał, pałaszem w rękę przez rosyjskiego dragona, a choć rana nie była groźną, wymagała dłuższej kuracji. Na tę wieść i stary major się zjawił w Warszawie. Dumny był swymi synami obu. Wprost przyjechał do Julii, która go jak ojca przyjęła.

Nadjechał Kalikst, blady trochę, z ręką na temblaku, ale wesół i szczęśliwy. Rana była daleko cięższą, niż się zrazu zdawała, pałasz sięgnął do kości, poprzecinał ścięgna, długo się leczyć trzeba



było.

— Ojczy — rzekł — żeby mnie było komu doglądać, czy nie czas by się ożenić? Wszak nic nie masz przeciwko temu?

— A żeń się, żeń — odparł stary — choć takiemu inwalidzie żona... nie w porę... Lecz jeśli ona ma ochotę przyjąć na siebie obowiązki siostry miłosierdzia, pobłogosławię chętnie.

Borzęcki, który był teraz lekarzem przy głównym szpitalu, życzył wziąć urlop i udać się za granicę. Żona miała doglądać walecznego kapitana, gdyż tego stopnia się dosłużył.

Cichutko rankiem odbył się ślub w kościele św. Krzyża, który dawał o. Porfiry w przytomności majora, brata pana młodego i szczupłej garstki przyjaciół. — W kilka dni potem państwo młodzi razem z ciotką Małuską ciągnęli na spoczynek do Drezna. Tu ich zaskoczyła straszna wieść o wzięciu Warszawy\*, której nikt zrazu wierzyć nie chciał — aż póki przybywający tłumnie z kraju dobrowolni wygnańcy jej nie potwierdzili.

Kalikst i żona jego już nie wrócili do kraju, pozostali na tym smutnym tułactwie, które i ich szczęście w samym rozkwicie zatrulo, i wiele innych żywotów i doli wtrąciło do grobu.

Noińska, gdy wszystko się skończyło, a przepowiednia Dygasa niemal sprawdziła, straciła ochotę i smak do życia. W alkierzu spędzała dni, milcząca, czasami tylko, gdy się jej usta otworzyły, ze łzami opowiadając o przeżytych chwilach, których pamięć była jej najdroższą.

Wszystko w jej przekonaniu zdrada, niepocziwość i pieniądze popsęły. O Francuzach i Anglikach wspomnieć nie mogła bez wzdrygnięcia. Konfederatkę Frycka schowano do kufierka, a portret Kilińskiego odwrócono do ściany, pokrywszy go św. Antonim, pod którym się go nikt nie domyślał. Noiński chciał go spalić, majstrowa na to nie dozwoliła.

Józiek poległ pod Grochowem\*, Matusowa nie o wiele go przeżyła. Maciek Wicher, ów czwartak ze wsi pana majora, bił się doskonale w ciągu całej wojny, kule go szczęśliwie mijały, płaszcz miał postrzelany, czapkę podziurawioną, plecy i głowę wyniósł całą. Dopiero pod Fischau\*, gdy dano ognia do biednych czwartaków, aby ich na łono prawowitej władzy napędzić — Maciek został rannym. Z zawiązaną ręką dostał się do Tobolska, a potem do komendy garnizonowej. Tu do r. 1841 przeżywszy jakoś, zyskał odstawkę i — jak sam mówił — w nagrodę za służbę płaszcz, ale bez guzików. Więcej trzynastu miesięcy podróżując pieszo, na ostatek dobił się do Morgowa i u progu zameldował smutnie schrypłym głosem. Ledwie go poznał stary major, który ogłuchł nieco i podupadł na zdrowiu. Przyjęto go serdecznie, zatrzymując przy dworze Zaraz nazajutrz poszedł szukać dawnej narzeczonej swej, Jagny, która była właśnie owdowiała przed rokiem a namyśliwszy się dobrze — z córką jej się ożenił. Jagna była mu już za stara — a Maciek miał wszystkie przymioty i wady czwartaków: wódkę lubił starą, kobiety wolał młode Major go chciał reflektować, że narzeczonej wiek zdał mu się dla żołnierza szpakowaciejącego niezbyt stósowny.

— To co jaśnie panie — rzekł Maciek — niby to pan major nie wie, jak te kobieciska biedne prędko starzeją. Za parę lat, zobaczy pan, będzie taka baba aż strach...

I poszli do ołtarza — z o dalszych ich losach milczą dzieje.

---

\* in ultima Thule (łac.) na krańcu świata (wyspa położona na pln. krańcach świata — z Wergiliusza, *Georgiki*, 1,30)

\* szaławila (z ukr.) — lekkoduch, wartogłów, urwipoleć

\* zarwanica — targowisko pełne rozgardiaszu, hałasu, zamętu i nieładu

\* traktier — forma niepoprawna, właśc: traktiernia (z niem.) — jadłodajnia, restauracja niższego rzędu

\* oficjalista (z łac.) — osoba zatrudniona przy zarządzaniu prywatnym majątkiem ziemskim

\* metr fr.) — nauczyciel (zwł. tańca, muzyki i języków)

\* Dmuszewski Ludwik Adam (1777–1847) — aktor, reżyser, dramaturg (głównie trudniący się przerabianiem i tłumaczeniem oper i sztuk scenicznych); od 1827 dyrektor Teatru Narodowego w Warszawie; długoletni (1822–1847) redaktor i wydawca „Kuriera Warszawskiego” (dziennik informacyjno–polityczny).

\* Elsner Józef (1769–1854) — kompozytor, pedagog (m.in. nauczyciel Chopina) i zasłużony organizator życia muzycznego; założyciel (1821) Instytutu Muzyki i Deklamacji (od 1826— Szkoła Główna Muzyki, zlikwidowana z upadkiem powstania listopadowego).

\* krescytywa (z łac.) — wyniesienie, kariera, wzrost znaczenia

\* Konstanty Pawłowicz (1779–1831) — wielki książę rosyjski, drugi syn Pawła I, od 1816 r. naczelny wódz armii polskiej w Królestwie, wprowadził bezduszną dyscyplinę wojskową; tłumił ruchy patriotyczne. W zasadzie otrzymał od cara Aleksandra przywileje wicekróla, a po poślubieniu w 1820 r. Joanny Grudzińskiej i zrzeczeniu się praw do tronu (jako mąż nierównej stanem osoby) władza jego w Królestwie jeszcze wzrosła. Po wybuchu powstania wycofał się z Warszawy z 6 tys. wojska na mocy układów z Radą Administracyjną.

\* Aleksander I (1777–1825) — cesarz rosyjski (od 1801) z dynastii Romanowów, syn Pawła I, uczestnik koalicji antynapoleońskich, inicjator Św. Przymierza. Złagodził ucisk policyjno–wojskowy i przeprowadził szereg reform, w sumie jednak wykazał chwiejność i połowiczność w działaniu. Tak samo niekonsekwentny i dwu–licowy okazał się w stosunku do Polaków. Na Kongresie Wiedeńskim wywalczył utworzenie Królestwa Polskiego (1815), przyjął tytuł jego króla, nadał mu liberalną konstytucję, czynił nadzieje na poszerzenie granic na Wschodzie, ale obietnic tych nie dotrzymał, czym wywołał powszechne niezadowolenie.

\* Nowosilcow Nikołaj N. (1761–1836) — polityk rosyjski; w młodości liberał, z czasem reakcjonista; przeciwnik odrębności Królestwa Polskiego; 1815–1830 komisarz pełnomocny przy

Radzie Stanu Królestwa; od 1824 — kurator wileńskiego okręgu naukowego (po Czartoryskim — zob.), doprowadził do upadku uniwersytetu w Wilnie; bezwzględny wróg polskich ruchów wolnościowych; organizator i kierownik tajnej policji w Królestwie.

\* korektywa (łac.) — poprawki w kodeksie, w ustawie; tu: w znaczeniu przenośnym

\* *neminem captivabimus nisi iure victum* (łac.) — nikogo nie uwięzimy bez wyroku sądowego (prawo nietykalności przyznane szlachcie przez Władysława Jagiełłę przywilejami z 1425, 1430 i 1433 r.)

\* Aksamitowski Józef Ignacy (1771–1827) — żołnierz Księstwa Warszawskiego, uczestnik kampanii napoleońskiej, w służbie Królestwa Polskiego awansowany na pułkownika. Od 1821 r. członek biura centralnej policji dla Warszawy i Królestwa — wraz z szefem żandarmerii, gen. Roźnieckim (zob.), naczelnikiem policji miejskiej, Lubowidzkim (zob.) i in.; jeden z gorliwszych współpracowników Nowosilcowa i zaufanych W. Ks. Konstantego.

\* Lubowidzki Mateusz (1787–1874) — wiceprezydent Warszawy i jeden z głównych dostojników policyjnych w Królestwie (naczelnik policji miejskiej i tajnej cywilnej, utrzymujący własnych agentów). Zausznik w. księcia Konstantego, oszust i chciwiec, znieawidzony przez Polaków. Raniony 29 listopada 1830, zbiegł do Wrocławia.

\* *zuchthaus* (niem.) — więzienie karne

\* *kocz* (z węg.) — dwu-, cztero- albo sześciokonny powóz czterokołowy, pół- lub kryty, zawieszony na łańcuchach, od XVI w. na pasach, od XIX w. resorowany

\* *falanga szpiegów* — Nienaturalną wszechwładzę policji tajnej i szpiegostwa w okresie rządów Konstantego tak charakteryzuje współczesny owym wydarzeniom historyk:

„Lecz szczególniejszym i najulubieriszym zatrudnieniem Konstantego była policja, policja tajna, szpiegostwo, podsłuchy, zbieranina wieści, plotek i bajek, i może nigdzie nie była tak liczna zgraja , donosicieli, jak u niego w Warszawie. Była policja polska i moskiewska, policja cesarska, książęca i rządowa, policja cywilna i wojskowa, policja Roźnieckiego, Kuruty, Lubowidzkiego i Bóg wie czyja. Była ona wszędzie: w mieście, na wsi, wśród wojska, wśród urzędników, wśród obywateli, wśród służących Szpiegował podkomendny swego dowódcę, podwładny swego przełożonego, sługa swego pana, zaufały swego przyjaciela, kochanka swego ulubionego, żona męża. Trąd ten wszędy grasował, tak nikło zaufanie, rwały się wszelkie stosunki i ogniwa, nie było bezpieczeństwa ani spokojności, bo groźba i postrach prześladowania zawisły nad wszystkimi, a więzienia i twierdze zaludniły się ofiarami (...) Konstanty kazał szpiegować nawet i swoją rodzinę, szpiegował cesarza, wielkich książąt, ich żony, wysyłał w różne strony agentów, przejmował korespondencje, zdejmował kopie Po ucieczce z Warszawy w mieszkaniu Konstantego znaleziono na to dowodów bez liku” (S Barzykowski, *Historia powstania listopadowego*, Poznań 1883, t I, s 93)

\* *Makroty* — Było dwóch szpiegów tego nazwiska: ojciec — Tobiasz Macrott, z zawodu fryzjer, słynny szpieg ambasady rosyjskiej z 1794 r., pełniący te same funkcje po upadku powstania

kościuszkowskiego i po powrocie Rosjan w 1813 r., i syn — Henryk Macrott, który znacznie przerósł ojca talentem szpiegowskim, najzręczniejszy agent tajny w Królestwie, dysponujący samodzielnym biurem (gdzie zatrudniał własnego ojca). Tobiasza Macrotta powieszono w noc 29 listopada 1830; Henryk, więziony przez cały okres powstania, zginął tą samą śmiercią w sierpniu 1831.

\* Jurgaszko Jakub — kapitan żandarmerii rosyjskiej w Królestwie Polskim

\* Birnbaum Józef Mateusz (Joel Mojżesz, 1798–1831) — warszawski kupiec i szpieg, zaufany M. Lubowidzkiego (zob.) i gen. Roźnieckiego (zob.). Tropił organizacje akademickie oraz defraudacje wśród kupców, dopuszczając się ogromnych nadużyć; zarządzał więzieniem na ratuszu oraz biurem najmu służących. Znienawidzony za znęcanie się nad więźniami oraz terroryzowanie kupców, zawisł na latarni w sierpniu 1831.

\* Staszic Stanisław (1755–1826) — uczony, działacz i pisarz polityczny, ksiądz; rzecznik reform społecznych w okresie Sejmu Czteroletniego (*Przestrogi dla Polski*), po rozbiorach działacz gospodarczy i organizator życia naukowego, m.in. prezes Towarzystwa Przyjaciół Nauk (od 1808); prowadził badania w zakresie geologii (*O ziemiórództwie Karpa ów...*)

\* Kochanowski — kamerdyner w. ks. Konstantego, majordomus (marszałek dworu), który wraz z kamerdynerem Friesem ratował Konstantego w noc listopadową.

\* todreśnik (gwar.) — przemytnik wódki

\* Kuruta Dymitr (1770–1838) — Grek z pochodzenia, generał piechoty rosyjskiej, dowódca korpusu gwardii i przybocznego sztabu, zastępca w. ks. Konstantego jako naczelnego wodza; jego nieodstępny towarzysz i faworyt. Kierował prawie całą akcją szpiegowską w Królestwie oraz zarządzał osobnym biurem, lustrującym korespondencję ministrów i konsulów zagranicznych. Korzystał z wielu nielegalnych dochodów i nadużyć publicznych.

\* modus vivendi (łac.) — współżycie (głównie państw, ugrupowań) oparte na (tymczasowym) kompromisie (ugodzie), bez rozstrzygania zasadniczych problemów spornych

\* Chłopicki Józef Grzegorz (1771–1854) — uczestnik powstania Kościuszkowskiego, Legionów Polskich, kampanii napoleońskiej, oficer wyróżniający się męstwem, karnością i służbistością. W 1809 r. w uznaniu zasług i zdolności awansowany na generała brygady, otrzymał od Napoleona tytuł barona. W armii Królestwa Polskiego pełnił funkcję dowódcy dywizji, po zatargu z w. ks. Konstantym podał się w 1818 do dymisji, co rozstawiło i tak głośne jego nazwisko. Toteż członkowie tajnych związków starali się pozyskać go jako wodza przyszłego powstania. Chłopicki był jednak zdecydowanym przeciwnikiem jakiegokolwiek akcji przeciw Rosji. Po wybuchu powstania (który zaskoczył go faktycznie w teatrze „Rozmaitości”), nie chcąc być zamieszany w rozgrywające się wydarzenia, zrazu ukrył się i dopiero wskutek perswazji grona wpływowych osób, chcących jak najprędzej stłumić rewolucję, przystał na przyjęcie dowództwa i ogłosił się dyktatorem. Związany z kołami konserwatywnymi, wstrzymywał przygotowania wojenne, prowadził rokowania z carem, dążąc do likwidowania ruchu zbrojnego. Unicestwił w ten sposób realne szansę powstania.

\* wist (z ang.) — dawna gra w karty talią 52-kartową na cztery osoby grające parami, oparta na licytacji i rozgrywce (jej rozwinięciem był wint, a odmianą — brydż)

\* sybarycki (sybarycki — gr.) — lubujący się w zbytku i przyjemnościach (od mieszkańców Sybans, starożytnego miasta greckiego w płd. Italii, słynącego z zamiłowania do uciech i luksusu)

\* wspomnienie 1794 r. — tzn. insurekcji Kościuszkowskiej

\* Łukasiński Walerian (1786–1868) — żołnierz Księstwa Warszawskiego, uczestnik kampanii napoleońskiej, major 4 pułku piechoty w armii Królestwa Polskiego. Współzałożyciel wolnomularstwa narodowego (1819), które przekształcił w Narodowe Towarzystwo Patriotyczne (1821). Aresztowany w 1822 r. i skazany na 9 lat ciężkiego więzienia. Za bunt i ucieczkę z twierdzy zamojskiej zdwojono mu karę. Od 1827 r. potajemnie więziony w koszarach wołyńskich; po wybuchu powstania listopadowego wywieziony do twierdzy szlisselburskiej, gdzie spędził resztę męczeńskiego życia.

\* Czartoryski Adam Jerzy (1770–1861) — mąż stanu, mecenas literatury i nauki, autor pism politycznych i literackich. Minister spraw zagranicznych Rosji (1804–1806), kurator polskich zakładów naukowych w okręgu wileńskim (1803–1824), rozbudował sieć szkolnictwa. Zwolennik związku Polski z Rosją, usiłował zjednoczyć Polaków w okresie wojen napoleońskich pod berłem Aleksandra I, po jego śmierci — w Królestwie Polskim — jeden z przywódców legalnej opozycji konserwatywnej przeciw antypolskiej polityce Mikołaja I. Po wybuchu powstania listopadowego wszedł do kolejnych jego władz, przeciwstawiał się nadaniu walce wyzwolenczej charakteru rewolucji: początkowo liczył na kompromis z carem, potem na interwencję dyplomatyczną mocarstw zachodnich. Skazany przez rząd carski zaocznie na śmierć. Na emigracji przywódca opozycji konserwatywnej, zwanej od jego siedziby — Hôtel Lambert.

\* Joanna księżna łowicka — słynna z urody hrabianka Grudzińska (1799–1831), druga żona w. ks. Konstantego. Po ślubie (1820) car Aleksander nadał bratu dobra łowickie, a Joannie tytuł księżny łowickiej.

\* Potocki Stanisław (1776–1830) — uczestnik powstania 1794 r., żołnierz armii Księstwa Warszawskiego; po utworzeniu Królestwa Polskiego mianowany generałem i senatorem-wojewodą. Popularny i lubiany w Warszawie, powszechnie nazywany „Stasiem”, uważany za prawdziwego patriotę, był przeznaczony przez Związek Wojskowych na wodza powstania w razie odmowy Chłopskiego. Jednak Potocki, zdecydowanie przeciwny rewolucji, pozostał w noc listopadową wierny Konstantemu. Odrzucił prośby podchorążych i został śmiertelnie ranny, gdy zgodnie z rozkazem w. księcia odwodził od udziału w powstaniu 5 pułk piechoty.

\* Pod Białym Orłem siadywano... pod Orła Białego szedł... — tzn. w więzieniu ... do więzienia...

\* odwach (z niem.) — siedziba warty głównej garnizonu wraz z biurami komendy i aresztem; areszt; wartownia; straż; warta

\* Lubecki–Drucki Ksawery (1778–1846) — konserwatywny polityk, zwolennik orientacji rosyjskiej. Jako minister skarbu zlikwidował deficyt budżetowy Królestwa i podniósł dochody skarbu, bezwzględnie ściągając podatki i wprowadzając nowe; rozwinął przemysł, ale zaniedbał rolnictwo. Inicjator założenia Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego i Banku Polskiego. Przeciwnik powstania listopadowego, od 1832 r. w służbie carskiej.

\* Newachowicz Leon (1778–1831) — finansista; rosyjski kupiec i dzierżawca monopoli (tytoniowego i podatku konsumpcyjnego od spożycia trunków i uboju) w Królestwie Polskim. Rozległe stosunki z biurokracją carską i przychylność Nowosilcowa ułatwiły mu zdobycie olbrzymiej fortuny; w środowisku warszawskim był zniechęcony, do czego przyczyniło się jego uprzywilejowane stanowisko, przesadna służbistość i dokuczliwe rewizje na rogatkach miasta.

\* Żółkowski Alojzy Fortunat (1777–1822) — aktor teatru Narodowego, znakomity komik, komediopisarz, tłumacz, redaktor pism humorystycznych („Momus”).

\* Rautenstrauch Józef (1773–1842) — generał, członek i sekretarz ustanowionej w 1826 r. niekonstytucyjnej Komisji Śledczej (5 Polaków, 5 Rosjan), która po roku zakończyła swą działalność szczegółowym niechlubnym raportem sporządzonym przez jej sekretarza, zalecającym oddanie pod sąd 8 członków tajnego Narodowego Towarzystwa Patriotycznego,

\* żandarmi (...) wieźli ich do Modlina lub Zamościa — tzn. do więzienia (cytadeli) w wielkich twierdzeniach wojskowych

\* Szkoła Podchorążych Piechoty — założona w 1815 r. przez w. ks. Konstantego. Mieściła się w jednej z dawnych oficyn dworskich pałacu Łazienkowskiego. Była ulubioną instytucją księcia, miała wg jego metody wychowywać nowe kadry oficerów, by zastąpili niekarnych i zbyt pewnych siebie starych napoleończyków.

\* Liceum Królewskie Warszawskie — 6-klasowa wzorowa szkoła średnia, założona na wniosek i staraniem Towarzystwa Przyjaciół Nauk, otwarta w 1805 r.; jej organizatorem i rektorem był Samuel Bogumił Linde. Liceum mieściło się w pawilonach pałacu Saskiego przy Krakowskim Przedmieściu, w 1816 przeniesione do pałacu Kazimierzowskiego przy tejże ulicy. Istniało do 1831 r.

\* Krasieński Wincenty (1789–1858) — ojciec Zygmunta, generał, zasłużony żołnierz napoleoński, pozostał w armii Królestwa, senator–wojewoda. Prowadził jeden z najsłynniejszych salonów literackich w Warszawie. Stracił popularność głosząc samotnie na Sądzie Sejmowym w 1827–1828 r. (zob.) za karą śmierci dla członków Towarzystwa Patriotycznego. Konserwatysta, stronnik i gorliwy wykonawca polityki carskiej; przeciwnik powstania listopadowego.

\* Malczewski Antoni (1793–1826) — poeta; autor *Mani*, pierwszej w Polsce powieści poetyckiej. Wydana 1825, osnuta na tle autentycznego wydarzenia (tragiczne małżeństwo i śmierć Gertrudy Komorowskiej), niedoceniona za życia autora, „odkryta” przez M. Mochnackiego i M. Grabowskiego (zob.), wywarła silny wpływ na romantyzm polski i zapoczątkowała ukraińską szkołę poetów (zob. Ukraińcy).

\* Mickiewicza ballady — utwory z cyklu poetyckiego pt. *Ballady i romanse*, powstałe w Wilnie 1818—1821, ogłoszone wraz z *Wierszami różnymi* w I tomie *Poezji* w Wilnie w 1822. Tematyczne i stylowe nawiązanie do folkloru zadecydowało o nowatorstwie ballad. Rok wydania zbioru przyjęto powszechnie za datę przełomu romantycznego.

\* Scott Walter sir (1771–1832) — szkocki poeta i powieściopisarz, którego proza wywarła wielki wpływ na romantyzm europejski; twórca powieści poetyckiej i nowożytnej powieści historycznej. Powieść *The Monastery* {*Klasztor*} powstała w 1820 r.

\* «Klasztor» Waltera Scotta — zob. Scott Walter i Goszczyński Seweryn

\* Goszczyński Seweryn (1801–1876) — poeta i działacz polityczny, przedstawiciel rewolucyjnego romantyzmu (tzw. liryki humanistyczne, *Zamek kaniowski*), jeden z twórców szkoły ukraińskiej i inicjatorów tematyki tatrzańskiej. W 1830 r. jako członek tajnego związku należał do grupy cywilnych spiskowców, którzy 29 listopada dokonali napadu na Belweder. Po upadku powstania przebywał częściowo na emigracji, częściowo w Galicji. Faktycznie tłumaczył I tom romansu Waltera Scotta pt. *Klasztor* (zob.)

\* szumerować — służyć za szumera, tzn. za przyzwoitkę

\* bywać w Bywalicach — zwrot przysłowiowy: być bywałym

\* ofuknąć się — odciąć się z gniewem, odburknąć, obruszyć się

\* konsyderować (z łac.) — uważać, być ostrożnym, oględnym, rozważnym

\* rajfurzyć (z niem.) — stręczyć; tu: pośredniczyć

\* argusowe oko — czujne, baczne, podejrzliwe (Argus — czujny strażnik; w mitologii greckiej Argos — stuoki olbrzym)

\* klasycyzm warszawski (inaczej: klasycyzm postaniśławowski; pseudoklasycyzm) — ogół zjawisk literackich w pierwszym 30-leciu XIX w., skupiających się głównie w Warszawie i Wilnie, stanowiących kontynuację klasycystycznych tendencji doby stanisławowskiej; kierunek schyłkowego oświecenia (odwoływanie się do wzorów antycznych, głównie rzymskich, obrona jasności i czystości języka, rygorystyczne przestrzeganie prawideł poetyki klasycyzmu).

W pierwszych latach Królestwa wśród klasyków powstały różnice w stosunku do rodzących się tendencji preromantycznych. Postawę nieprzejednaną reprezentowali: K. Koźmian (zob.), L. Osiński, S. Potocki (zob.), Jan Śniadecki; bardziej otwartą: F. Morawski (zob.), J. U. Niemcewicz (zob.). W latach dwudziestych XIX w. różnice te zaostrzyły się w okresie sporu romantyków z klasykami (zob.).

Wokół klasycyzmu warszawskiego z biegiem lat narastała niechętna mu legenda; przyczynił się do tego m.in. polemiczny wstęp Mickiewicza do petersburskiego wydania jego poezji w 1829 r. (O

*krytykach i recenzentach warszawskich* — zob.) i słynna scena *Salon warszawski* z III cz. *Dziadów*, wyraziło się to też m.in. w terminie „pseudoklasycyzm”. Kraszewski w niniejszej powieści również wygłasza zbyt ostry sąd o klasykach. W rzeczywistości, choć bronili oni przebrzmiałych ideałów politycznych i estetycznych, odegrali także rolę pozytywną (podniesienie poziomu krytyki literackiej i teatralnej; zasługi dla rozwoju dramatu narodowego, sztuki reżyserskiej i aktorskiej; troska o język, co w warunkach zaborów stanowiło szczególną wartość).

\* Mickiewicza pismo do krytyków warszawskich wystosowane — pamflet na środowisko literackie, na zaściankowość i dogmatyzm myśli estetycznej i krytyki literackiej późnego oświecenia w Polsce, powstały w Petersburgu w 1828 i tamże wydany w 1829 pt. *Do krytyków i recenzentów warszawskich* — jako polemiczna przedmowa, poprzedzająca zbiór napisanych w Rosji utworów (*Poezje*, t. I–II).

\* (spierano się o) romantyzm i klasycyzm — spór literacki, a także filozoficzny i estetyczny o wyraźnym zabarwieniu politycznym, toczący się w okresie Królestwa Polskiego, głównie w Warszawie i Wilnie między ostatnim pokoleniem pisarzy i teoretyków oświecenia a pierwszym romantyków. Prowadzono go w korespondencji prywatnej, w kawiarniach i salonach literackich, w wykładach uniwersyteckich; formułowano często sądy ostre i niesprawiedliwe. Decydujące znaczenie miały wystąpienia w warszawskiej prasie. Zarysowały się 4 odmienne stanowiska: 1) zdecydowanych obrońców estetyki i poetyki klasycyzmu (zob.), którzy w romantyzmie widzieli zagrożenie zdobyczy oświecenia (K. Koźmian — zob., L. Osiński, Jan Śniadecki); 2) równie zdecydowanych zwolenników romantyzmu (M. Mochnacki, M. Grabowski — zob., i in.); 3) rozjemców dążących do kompromisu (A. J. Czartoryski, F. Morawski, J. U. Niemcewicz — zob.); 4) własne koncepcje literacko–narodowe K. Brodzińskiego (zob.). W latach 1822–1824 spór przygasł (perturbacje w politycznym życiu kraju). W 1825 — ożył w programowych wystąpieniach w prasie: w „Dzienniku Warszawskim” (M. Mochnacki), w „Astrei” (M. Grabowski), w „Bibliotece Polskiej” (F. S. Dmochowski i Lelewel). W 1829–1830 — wyraźnie się zaostrzył, przybierając coraz jawniej charakter walki ideowo–politycznej, dotąd kamuflowanej. Klasycy wywodzili się z kół liberalno–zachowawczych, romantycy z kręgów spiskującej młodzieży. W tej sytuacji zawiodły kilkakrotnie podejmowane próby pojednania (Morawski, Niemcewicz). Spór ów został przerwany, a zarazem zakończony wybuchem powstania listopadowego.

\* «Wiesława» słodki śpiewak — zob. Brodziński Kazimierz

\* Morawski Dzierżykraj Franciszek (1783–1861) — poeta (autor poematów i bajek), krytyk literacki, tłumacz; klasyk przychylny romantyzmowi (*Klasyki i romantycy polscy*). Żołnierz napoleoński, w armii Królestwa — generał. Uczestnik powstania listopadowego i członek rządu (minister wojny).

\* Koźmian Kajetan (1771–1856) — poeta, krytyk literacki i teatralny, przywódca i czołowy przedstawiciel obozu klasyków warszawskich (zob.), rygorystyczny obrońca klasycystycznej poetyki; uczestnik obiadów u gen. Wincentego Krasińskiego (z którym nie zerwał po Sądzie Sejmowym — zob.), nieprzejednany wróg romantyzmu (zwłaszcza Mickiewicza), przeciwnik akcji niepodległościowej (potępiony przez sejm powstańczy, 1830). Autor ód i poematów (*Ziemiaństwa polskiego*, wydrwionego przez Mickiewicza w III cz. *Dziadów*, co dziś wymaga rewizji, oraz



historycznego o Czarnieckim, utworu anachronicznego i martwego artystycznie), rozpraw i pamiętników.

\* Kawa Literacka — Kawiarnia Literacka, w której zbierali się literaci (kawa — dawniej m.in.: kawiarnia)

\* mecenasowie — tu: opiekunowie pisarzy, uczonych, artystów (od Caiusa Cilnusa Maecenas, przyjaciela i doradcy rzymskiego cesarza Oktawiana, opiekuna artystów i poetów)

\* apostołowie (z gr.) — tu: wysłańcy, zwolennicy, propagatorzy jakiejś idei

\* Brodziński Kazimierz (1791–1835) — krytyk i historyk literatury polskiej; poeta; nauczyciel, m.in. w Liceum Warszawskim, od 1822 profesor Uniwersytetu Warszawskiego. Liberal i słowianofil, powiedziało się za powstaniem 1830–1831 r. W sporze romantyków, z klasykami zajął stanowisko kompromisowe, postulował, by literatura polska wyrażała tkliwość i łagodność jako cechy narodowe Polaków (co wyśmiał Mickiewicz w III cz. *Dziadów*); autor idealizującej życie wiejskie sielanki *Wiesław* (1820), rozpraw literackich (*O klasycyzmie i romantyzmie*) i przekładów.

\* eklektyka (z gr.) — tu: dążenie do połączenia i pogodzenia ze sobą poglądów sprzecznych, elementów formy i treści różnych epok i kierunków artystycznych — klasycystycznych z romantycznymi

\* Lelewel Joachim (1786–1861) — wybitny uczyony i czołowy działacz ruchu demokratyczno-rewolucyjnego, historyk, numizmatyk i bibliograf; profesor uniwersytetu w Wilnie i w Warszawie. Podczas powstania listopadowego członek Rady Administracyjnej, później Rządu Narodowego i prezes Towarzystwa Patriotycznego (reprezentant skrzydła demokratycznego). Po upadku powstania emigrował.

\* Ukraińcy... dzieci Krzemieńca — tak Kraszewski nazywa młodych polskich literatów pochodzących z Ukrainy lub Wołynia, którzy ukończyli słynne Liceum Krzemienieckie — założone w 1805 r. (do 1819 p.n. Liceum Wołyńskie) przez historyka Tadeusza Czackiego (1765–1813); szkoła 10-letnia, od poziomu elementarnego do wyższego niż ówczesne szkoły średnie, zlikwidowana w 1831 r. (wznowiona w latach 1922–1939), stanowiła ważny ośrodek życia umysłowego.

\* Litwini ... wychowawcy Wilna — tak nazywa Kraszewski młodych polskich literatów, pochodzących z Litwy, studiujących na Uniwersytecie Wileńskim — w 1773 r. z kolegium jezuickiego przekształcony przez Stefana Batorego w Akademię Wileńską, od 1773 p.n. Szkoła Główna W. Księstwa Litewskiego, po rozbiorach: Uniwersytet Wileński, zamknięty w 1832 r. (wznowiony w latach 1919–1939 jako Uniwersytet Stefana Batorego, od 1939 Uniwersytet Litewski); w latach 1802–1832 przeżywał okres świetności i odegrał znaczną rolę w dziejach kultury i nauki; był również ośrodkiem patriotycznych związków młodzieży.

\* Mikołaj I (1796–1855) — trzeci syn Pawła I, car rosyjski od 1825; zwany „żandarmem Europy” — stłumił powstanie dekabrystów w Rosji (1825) i powstanie listopadowe w Polsce, w 1848

interweniował przeciw rewolucjom europejskim.

\* duo (wł.) — utwór instrumentalny (np. sonata) na dwa instrumenty

\* konsyliarz (łac.) — lekarz

\* bez daj racji — bez powodu, bez słuszności

\* ordynariusz (z łac.) — zwierzchnik duchowny (np. biskup na terenie swojej diecezji); (s. 44) celowo niewłaściwie użyte słowo, powinno być: ordynator (z łac.) — lekarz kierujący oddziałem szpitala

\* Dzieciątka Jezus (szpital) — jeden z najstarszych szpitali w Warszawie, zbudowany dla ubogich z ofiar prywatnych w 1762 r. przy ul. Szpitalnej staraniem francuskiego misjonarza, ks. Gabriela Piotra Baudoina (1689—1768), pod nazwą Generalny Szpital im. Dzieciątka Jezus.

\* humory (z łac.) — tu: płyny organiczne, soki organizmu (limfa, krew)

\* posiwieć — tu: zbieleć

\* Lewicki — Lewickij, generał wojsk rosyjskich, gubernator wojenny Warszawy; szef wojskowy policji tajnej, powszechnie znieawidzony za swą działalność. W noc 29 listopada działał z energią, usiłując opanować sytuację w mieście i stłumić powstanie.

\* Gendre Aleksy — generał–major wojsk rosyjskich ze świty w ks. Konstantego Donosiciel, szpiegujący w Belwederze na własną rękę, nadto pomocnik gen. Fenshave zarządzającego osobnym wydziałem przybocznej policji Konstantego Zabity 29 listopada 1830 podczas napadu na Belweder

\* Blumer (O'Blumer) Ignacy (1773–1830) — generał, uczestnik powstania Kościuszki, o chwalebnej przeszłości w czasach napoleońskich; w Królestwie Kongresowym stał się narzędziem w. księcia w sądownictwie wojskowym, za co był powszechnie znieawidzony. Zginął w noc wybuchu powstania, gdy usiłował odwieść od udziału w ruchu żołnierzy 5 pułku liniowego.

\* kirysjerzy — kirasjerzy (z fr.), ciężka kawaleria uzbrojona w kirysy (część zbroi płytowej złożonej z napierśnika i naplecznika), ciężkie szpady i pistolety, utworzona w XVII w., w XVIII i XIX używana do decydujących uderzeń w szyku zwartym

\* Jej — Bohu! (ukr.) — dalibóg!

\* *Charme de vous voir, Monsieur le Comte, a quoi suis-je redevable de l'honneur de votre presence?* (fr.) — Jakże mi miło pana widzieć, panie hrabio, czemu zawdzięczam honor oglądania pana?

\* *et cetera* (łac.) — i tak dalej

\* symplijusz (z łac.) — prostaczek, naiwny

\* muchy z nosa ciągnąć — podstępnie wyciągać informacje

\* Kamiński Jan Nepomucen (1777–1855) — aktor (do 1830), reżyser, pisarz i publicysta, dyrektor teatru polskiego we Lwowie (1809–1842), który dzięki jego działalności stał się ważną placówką kultury narodowej; autor ok. 80 sztuk, głównie przeróbek i tłumaczeń. Najbardziej znana z oryginalnych: *Zabobon czyli Krakowiacy i Górale*. „Zabawka dramatyczna ze śpiewkami” (nie: *Wesele krakowskie*, jak mylnie tytułuje Kraszewski), utwór inspirowany przez „śpiewogrę” Wojciecha Bogusławskiego (1757–1829) *Cud mniemany czyli Krakowiacy i Górale* (1794) i pomyślany jako jej kontynuacja (powst. 1815, premiera we Lwowie 1816, wyd. tamże 1821).

\* Rzewuski — prawdopodobnie Kraszewski ma na myśli Henryka Rzewuskiego (1791–1866), pisarza i publicystę z kręgów tzw. koterii petersburskiej (zob. Grabowski Michał), autora gawędy szlacheckiej *Pamiętniki Soplicy*, powieści historycznej *Listopad*.

\* Chłędowski Adam Tomasz (1790–1855) — publicysta i bibliograf; wydawca „Pamiętnika Lwowskiego”; od 1821 — bibliotekarz (po Lelewelu) w Bibliotece Publicznej w Warszawie, profesor bibliografii na Uniwersytecie Warszawskim oraz redaktor „Gazety Literackiej” (1821–1822), a potem dzienników urzędowych: „Monitor Warszawski” (1824–1828), i jego kontynuacji: „Dziennik Powszechny Krajowy” (1829–1831), który przekształcił w organ zwolenników powstania i romantyzmu. Czynny uczestnik spisku i powstania listopadowego, po jego upadku emigrował. Kraszewski mylnie przypisuje Chłędowskiemu wydawanie „Kuriera Polskiego” (1829–1831) — redagowali go: K. Bronikowski, A. Cichowski i M. Mochnacki. Obydwa te dzienniki stały się główną trybuną romantyków w ostatniej fazie walki z klasykami i idylliczną koncepcją narodowej literatury (zob. romantyzm i klasycyzm).

\* metamorfoza (gr.) — przeobrażenie się, przemiana, zmiana wyglądu zewnętrznego

\* stancja — izba, pokój

\* przyszły poeta i «Ducha czasu» i «Przenajświętszej Rodziny» — zob. Zaleski Józef Bohdan

\* autor „Wieczorów pielgrzyma” — zob. Witwicki Stefan

\* autor «Literatury i krytyki» — zob. Grabowski Michał

\* „Kuriera” redaktor — zob. Dmuszewski Ludwik Adam

\* rewolucja we Francji... rewolucja w Paryżu (s. 58, 65) — mowa o tzw. rewolucji lipcowej (27–29 VII) 1830 r. we Francji, która obaliła Karola X, a powołała na tron Ludwika Filipa I i zapoczątkowała okres konstytucyjnej monarchii burżuazyjnej.

\* Napoleon I ... San Domingo ... rok 1812 — przykładem okrucieństwa Napoleona Bonaparte (1769–1821), cesarza Francuzów, wobec Polaków ma być: 1) ekspedycja francuska wysłana w 1802

r. przeciw powstańcom murzyńskim na Santo Domingo (wyspa w Ameryce Środkowej, obecnie: Haiti), gdzie na rozkaz cesarza walczyły 2 półbrygady polskie z dawnych Legionów i większość polskich żołnierzy wyginęła; oraz: 2) rok 1812, tzn. data nieudanej kampanii Napoleona przeciw Rosji, gdzie wkroczył na czele Wielkiej Armii (złożonej w 2/3 z Niemców, Włochów, Polaków i Holendrów), która — mimo początkowych zwycięstw — zmuszona do odwrotu, uległa wyniszczeniu i zagładzie.

\* trąby, co obaliły Jerycho — wg Starego Testamentu (księga Jozuego 6, 20) trąby z rogów baranich, przy których dźwięku rozpadły się mury Jerycha, obleganego w XIII w. p.n.e. przez Jozuego, wodza Izraelitów, w czasie podboju ziemi Kanaan (Palestyny)

\* sceptyczny — niełatwowierny, krytyczny

\* Witwicki Stefan (1801–1847) — poeta, publicysta, urodzony na Podolu, kształcił się w Liceum Krzemienieckim, następnie na uniwersytecie w Warszawie, gdzie od 1820 pracował w Komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych. Przyjaźnił się z Chopinem, J.B. Zaleskim i in., na emigracji, po upadku powstania listopadowego, z Mickiewiczem, którego był naśladowcą. Autor *Piosnek sielskich* (1830— spopularyzowanych z melodiami Chopina i Moniuszki), *Poezji biblijnych* (1830) oraz publicystycznych *Wieczorów pielgrzyma* (1837–1842, wyd. rozszerzone 1844—1845), podejmujących z pozycji konserwatywnych obronę polskiej tradycji narodowej przed „cudzoziemszczyzną”.

Zaleski Józef Bohdan (1802—1886) — poeta; urodzony na Ukrainie, student Warszawskiego Uniwersytetu, członek konspiracyjnego Związku Młodych Polaków, uczestnik powstania listopadowego, członek Towarzystwa Patriotycznego; od 1832 na emigracji. Autor m.in. historiozoficzno—mistycznego poematu *Duch stepu* (1841) i poematu *Przenajświętsza Rodzina* (1841).

\* Grzymała Franciszek (1790–1871) — publicysta, poeta, redaktor pism literackich „Sybilh Nadwiślańskiej” (1821) i „Astrei” (1821–1825) Umiarkowany klasyk, sprzyjający młodym romantykom, autor jednej z pierwszych recenzji o poezjach Mickiewicza (przychylniej, ale utrzymanej w protekcyjnym tonie — z tej racji zaatakowanej przez poetę w głośnej przedmowie do petersburskiego wydania poezji (zob.) Podczas powstania listopadowego członek Towarzystwa Patriotycznego i oficer w czynnej służbie, po upadku insurekcji emigrował „Astrea” Grzymały, w kwestiach społeczno—gospodarczych zajmująca stanowisko bliskie liberalnej opozycji, w dziedzinie literatury — ugodowe, drukowała przedstawicieli różnych orientacji, więc również młodych romantyków, których Kraszewski wymienia w powieści (S Goszczyńskiego, M Grabowskiego, J B Zaleskiego — zob.) Nie wiadomo dlaczego przypisuje Grzymale „Gazetę Handlową” — czasopismo o całkowicie różnej od zainteresowań redaktora „Astrei” tematyce, a nadto nie istniejące w tym okresie (pismo pod takim tytułem ukazywało się dopiero w latach 1864–1905, pod redakcją R Okręta. Nieco wcześniej, od 1837 r., wychodziły „Wiadomości Handlowe i Przemysłowe”, przemianowane w 1842 r na „Gazetę Handlową i Przemysłową”, o nadal modyfikowanym tytule w ciągu następnych lat Pismo to, od 1853 r p.t. „Gazeta Rolnicza, Przemysłowa i Handlowa”, stało się dodatkiem do „Gazety Codziennej”, redagowanej m.in. przez Kraszewskiego w okresie 1859–1863)

\* nie odbity — tu: nieodzowny, konieczny

\* Szaniawski Józef Kalasanty (1764–1843) — filozof (propagator kantyzmu) i działacz polityczny; w powstaniu 1794 polski jakobin; w okresie Królestwa Polskiego prokurator generalny i kierownik cenzury; był członkiem Warszawskiego Tow. Przyjaciół Nauk, prezesem Tow. do Ksiąg Elementarnych. W swej działalności przeszedł znamiennej ewolucję ideologiczną: od haseł narodowowyzwoleńczych do wiary w posłannictwo Rosji.

\* *Podróż do Ciemnogrodu*, która była dziełem ministra — powieść Stanisława Kostki Potockiego (zob.)

\* Potocki Stanisław Kostka (1755–1821) — polityk, pisarz; współtwórca ustaw Sejmu Czteroletniego, współzałożyciel Towarzystwa Przyjaciół Nauk; zajmował się teorią sztuki, archeologią i architekturą. Piastował wiele godności publicznych. Od 1817 — minister Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego w Królestwie Polskim, rozbudował szkolnictwo, ograniczył wpływ kleru. Zwolennik zasad liberalnych, wyraziciel ideologii oświecenia, stworzył w *Podróży do Ciemnogrodu* (1820) obraz fantastycznego państwa, w którym panuje feudalna przemoc i ciemnota, co stanowiło wyraźną aluzję do sytuacji w ówczesnej Polsce. Utwór wywołał ostrą reakcję (zwłaszcza ze strony kleru), która doprowadziła do dymisji Potockiego ze stanowiska ministra (9 XII 1820) i mianowania Stanisława Grabowskiego (zob.).

\* Potockich i Czartoryskich pousuwać, a Nowosilców, Grabowskich ... w miejsce ich postawić — mowa o Stanisławie Kostce Potockim (zob.), Adamie Jerzym Czartoryskim (zob.) N.N. Nowosilcowie (zob.) i Stanisławie Grabowskim (zob.).

\* Grabowski Stanisław (1780–1845) — syn naturalny Stanisława Augusta i Elżbiety Grabowskiej, zajmował wiele wysokich stanowisk w Księstwie Warszawskim, a zwłaszcza w Królestwie Polskim, m.in. od 1820 minister wyznań religijnych i oświecenia publicznego (po S K Potockim — zob.) Przedstawiciel obozu klerykalno-zachowawczego, popierany przez Aleksandra I i N N Nowosilcowa (zob.), wprowadzał do szkolnictwa ludzi o poglądach reakcyjnych, w szkołach — nadzór policyjny i zakaz wyjazdu młodzieży za granicę Znienawidzony przez społeczeństwo polskie

\* Niemcewicz Julian Ursyn (1757 lub 1758–1841) — pisarz, działacz polityczny (sekretarz Kościuszki 1794). W okresie Królestwa Polskiego poświęcił się wyłącznie pracy literackiej. Dotychczasowa działalność i pełne patriotyzmu utwory (m.in. komedia polityczna *Powrót posła* — 1791; *Śpiewy historyczne* — 1816) otoczyły jego imię czcią i uczyniły go wyrocznią dla młodzieży, wzorem nieugiętej postawy. W istocie Niemcewicz był przekonań umiarkowanych: ganiąc służalczość wobec zaborcy, za jedyną słuszną drogę postępowania uznawał legalną obronę swobód konstytucyjnych — działalność konspiracyjną potępiał. Po wybuchu powstania 1830 wszedł jednak do Rady Administracyjnej i Rządu Narodowego; w 1831 udał się z misją dyplomatyczną do Londynu; w 1833 osiadł w Paryżu.

\* serwilizm (łac.) — służalczość, uniżoność, płaszczenie się

\* Grabowski Michał (1804–1863) — krytyk literacki, publicysta i autor powieści historycznych

Brał udział w głośnym sporze romantyków z klasykami opowiadając się po stronie romantyków, sprzeciwiał się globalnemu potępieniu literatury klasycyzmu Przeciwnik konspiracji politycznej i zbrojnych wystąpień, trzymał się z dala od poczynań spiskowych Od 1830 r. osiadł na Ukrainie i stał się czołowym krytykiem obozu zachowawczego (tzw. koterii petersburskiej) Skrajny konserwatysta i ugodowiec w poglądach politycznych, swoje równie konserwatywne koncepcje estetyczno-literackie wyłożył m.in. w zbiorze *Literatura i krytyka* (t I–IV, 1837–1840)

\* Zajączek Józef (1752–1826) — generał; poseł na Sejm Czteroletni, uczestnik powstania 1794 r. (związany z jakobinami polskimi), Legionów i kampanii napoleońskich; od 1815 — namiestnik Królestwa Polskiego (1818 otrzymał tytuł ksiączęcy), przeszedł na pozycje uległości wobec Aleksandra I i w. ks. Konstantego.

\* Okołów (Okołow) Jerzy (zm. 1828) — wysoki urzędnik skarbowy w Księstwie Warszawskim i Królestwie Polskim. W czasie rządów przejściowych w latach 1813—1815 poznał się z N. Nowosilcowem (zob.) i z namiestnikiem Królestwa gen. J. Zajączkiem (zob.), stając się protegowanym obu tych dostojników; zajmował bardzo wysokie stanowiska w Ministerstwie Przychodów i Skarbu. Nie cieszył się zbyt dobrą opinią społeczną, posądzany o liczne nadużycia.

\* dykteryjka (z łac.) — anegdotka, krótkie żartobliwe opowiadanie, zabawna historyjka

\* sąd sejmowy — który odbył się nad aresztowanymi członkami tajnego Narodowego Towarzystwa Patriotycznego w 1827–1828 r.

\* coup de main(fr.) — nagły, gwałtowny atak, śmiałe przedsięwzięcie (dosł.: uderzenie ręki)

\* admonicja (łac.) — napomnienie, nagana

\* spencerek — zdrobnienie od spencer: krótka kurtka (od nazwiska angielskiego hrabiego, który ten strój wprowadził)

\* penaty — lary i penaty (z łac), sprzęty, ruchomości domowe; ognisko domowe, dom (Lares i Penates — w mitologii rzymskiej bóstwa opiekuńcze domu)

\* termedie — tu: sceny, historie

\* alias (łac.) — czyli, inaczej (zwany)

\* corpora delicti (łac.) — dowody rzeczowe przestępstwa

\* bakembardy — bakenbardy (z niem.), bokobrody

\* wyżka — rusztowanie z desek pod pułapem służące do spania; górka, piętro

\* brawować (z fr.) — nie liczyć się z niebezpieczeństwem, nierozważnie i niepotrzebnie narażać się, lekceważyć coś

- \* staje (stajanie) — dawna polska jednostka długości, różna, zależnie od czasu i miejsca (w XIX w. ok. 1066,8 m.)
- \* Kiliński Jan (1760–1819) — jeden z przywódców insurekcji warszawskiej 1794 roku; z zawodu szewc, pochodzący z mieszczańskiej rodziny z Trzemeszna, od 1780 osiedlony w Warszawie.
- \* ne widaju, ne znaju (ukr.) — nie widzę, nie wiem
- \* jak w rogu — zwrot przysłowiowy (jak tabaka w rogu), tu: o niczym nie wiedzieć
- \* cuchthaus (niem. *Zuchthaus*) — zob. zuchthaus
- \* beznosy — wielki książę Konstanty (zob.)
- \* pocięgie1 — rzemień, którym szewc, gdy kołkuje, przytwierdza sobie robotę do kolana
- \* dur — zamroczenie umysłu, obłąd
- \* aprensja — tu: forma celowo niepoprawna, właśc: aprehensja (z łac), niepokój, zmartwienie, lęk
- \* tarcica — materiał drzewny otrzymywany przez piłowanie kłód
- \* prochownia — tu: więzienie w dawnej prochowni w Warszawie
- \* iść do taczek — tzn. na zesłanie do ciężkich robót
- \* związek cywilno–wojskowy — w grudniu 1828 na terenie Szkoły Podchorążych (zob.) powstała z inicjatywy instruktora musztry, ppor. Piotra Wysockiego (1797–1875), tajna organizacja, w której skład obok podchorążych wchodziła grupa niższych oficerów garnizonu warszawskiego oraz grono młodych literatów i dziennikarzy, pochodzących przeważnie spoza Królestwa. Celem związku była kontynuacja ideologii rozwiązanego Towarzystwa Patriotycznego, tzn. podjęcie walki narodowowyzwoleńczej z caratem.
- \* inicjowany (z łac.) — wtajemniczony, wprowadzony inkwizytor (z łac.) — tu w znaczeniu przenośnym: sędzia śledczy
- \* (hr.) Tarnowski Marcin (1772–1862) — pułkownik wojsk polskich, uczestnik kampanii 1812; jeden z przywódców Narodowego Towarzystwa Patriotycznego, działający na Wołyniu; więziony 1826–1829, następnie oddany pod nadzór policyjny.
- \* książę Antoni J. — Antoni Jabłonowski (1793–1855), członek wolnomularstwa i Narodowego Towarzystwa Patriotycznego, z którego ramienia pertraktował z przedstawicielami Związku Południowego dekabrystów w Kijowie. Aresztowany 1826 po upadku powstania dekabrystów, złożył obszerne zeznania przed carem Mikołajem I, za co otoczono go powszechną wzdumą po powrocie z krótkiego pobytu na zesłaniu.

- \* sgraffito (wł.) — technika dekoracji polegająca na częściowym zdrapywaniu warstw — barwnych tynków albo glazur — dzięki czemu powstaje kolorowa kompozycja; ściana w ten sposób ozdobiona; tu: w znaczeniu przenośnym
- \* szyldwach (z niem.) — wartownik
- \* preliminaria (z łac.) — czynności (rozmowy, pytania) wstępne, przygotowawcze
- \* Ah! c'est comme cela!... bon: (fr.) — Ach! więc to tak!... dobrze!
- \* skryba (z łac.) — pisarczyk, dawniej: sekretarz
- \* Brutus Lucius Iunius (VI/V w. p.n.e.) — wg tradycji rzymskiej przywódca powstania przeciw Tarkwiniuszowi Pysznemu; po jego wypędzeniu (509) pierwszy konsul rzymski, słynny z niezłomności zasad.
- \* Scewola Mucjusz (VI/V w. p.n.e.) — legendarny bohater rzymski; schwytany, gdy usiłował zabić oblegającego Rzym króla Etrusków Persennę, włożył dłoń do ognia na dowód, iż nie lęka się tortur.
- \* Spartakus (?–71 p.n.e.) — gladiator rzymski, Trak; przywódca największego powstania niewolników w Italii (73–71) — krwawo stłumionego przez Krassusa.
- \* Kato(n) Starszy, zw. Cenzorem (ok. 234–149 p.n.e.) — rzymski mąż stanu, mówca i pisarz; obrońca starorzzymskich obyczajów. Kato(n) Młodszy, zw. Utyceńskim (95–46 p.n.e.) — polityk rzymski, prawnik i naśladowca Katona Starszego; wróg Cezara, po jego zwycięstwie pod Tapsus popełnił samobójstwo w Utyce (pn. Afryka).
- \* lacedemoński młodzieniec — Spartanin
- \* ekscytowany (z łac.) — podniecony, podrażniony
- \* maszczka (gwar.) — maska
- \* posyłka — w wojsku polskim przed r. 1830 wprowadzony przez w. ks. Konstantego rodzaj służby przybocznej, pełnionej przy wodzu naczelnym przez wyborowych żołnierzy
- \* blachmal (z niem.) — bielmo na oczach, mgła
- \* jeneral Kr. — prawdopodobnie mowa o gen. Wincentym Krasińskim (zob.)
- \* Szwajcar (Szwajcar, Szwajcar) Michał (1809–1871) — student prawa i oficer w powstaniu listopadowym; po klęsce — emigrant (rozstrzelany pod zarzutem uczestnictwa w Komunie Paryskiej).
- \* dantejskie duchy — mowa o scenach ze słynnego poematu wielkiego włoskiego poety Dantego



Alighieri (1265–1321) — *Boskiej komedii*, której akcja rozgrywa się w piekle, czyśćcu i raju (i tak też brzmią tytuły trzech części utworu).

\* bernach — bernardyn

\* zalterować (z łac.) — wzburzyć, zafrasować

\* trutynować — rozważać, roztrząsać

\* stojące kołnierze — tak nazywano policję

\* ostracyzm (z gr.) — bojkot ( w starożytnych Atenach sąd skorupkowy, z którego wyroku usuwano z kraju obywateli podejrzanych o dążenie do samowładztwa — nazwiska obwinionych wypisywano na glinianych skrupkach).

\* Gody — święta Bożego Narodzenia

\* Roźniecki Aleksander (1774–1849) — generał, w okresie Księstwa Warszawskiego członek sztabu ks. Józefa Poniatowskiego; w Królestwie Polskim — zaufany w. ks. Konstantego i szef tajnej policji, tropiącej sprzysiężenia patriotyczne; w chwili wybuchu powstania 1830 uciekł z Warszawy.

\* połatawszy (przysłówkowo) — jako tako, pół biedy, ujdzie, nie najgorzej

\* halsztuk (z niem.) — trójkątna chustka na szyję noszona przez mężczyzn w końcu XVIII i w XIX w. (poprzednik krawata)

\* Bogusławski Ludwik (1773–1840) — uczestnik insurekcji Kościuszkowskiej, żołnierz Księstwa Warszawskiego, wielokrotnie odznaczył się w kampanii napoleońskiej; w Królestwie Polskim dowódca 4 pułku piechoty liniowej, cieszącego się szczególnymi względami w. ks. Konstantego. W nocy 29 listopada przeciwstawił się powstaniu, uderzony rękojeścią szabli w piersi, uległ przemocy spiskowych. (Pogodzenie nastąpiło na polu bitwy, gdy objął z powrotem komendę pułku). Po powstaniu aresztowany i wysłany do Rosji, powrócił do kraju w 1833 r.

\* szuwaksować (z niem.) — pastować

\* Ze współczesnego rękopisu. [Przypis Kraszewskiego]

\* nakuliwać — trochę kuleć, utykać

\* Suworow Aleksandr W. (1730–1800) — feldmarszałek rosyjski, zwycięski w wojnie z Turcją (1787–1792) i rewolucyjną Francją (1799 — słynna przeprawa przez Alpy). Podczas tłumienia powstania Kościuszki, po zdobyciu szturmem Pragi 4 XI 1794 — sprawca krwawej rzezi ludności.

\* prysiudy (ukr.) — przysiady w tańcach ludowych ukraińskich i rosyjskich

\* ferować (z łac) wyrok — wyrokować, orzekać, osądzać, wydawać

\* konfirmować (z łac.) — tu: zatwierdzać, uznać

\* prywacja (z łac.) — obywanie się bez czego, przykrość z powodu braku czego; wyrzeczenie

\* stoicy — zwolennicy doktryny etycznej starożytnej szkoły stoików (IV w. p.n.e. — III w. p.n.e.), założonej przez filozofa greckiego, Zenona z Kition, głoszącej w filozofii przyrody materializm, w etyce — życie zgodne z rozumem i opanowanie namiętności.

\* Arsenał — znajdował się przy ul. Nalewki, u wylotu ul. Długiej

\* Owander Wasilij J. (1790–1855) — pułkownik rosyjski, dowódca I batalionu wolyńców

\* Roszlakowski (Roślakowski) Antoni (1795—1842) — oficer armii Księstwa Warszawskiego i Królestwa Polskiego (4 pułku piechoty liniowej). 29 listopada był jednym z wojskowych, którzy mieli przeznaczone główne role (akcja pod Arsenalem). Gdy pułk. Bogusławski zagroził drogę, Roszlakowski objął dowództwo nad I kompanią 4 pułku i poprowadził ją pod Arsenał. (Podczas powstania doszedł rangi podpułkownika; po upadku — emigrował do Francji i Belgii).

\* cyrulik (z gr.) — tu: felczer

\* wetować (z łac.) — tu (s. 141): wynagradzać sobie, rekompensować; rewanzować się

\* oskoma — chęć, chętkość, apetyt na coś; cierpienie, drętwienie zębów; niesmak

\* Skrzynecki Jan Zygmunt (1787–1860) — generał; służył w wojsku Księstwa Warszawskiego, uczestniczył w wojnach napoleońskich 1812–1813, po 1815 przeszedł do armii Królestwa Polskiego. Po wybuchu powstania w 1830 r. początkowo lawirował między w. księciem a władzami powstańczymi; od lutego 1831 wódz naczelny; konserwatysta; zwolennik układów z carem, zaprzepścił szansę zwycięstwa nad armią rosyjską. W sierpniu 1831 usunięty z dowództwa.

\* Radziwiłł Michał Gedeon (1778–1850) — uczestnik powstania Kościuszki, Legionów i kampanii 1812; generał i senator w Królestwie Polskim; po wybuchu powstania listopadowego członek Rady Administracyjnej, od 20 I do 26 II 1831 nominalny wódz naczelny powstania.

\* Kochanowski Michał (1757–1832) — działacz polityczny, piastujący różne godności w okresie powstania 1794; w Księstwie Warszawskim od 1812 zastępca ministra spraw wewn.; senator–kasztelan Królestwa Polskiego, w powstaniu 1830/1831 — członek Rządu Tymczasowego.

\* Pac Ludwik Michał (1780–1835) — uczestnik kampanii napoleońskich; bezpośrednio po wybuchu powstania listopadowego chwilowo wódz naczelny, następnie członek Rządu Tymczasowego i rady przybocznej dyktatora Chłopskiego, później — Radziwiłła. Walczył do końca powstania, po jego upadku wyemigrował do Francji.

\* Teatr „Rozmaitości” — otwarty 11 IX 1829 jako druga scena polska w Warszawie pod zarządem Teatru Narodowego; mieścił się w gmachu Towarzystwa Dobroczynności na Krakowskim Przedmieściu. Prowadzony przez wybitnego aktora i reżysera, Bonawenturę Kudlicza, cieszył się dużym powodzeniem wśród publiczności.

\* Zajązkowski Jan (1808–1882) — podporucznik 4 pułku piechoty liniowej, członek Związku Wojskowych; 29 listopada 1830 pełnił służbę garnizonową na odwachu przy kościele Bernardynów na Krakowskim Przedmieściu. Powiadomiony o rozpoczęciu powstania, zaalarmował wg polecenia północną i północno–zachodnią część miasta, m.in. wraz z por. Dobrowolskim (zob.) wpadł z tą wieścią do teatru „Rozmaitości”.

\* Dobrowolski Józef (1803–?) — podporucznik I pułku piechoty liniowej, wychowanek Szkoły Podchorążych Piechoty, członek tajnego związku; jeden z najbardziej czynnych działaczy podczas nocy listopadowej, wkroczył m.in. wraz z patrolem i ppor. Zajązkowskim (zob.) do teatru „Rozmaitości” z wieścią o rozpoczęciu powstania.

\* Kasandra — złowrózba prorokini, zwiastunka nieszczęścia (w mitologii greckiej córka trojańskiego króla Priama, która posiadała dar przewidywania przyszłości)

\* *Toute place est bonne pour se faire tuer* (fr.) — Każde miejsce jest dobre, aby dać się zabić.

\* Zamoyski Władysław (1803–1868) — działacz polityczny, generał, adiutant w. ks. Konstantego, w czasie powstania 1830 r. pośredniczył między księciem a Radą Administracyjną; uczestnik powstania listopadowego; na emigracji jeden z kierowników Hôtel Lambert (zob. Czartoryski Adam Jerzy).

\* statek — stateczność, rozwaga

\* bizun (z węg.) — bat, batog, kańczug

\* straszna wieść o wzięciu Warszawy — po dwudniowym krwawym szturmie Warszawy (obrona Woli) gen. Jan Krukowiecki doprowadził 7 8 IX 1831 do kapitulacji miasta (rząd i sejm przeniósł się do Zakroczymia, następnie do Płocka). Po upadku stolicy nastąpiło załamanie powstania, 18 IX przeszedł do Galicji korpus gen. Ramorino, 5 X granicę pruską przekroczyła główna armia z gen. Maciejem Rybińskim, ostatnim wodzem powstania, 9 X padła twierdza Modlin, 21 X — skapitulowała druga twierdza — Zamość.

\* (pod) Grochovem — 25 lutego 1831 r. toczyła się nie rozstrzygnięta bitwa polskich wojsk powstańczych, dowodzonych faktycznie — przez J. Chłopickiego (zob.), formalnie przez M. Radziwiłłą (zob.) z armią rosyjską pod wodzą I. I. Dybicza; kluczowym punktem walk była Olszynka Grochowska.

\* Fischau — prawdopodobnie chodzi o Fiszewo, wieś oddaloną ok 2 mile od Malborka